

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 3/77

1954



• *«La Culture» • Revue mensuelle •*

A. CRETZIANU :

RUMUNIA A WRZESIEŃ 1939

F. ZWEIG :

ROBOTNIK POLSKI W ANGLII

PRZEGLĄDAJĄC SŁOWNIK SOWIECKI
ŚMIERĆ TUWIMA

SPIS RZECZY :

Juliusz Mieroszewski :	<i>Polityka nie - dialektycznego materializmu</i>	3
Łukasz Winiarski :	<i>List z Jugosławii (3)</i>	11
Michał Sokolnicki :	<i>Niemcy po Wielkiej Przegranej (dokończenie)</i>	21
◆		
Czesław Miłosz :	<i>W Sabaudii</i>	39
Czesław Miłosz :	<i>Niedziela w Brunnen</i>	40

STRATY KULTURY POLSKIEJ

K. A. Jeleński :	<i>Ostatnie lata</i>	53
Marian Pankowski :	<i>Elegia na śmierć Tuwima</i>	56
Józef Wittlin :	<i>Śmierć Tuwima</i>	58

PRZEGLĄD GOSPODARCZY

Stanisław Zakrzewski :	<i>Drugi N.E.P. w Z.S.S.R.</i> ..	63
------------------------	-----------------------------------	----

ARCHIWUM POLITYCZNE

Leon Furatyk :	<i>Przeglądając Słownik sowiecki</i> ..	74
Zygmunt Nagórski, pr. :	<i>Polityka wyzwolenia</i>	80
Londyńczyk :	<i>Kronika angielska</i>	84

SPRAWY I TROSKI

Ferdynand Zweig :	<i>Robotnik polski w Anglii</i>	93
-------------------	--------------------------------------	----

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Alexandre Cretzianu :	<i>Rumunia a Wrzesień 1939</i> ..	106
Julian Gorkin :	<i>Przyczynek do biografii Rokossowskiego</i>	115
Paweł Hostowiec :	<i>List do Redaktora</i>	118

KRONIKA KULTURALNA

Józef Czapski :	<i>„Jajeczniczka”</i>	121
K. :	<i>Kongres poetów</i>	126

KSIAŻKI

Manès Sperber :	<i>„La prise du pouvoir”</i>	129
K. A. Jeleński :	<i>Półświatek Don Camilla</i>	134
Maria Czapska :	<i>Jak nie należy pisać o Świętych</i>	136
L. :	<i>Dzieje wielkiego błędu</i>	140
Andrzej Vincenz :	<i>Onomastyka i nacjonalizm</i> ..	141
(AV) :	<i>Chodasiewicz a Polska</i>	145
(AV) :	<i>Reformacja jako narzędzie polonizacji</i>	147
(AV) :	<i>Białoruska „Veda”</i>	148
(j) :	<i>Notatki wydawnicze</i>	149
(j) :	<i>Przegląd czasopism</i>	152
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i> ..	154
◆		
M. Feldhuzen, R. Mazurkiewicz, W. Gniatczyński, J. Staszewski :	<i>Listy do Redakcji</i>	155
—	<i>Résumé en langue française</i> ..	158

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Marzec - Mars

1954

INSTYTUT



LITERACKI

Noty biograficzne autorów

Ferdynand ZWEIG urodził się w roku 1896 w Krakowie. Studiował prawo i ekonomię na uniwersytetach w Wiedniu i Krakowie. Stopień doktora praw otrzymał na uniw. Jagiellońskim. W r. 1929 został docentem a w roku 1935 profesorem ekonomii politycznej na U. J. Do wybuchu wojny był również czynny jako adwokat i publicysta gospodarczy.

W czasie wojny prof. Zweig był ekonomicznym doradcą gen. Sikorskiego oraz wykładowcą na polskim wydziale prawa uniwersytetu w Oxfordzie. Po wojnie poświęcił się badaniom nad brytyjską klasą robotniczą i ogłosił szereg prac po angielsku, m. in.: *The British Worker, Labour, Life and Poverty, Men in the Pits, Productivity and Trade Unions etc.* Z poprzednich prac tego wybitnego ekonomisty na wymienienie zasługują: *Poland Between Two Wars, The Planning of Free Societies* oraz *Economic Ideas — study of Historical perspectives.*

Aleksander CRETZIANU, ur. w Bukareszcie w roku 1885. Pełnił służbę kolejno na placówkach w Londynie, Rzymie i Bernie. Przeniesiony do Centrali w roku 1936 zostaje dyrektorem politycznym w M.S.Z. a później sekretarzem generalnym i podsekretarzem stanu. Rząd Antonescu przenosi go w stan spoczynku w roku 1941. W roku 1943 zostaje mianowany posłem rumuńskim w Ankarze i na tym stanowisku jest mężem zaufania rumuńskich partii demokratycznych. Odgrywa tam ważną rolę w negocjacjach pokojowych Rumunii z Aliantami. W lutym 1946, po objęciu władzy przez komunistów, Cretzianu opuszcza służbę i wybiera wygnanie. Obecnie jest członkiem Rumuńskiego Komitetu Narodowego z siedzibą w Waszyngtonie.

Julian GORKIN, jeden z założycieli hiszpańskiej partii komunistycznej. Zerwał z Kominternem w roku 1929. W czasie hiszpańskiej wojny domowej był przedstawicielem P.O.U.M. w Centralnym Komitecie Milicji. Agenci sowieccy w Hiszpanii postarali się o usunięcie go z rewolucyjnego rządu Katalonii. Napisał szereg sztuk teatralnych i esejów politycznych. Obecnie jest członkiem międzynarodowego komitetu socjalistycznego federalistów europejskich i redaktorem hiszpańskiego kwartalnika „Quadernos”, wydawanego w Paryżu.

MACIEJ FELDPUZEN, urodzony w roku 1906 w Warszawie. Dziennikarz. Studia uniwersyteckie w Wiedniu i w Londynie. Dyplom magistra nauk handlowych w Antwerpii. Podczas wojny żołnierz I. Korpusu w Szkocji, potem korespondent wojenny Polskiej Agencji Telegraficznej i *Dziennika Polskiego* i *Dziennika Żołnierza* przy I. Armii Kanadyjskiej i I. Dywizji Pancerniej gen. Maczka. Po wojnie redaktor tygodnika *Polonia* w Brukseli. Od roku 1948 w Brazylii. W r. 1946 wydał książkę pt. *Wojna skończyła się wczoraj.*

Imprimé en France

Imprimerie RICHARD, 24, rue Stephenson, Paris (XVIII*)

Polityka nie-dialektycznego materializmu

Co na Zachodzie rozumie się przez tzw. politykę realną?

W poprzednim numerze „Kultury” omówiłem książkę S. Sharpa, profesora nauk politycznych uniwersytetu Harvard. Jego praca spotkała się z bardzo dodatnią oceną czołowych pism amerykańskich. Krytycy podkreślili, że p. S. Sharp w swej analizie nie opiera się na momentach emocjonalnych lecz myśli trzeźwo i wnioskuje realnie.

Autor cytowanego studium o Polsce jako naukowiec reprezentuje typ myślenia politycznego wolny zarówno od propagandy jak i demagogii wyborczej. Na przykładzie jego analizy i wnioskowania można przeto najlepiej podpatrzeć mechanikę tzw. polityki realnej.

Sharp wychodzi z założenia, że Polska jest sferą zainteresowań Rosji. Z tego faktu natury geopolitycznej wypływają liczne konsekwencje. Jedną z najistotniejszych konsekwencji jest fakt, że w sprawie Polski Sowiety posiadają daleko korzystniejszą pozycję przetargową niż Ameryka. Polacy jeżeli chcą prowadzić politykę realną muszą pamiętać, że Ameryka jest za oceanem a Rosja tuż za węglem. Ale czy Polacy mogą w ogóle prowadzić politykę realną? Na to zasadnicze pytanie profesor Sharp daje odpowiedź przeczącą. Krytykuje wprowadzenie politykę Becka ale niemniej stwierdza ze spokojem, że gdyby na miejscu Becka był kto inny — końcowy rezultat byłby ten sam. Żadna nawet najlepsza polityka nie byłaby uchroniła Polski od klęski. Okazuje się więc, że nie wszystkie narody mają możliwości prowadzenia polityki realnej. Są narody (do których my należymy), które nie mogą prowadzić realnej polityki z analogicznych przyczyn dla których człowiek z amputowanymi obu nogami nie może jeździć na rowerze.

Zachodni system myślenia politycznego opiera się między innymi na determinizmie geopolitycznym. Los Polski jest determinowany jej położeniem geopolitycznym.

Filozofia polityczna, której wyrazem była Jałta opierała się na identycznych założeniach.

Tego rodzaju polityka sprowadza się w praktyce do legalizowania układu który jest wynikiem dwóch czynników: położenia geograficznego i potencjału siły. W ramach tego systemu politycznego los danego narodu jest determinowany aktualną równowagą sił, która z kolei jest wypadkową potencjałów przemysłowych i zbrojeniowych wielkich mocarstw.

Frazy o „natchnieniu świata”, wolności, sprawiedliwości itp. nie są oczywiście podstawowymi przesłankami zachodniego systemu myślenia politycznego. To są jedynie elementy taktyki tak zwanej „wojny psychologicznej”.

Jeżeli schemat zachodniego systemu myślenia politycznego porównamy z sowieckim systemem interpretacji procesu historycznego to się przekonamy, że różnice dotyczą tylko dialektyki. Oba systemy pojmują politykę materialistycznie z tą różnicą, że zachodniemu materialistycznemu pojmowaniu polityki brak jest filozoficznej nadbudowy jaką jest dialektyka.

Nie brak na Zachodzie polityków, historyków, pisarzy politycznych a nawet mężów stanu którzy są przeciwnikami materialistycznego pojmowania polityki. Ci politycy i pisarze zdają sobie sprawę z faktu, że jest rzeczą sprzeczną z założeniami naszej cywilizacji przyjąć za oczywiste i naturalne, iż los mniejszych narodów jest funkcją siły (względnie słabości) wielkich potęg. Szlachetni myśliciele Zachodu boleją nad tym, że polityczny obraz świata jest wyrazem aktualnej gry sił a nie rezultatem triumfu sprawiedliwości nad przemocą. W sumie jednak zwolennicy „realnej” polityki stanowią zdecydowaną większość.

Niekończący się spór jaki wiedzie emigracyjna prasa polska z myślą polityczną Zachodu — krytykując Roosevelta, Churchilla, Jaltę itp. — jest w gruncie rzeczy wielkim nieporozumieniem. Albowiem polski system myślenia politycznego jest całkowicie różny od zachodniego. Polacy odrzucają zarówno determinizm geopolityczny jak i materialistyczny pogląd na politykę.

Na łamach „Kultury” krytykowałem wielokrotnie tzw. polską politykę „mocarstwową” ponieważ jest to dziwaczny i nie logiczny „melanz” polskiego i zachodniego systemu myślenia politycznego.

Polscy „mocarstwowcy” sądzą, że jest rzeczą możliwą wartościami moralnymi jak wola („Naród to wola” — I. Matuszewski) nadrobić „braki” geopolityczne i niedostatki materialne. Sądzą również, że wyrównawszy walutą moralną bilans materialny można prowadzić politykę mocarstwową w oparciu o zachodni system myślenia politycznego. To jest romantyczna filozofia lecz dziś całkowicie przebrzmiała. Patrząc wstecz na rozwój procesu historycznego obserwujemy stałą dewaluację czynnika moralnego jako składowego elementu potęgi. Możemy ukuć ogólne prawo: im materialne elementy potęgi są prymitywniejsze tym czynnik moralny odgrywa rolę istotniejszą. I odwrotnie — im materialne narzędzia potęgi są doskonalsze tym znaczenie czynnika moralnego jest mniejsze.

W epoce białej broni gorzej uzbrojona ale waleczniejsza armia mogła pokonać armię liczebniejszą i lepiej uzbrojoną ale o niższym morale. I dziś czynnik moralny odgrywa wielką rolę ale już nie tak wielką by mógł wyrównać niedobory materialne. Żadne bohaterstwo nie zastąpi dywizji pancernych — najpotężniejsza wola zwycięstwa nie zastąpi lotnictwa bojowego. Innymi słowy polityczna „zastosowalność” — jeżeli wolno się tak wyrazić — czynnika moralnego uległa wielkim ograniczeniom. W równaniu potencjału siły dziś w nieporównaniu mniejszym stopniu niż dawniej można wstawić czynnik moralny w miejsce brakujących elementów potęgi materialnej.

Lecz „Totalfehler” polityki „mocarstwowej” leży gdzie indziej. Zwolennicy tego poglądu z jednej strony przypisują nie-realnie wysokie znaczenie (polityczne) wartościom moralnym (silni, zwarci, gotowi) — z drugiej zaś strony są zwolennikami polityki „równowagi sił” i przeciwnikami form zbiorowego bezpieczeństwa (Beck). Polityka „mocarstwowa” oparta jest na sprzecznych założeniach. W systemie „równowagi sił” i dwustronnych umów nie poddanych żadnej sankcji międzynarodowej — Polska choćby jej ludność składała się z samych „żywych torped” nie może być ani mocarstwem ani nawet państwem niepodległym. By w epoce broni atomowych i lotnictwa strategicznego, którego koszt produkcji wyraża się w cyfrach astronomicznych — małe i średnie państwa jak Polska czy Czechosłowacja mogły być niepodległe konieczna jest całkowita przebudowa systemu międzynarodowego. Ta przebudowa musi polegać na zastąpieniu tej polityki międzynarodowej, którą Beck uważał za realistyczną — systemem zbiorowego bezpieczeństwa, który Beck uważał za mrzonkę. Ci nasi politycy i publicyści, którzy nadal głoszą teorię mocarstwową, robią wrażenie ludzi, którzy przepali ostatnie dwa dziesiątki lat.

Na przestrzeni ubiegłego półwiecza obserwujemy niebywały wzrost potęgi agresorów. W tym samym okresie sytuacja małych i średnich państw uległa bezprzykładowemu pogorszeniu. Rozwój współczesnej technologii i materialistycznie pojmowana polityka idą po linii interesów potencjalnych agresorów. Małe i średnie państwa z każdym rokiem stają się coraz bardziej bezbronne — wielkie super-państwa stają się z każdym rokiem potężniejsze.

Bezpośrednim skutkiem materialistycznego pojmowania polityki jest fakt, że nikt za nic nie ponosi odpowiedzialności. W tym systemie myślenia politycznego nie istnieją żadne konkretne oceny moralne. Dane posunięcie może być korzystne lub niekorzystne — może być sukcesem lub przeciwnie klęską. W tym świetle Jalta nie jest ani zła ani dobra, nie jest upadkiem ani zdradą a jedynie dokumentem, który realistycznie zalegalizował istniejący układ sił. Kto ponosi odpowiedzialność za ów układ sił? Odpowiedzialność ponosi Historia — bożek dialektyki.

Innymi słowy jesteśmy chrześcijanami na wewnątrz a materialistami na zewnątrz. W granicach państw stawiamy przed sądem człowieka, który skrzywdził kota — na zewnątrz godzimy

się ze spokojem na unicestwienie milionów ludzi. Godzimy się bo od pokoleń wychowano nas w przekonaniu, że polityka „nie zna sentymentów” co w praktyce oznacza, że jak ktoś działa w charakterze męża stanu — Chrześcijaństwo zawiesza na kołku i jedzie na konferencję taką czy inną jako „realny” materialista. Tak oto wytworzyliśmy formę Chrześcijaństwa „z ograniczoną odpowiedzialnością”. Ów schizofreniczny stan jest już dziś tradycją i to rozszczepienie jaźni uważamy za rzecz zwyczajną i normalną.



Książka Miłosza rzuca wiele światła jak na powyższe zagadnienia patrzą ludzie po tamtej stronie „żelaznej kurtyny”. Czego oczekują ci, którzy żyją w świecie „historycznej winy i kary” od chrześcijańskiego Zachodu, który nominalnie przyznaje się do doktryny „indywidualnej winy i kary”.

Jest rzeczą zmienną, że z książki „Zniewolony Umysł” umieli wiele wydobyć obcy ale nie Polacy. Stephen Spender poświęcił analizie książki Miłosza końcowy i najważniejszy rozdział swego studium pt. „The Creative Element”.

Miłosz jest poetą. Wydaje się rzeczą dziwną gdy poeta ogłasza studium z zakresu polityki. Sam Miłosz jest gniewnie zawstydzony, że napisał „traktat polityczny” i szuka pocieszenia w fakcie, że czyni to pierwszy i ostatni raz w życiu.

Doskonały „Dziennik” Gombrowicza drukowany w „Kulturze” należy do tej samej kategorii zjawisk. Gombrowicz — trudny, egocentryczny dla którego forma jest problemem treści — odczuwa potrzebę skrócenia dystansu pomiędzy sobą a czytelnikiem. Chce oddziaływać na swych słuchaczy bezpośrednio niemal... publicznie.

Miłosz i Gombrowicz są Polakami. Słyszą galop Historii poza sceną zachodniego świata. Poeci i pisarze Zachodu piszą przeważnie dla własnego lokalnego teatru w patetycznym przeświadczeniu, że rzeczy ważne dzieją się tylko na londyńskich czy paryskich deskach.

Spender słusznie zauważył, że to oderwanie od Historii jest najbardziej uderzające u pisarzy katolickich. Ich „Cocktail Party” odbywa się pod pokładem okrętu, który płynie bez flagi. Kapitanowie tego statku najchętniej nie zdeklarowałyby żadnego kursu okupując własną wolność neutralnym układem.

Nie jest istotne ani dla Chrześcijaństwa ani dla literatury ani zgola dla nikogo jakie sztuki grają teatry pod pokładem okrętu zachodniej Europy. Istotny jest tylko kurs jaki obiorą kapitanowie. Prawdziwy dramat Chrześcijaństwa odbywa się dziś w sferze polityki a nie w duszach kolonialnych policjantów z powieści Greene’a. „Heart of the Matter” należy dziś szukać w polityce a nie w katolickiej psychoanalizie.

Jednym z paradoksów naszej epoki jest fakt, że rozwój techniki uniemożliwia nam dalsze prowadzenie polityki bezmoralnej i to jest przyczyną wielu zmartwień na Zachodzie. Neutraliści

jeszcze wciąż wierzą, że jest rzeczą możliwą odbudować równowagę sił w oparciu o materialistycznie i bezmoralnie pojmowaną politykę. „My uszanujemy waszą bezmoralność a wy uszanujecie naszą bezmoralność” — ta oferta stała się nieaktualna. Na tym schemacie oparty był porządek polityczny 19-go wieku i jak długo powyższa zasada była powszechnie uznawana — koncepcja równowagi sił była systemem realnym. Lecz dla imperium sowieckiego neutralność ideologiczno-moralna jest nie do przyjęcia. Nie ulega wątpliwości, że Zachód pozwoliłby Rosjanom czy Chińczykom trwać pokoleniami w wierności dla komunizmu. Dramat polega jednak na tym, że Sowiety nie chcą by reszta świata była kapitalistyczna i chrześcijańska.

Z chwilą gdy drugie pod względem wielkości mocarstwo świata zerwało z bezideologiczną polityką dziewiętnastowieczną stało się rzeczą oczywistą, że międzynarodowy system polityczny oparty na moralnym indyferentyzmie dobiegł kresu. Ów moralny indyferentyzm wyrażał się między innymi w zasadzie „nie-interwencji w stosunki wewnętrzne” suwerennego państwa, które mogło spokojnie przeprowadzać rzezie Pragi w poczuciu pełnego bezpieczeństwa. Tak zwane „państwa satelickie”, zagraniczne partie komunistyczne, piąte kolumny itp. są z jednej strony manifestacyjnym zerwaniem z zasadą „nie-interwencji” w stosunki wewnętrzne obcych państw — z drugiej zaś strony są formacją polityki nowego typu ideologicznie aktywnej i moralnie nieobojętnej.

Polityka sowiecka ilekroć jest jej to na rękę powołuje się na dziewiętnastowieczne polityczne zasady Zachodu a między innymi i na zasadę „nie-interwencji”. Analogicznie jeżeli chodzi o obronę komunistów i partii komunistycznych w krajach Zachodu — Sowiety powołują się na wolność przekonań, wolność słowa itp. W interesie Rosji leży utrzymanie na Zachodzie Chrześcijaństwa „z ograniczoną odpowiedzialnością”. Chrześcijaństwa, które na wewnątrz udzielałoby sankcji „złotym wolnościom” demokracji (nieodzownym dla rozwoju partii komunistycznych) — a na zewnątrz zezwalało na podpisywanie każdego przetargu z Sowiecami zgodnie z wymogami bezideowego politycznego „realizmu”. Innymi słowy leży w interesie Rosji by nie było możliwe zabronić „czerwonemu dziekanowi” brać udział w komunistycznych kongresach a natomiast by zawsze było możliwe podpisywać super-Jaltę.

Chrześcijaństwo jest nie tylko religią ale i cywilizacją. W sferze religijnej nie osiągnęło jedności — w sferze cywilizacyjnej jedność urzeczywistniło. Losy Chrześcijaństwa zależą od owej jedności cywilizacyjnej. Dopóki ta jedność jest utrzymana istnieje potencjalnie możliwość powrotu chrześcijan do pierwotnej wspólnoty religijnej.

Pisarze chrześcijańscy a przede wszystkim katolicy nie dostrzegają kardynalnego wyzwania komunizmu pod adresem Chrześcijaństwa. Pisarze ci w dalszym ciągu roztrząsają wewnętrzne problemy indywidualne i subtelności metafizyczne jakby

na świecie nic się nie zmieniło na przestrzeni ostatnich 150 lat. Owo wyzwanie komunizmu nie jest natury filozoficznej. Chrześcjanin nie potrzebuje uczonych studiów by odrzucić materialistyczny pogląd na którym oparta jest doktryna komunistyczna. Owo wyzwanie jest natury polityczno-socjalnej. Dotyczy ono dwóch kapitalnych zagadnień: stosunku jednostki do zbiorowości i odpowiedzialności za proces historyczny.

Tradycyjna doktryna chrześcijańska opiera się na stosunku jednostki do Kościoła. A więc poprzez rząd dusz do rządu mas. Według tego poglądu im indywidualnie będziemy lepszymi chrześcijanami tym tworzyć będziemy bardziej chrześcijańską społeczność i tym polityka naszego państwa będzie w konsekwencji bardziej chrześcijańska. Innymi słowy odpowiedzialność Chrześcijaństwa za proces historyczny i jego instrument to jest politykę — jest *pośrednia*.

Komunizm odwrócił zagadnienie. Sowiety nie zamierzają czekać aż wszyscy ludzie z dobrej woli staną się wyznawcami dialektycznego materializmu. Komunizm w przeciwieństwie do Chrześcijaństwa zmierza do rządu dusz poprzez rząd mas. W konsekwencji bierze *bezpośrednią* odpowiedzialność za proces historyczny i jego narzędzie to jest politykę.

Oto ta różnica w moim zrozumieniu kryje w sobie istotę wyzwania komunizmu pod adresem Chrześcijaństwa.

Lecz cóż — nawet pisarze, których krytyka angielska określa mianem „neo-scholastyków” rozpatrują Chrześcijaństwo wyłącznie jako postawę wewnętrzną a nie jako fundament poglądu politycznego. Chrześcijaństwo a liberalizm... Chrześcijaństwo a humanizm... Chrześcijaństwo a wyniki badań nauk ścisłych — oto literacko-filozoficzne perpetuum mobile, które zaprzęta współczesne umysły.

To są wszystko problemy ważne ale w obecnej sytuacji drugoplanowe. Pisarze o religijnym poglądzie piszą tomy essayów rocznie by zwalczać zachodnich liberałów ale fakt, że połowa Europy znalazła się w ramach antychrześcijańskiego świata kwitują milczeniem bo... to jest sprawa polityki a nie literatury czy piękno duchowskiej filozofii.

Potrafię sobie doskonale wyobrazić, że gdyby któregoś pięknego poranku Sowiety zajęły całą kontynentalną Europę — chrześcijańscy pisarze angielscy wałkowaliby nadal wypowiedzi Eddingtona i dyskutowali zawzięcie nad problemem wolnej woli w związku z „The Principle of Indeterminacy” Heisenberga i niepokalaliby swych ust jakkolwiek wypowiedzią natury politycznej.

Dopiero dziś na tle grozy komunistycznej widzi się, że totalna sekularyzacja doprowadziła w rezultacie do całkowitego oderwania Chrześcijaństwa od realnego życia. Chrześcijaństwo przez swą apolityczność stało się dosłownie sprawą... nie z tego świata. Literatura jeszcze je bardziej uteoretycznia i degradowuje do roli literacko-intelektualnej „szkoły”.

Wśród pisarzy a w szczególności wśród poetów (również i polskich) panuje do dziś dnia dziewiętnastowieczny pogląd, że artysta, twórca powinien stać się z dala i ponad zgiełkiem polityki i współczesnej historii. Ci gentlemen nie dostrzegają, że w obecnej epoce ciężar wszechludzkich zagadnień przesunął się ku polityce — że dziś polityka objęła drapieżnie dosłownie wszystko od ekonomii po metafizykę... od strategii po filozofię. Pisarze dyskutujący między sobą zagadnienia ważne i istotne, ale w całkowitym oderwaniu od polityki, robią wrażenie błaznów rozszczipiających włos na dwoje na pokładzie tonącego Titana.

Na tle olbrzymiego eksperymentu socjalnego przeprowadzanego przez komunizm współczesna literatura chrześcijańska a w szczególności katolicka sprawia wrażenie jakby pisali ją głusi i ślepi.

Pisarze katolicy jeżeli chcą podjąć wyzwanie komunizmu winni zapoczątkować dynamiczny ruch w kierunku upolitycznienia Chrześcijaństwa. Powinni podjąć nieubłaganą walkę z politycznym materializmem Zachodu. Chrześcijaństwo z „ograniczoną odpowiedzialnością” nie jest żadną odpowiedzią na komunizm i nie zdoła mu się przeciwstawić.

Podjąć wyzwanie komunizmu można tylko w dziedzinie polityki. Bo dziś liczą się nie jednostki ale masy. O zwycięstwie nad komunizmem nie zadecyduje heroizm męczenników tylko polityka. U dna polityka jest wyrazem sumienia socjalnego, sumienia zbiorowego. I tylko dramat *tego* sumienia jest istotnym problemem Zachodu.

Juliusz MIEROSZEWSKI



2 HOGARTH ROAD,
LONDON S. W. 5,
ENGLAND

PACZKI DO POLSKI

DOBRE, SZYBKIE I TANIE

Pełne Ubezpieczenie

LEKARSTWA MATERIAŁY ŻYWNOŚĆ

Piszcze Po Cenniki 100 Popularnych
Paczek Największego Polskiego Domu
Wysyłkowego w Europie.

HASKOBA LTD.

W dziesiątą rocznicę
Powstania Warszawskiego

UKAŻE SIĘ JAKO VII TOM
BIBLIOTEKI „KULTURY”

STEFANA KORBOŃSKIEGO

W IMIENIU RZECZYPOSPOLITEJ...

Obszerna ta praca to nie tylko osobiste wspomnienia ale również historia Podziemia w latach 1939-1945.

Autor, zajmując kluczowe stanowiska we władzach Podziemia (członek Politycznego Komitetu Porozumiewawczego, pierwszej naczelnej władzy Polskiego Podziemia, kierownik Walki Cywilnej i p. o. Delegata Rządu) jest wyjątkowo powołany do takiego opracowania.

W IMIENIU RZECZYPOSPOLITEJ... to książka w której urzędowa historia przeplata się z „human story”, zawierająca przy tym szereg sensacyjnych rewelacji i poruszająca sprawy z niewiadomych powodów otaczane dotąd milczeniem.

Dla zorientowania czytelnika podajemy poniżej kilka tytułów rozdziałów i części książki:

- Aresztowanie marszałka Rataja.
- Powstanie Politycznego Komitetu Porozumiewawczego.
- Kierownictwo Walki Cywilnej.
- Żydzi pod okupacją.
- Agent Gestapo dociera do centrali podziemia.
- Podziemny wymiar sprawiedliwości.
- Rozmowa z ministrem bezpieczeństwa — Radkiewiczem.

Książka ukaże się w niedługim czasie.

W następnym numerze „Kultury” podamy do wiadomości czytelników cenę książki, jej objętość oraz spis wszystkich rozdziałów.

List z Jugosławii

3

Trudno powiedzieć dlaczego różnica między Jugosławią i Zachodem uderza znacznie gwałtowniej cudzoziemca, który opuszcza ten kraj, niż tego który dopiero tam przybywa.

Gdy Tauern-express mija ostatnią jugosłowiańską stację graniczną Jasenicę, gdy wagony pustoszeją i zmienia się personel kolejowy — turysta ma wrażenie, że nagle dał nurka w inny świat. Na ogół jest się skłonny przypisywać to różnicy ustroju choć prawdopodobnie polega to na odmienności poziomu życiowego i organizacyjnego. Przede wszystkim uderzają drobiazgi. Austriacki konduktor dziurkując bilet sam natychmiast informuje o następnej przesiadce, a zapytany podaje dokładnie godziny przyjazdów i odjazdów. Żaden konduktor w Jugosławii tego nie robi, gdyż po pierwsze nie ma na to czasu zaorany po uszy, kontrolujący w piekielnym ścisku kilkadziesiąt typów, przeważnie ręcznie wypisanych biletów, ulgowych, niżkowych, turystycznych, wakacyjnych, służbowych itd. Przy każdym bilecie obowiązkiem jego jest sprawdzić dokumenty, które do danej ulgi upoważniają, co nie jest rzeczą najprostszą przy jego skromnej umiejętności czytania i pisania. Po drugie — samorzutne informowanie pasażerów o przesiadkach nie należy widocznie do jego obowiązków, po trzecie — personel kolejowy nie orientuje się dostatecznie w rozkładach. Zresztą nie tylko konduktorzy... W urzędowym biurze turystycznym „Putnik” otrzymuje się z reguły informacje niekompletne.

Na większych stacjach w Austrii można wreszcie spokojnie wysiąść z wagonu i napić się piwa w bufecie wiedząc na pewno, że jeśli według rozkładu postój ma trwać 10 minut, to pociąg nie ruszy ani o sekundę wcześniej. W Jugosławii nie jest to możliwe, gdyż nikt nie potrafi powiedzieć kiedy pociąg odchodzi. Na mniejszych stacyjkach przed Insbrukiem chłopcy bufetowi roznoszą wzdłuż pociągu piwo, lemoniadę i butersznytę, a przyjemne

dziewczęta w ludowych strojach sprzedają turystom (po słonych cenach) bukieciki alpejskich kwiatków. Natomiast państwowy funkcjonariusz bufetowy w Jugosławii nie będzie się deranżował, by wynosić zakąski do pociągu — nie dlatego, by brakowało chleba czy kiełbasy i pomidorów, lecz po prostu w odpowiednim urzędzie zapomniano o wysłaniu mu okólnika z instrukcją. Takie są wrażenia przy wyjeździe.

Dla turysty, który po raz pierwszy przyjeżdża do Jugosławii wszystko to przedstawia się inaczej. Jest on przygotowany na gwałtowne kontrasty i nie znajduje ich. Na drobiazgi nie zwraca uwagi. Fakt, że na kanapce z szynką braknie plasterka marchewki wystrzyżonej w ząbki, tudzież wyrafinowanej różyczki z majonezu nie powoduje na razie silniejszego szoku. Zetknięcie z nowymi warunkami przychodzi stopniowo, złagodzzone w dużej mierze przez ludzką życzliwość, uprzejmość, gościnność spotykane na każdym kroku. Współtowarzysze podróży w pociągu są bezpośredni, otwarci, rozmowni, pomagają sobie nawzajem w tłoku, nie tracąc humoru. Dla kogoś, kto przyjeżdża z powściągliwej Skandynawii, gdzie można spędzić z kimś 24 godziny sam na sam w przedziale nie zamieniąszy słowa, prócz „dziękuję” i „proszę”, — jest to orzeźwiające przeżycie. W czasie kilkunastu godzin podróży z Jasienicy do Belgradu dowiedziałem się wszystkiego niemal o mych współpasażerach, o ich zawodach, stosunkach rodzinnych, zarobkach, troskach i radościach. Przeprowadziłem długą polityczną dyskusję z pewnym urzędnikiem na temat demokracji, po czym zagłębiłem się w intelektualny flirt ze studentką medycyny jadącą na urlop. Podzieliła się ze mną nie tylko swymi poglądami, ale i śniadaniem. Jak się okazało była to córka przedwojennego fabrykanta konserw owocowych, któremu fabrykę znacjonalizowano, ale wypłacano odszkodowanie za zapas towaru. Dzięki temu dwie córki i syn mogą się kształcić, nawet bez stypendiów, których tu nie daje się zbyt szczerze. Zanotowałem sobie w pamięci, że w Rosji nie można by spotkać człowieka, który by tak bez „ale” przyznał się do ojca fabrykanta.

Na zakończenie pewien młody inżynier z zakładów metalurgicznych w Żenicy zaprosił mnie do wagonu restauracyjnego, gdzie obiadu nie dostaliśmy wprawdzie (jest tylko jedna tura obiadowa w ciągu dnia) ale za to nieograniczone ilości doskonałej śliwownicy i bardzo złego piwa. (Uwaga: piwo w Jugosławii jest dobre, tylko w wagonach restauracyjnych mają jakiś specjalnie zły, gdzie indziej niespotykany gatunek.)

Inżynier, 30-letni atleta, były partyzant, członek partii itd. pił jak gąbka nie tracąc jednak trzeźwości i jasnego spojrzenia. Wyjaśnił mi, że u nich, w Szumadji rakiję pije się od małego dziecka więc się człowiek przyzwyczaja. Śliwownicę pije się tam z gorącą wodą — po prostu jak herbatę — i nawet nosi ona nazwę „szumadyjskiej herbaty”.

Tak dojechaliśmy do Belgradu i na pożegnanie inżynier wy-

raził mi swe współczucie, że zaczynam zwiedzanie od tego miasta, gdy w Jugosławii jest tyle naprawdę ciekawych i pięknych rzeczy do zobaczenia.

Jeśliby wierzyć samym Jugosłowianom — to Belgrad jest jednym z najszpetniejszych miast w Europie, pozbawionym charakteru i wdzięku. W dzisiejszym stanie rzeczy miasto przypomina rzeczywiście jakiś zwielokrotniony Kowel, w którego centrum wbudowano spieszenie dzielnicę reprezentacyjną.

W porównaniu z kolorowym, pełnym temperamentu Sarajewem, z Zagrzebiem po amerykańsku nowoczesnym, czy z Dubrownikiem wyrzeźbionym w białym kamieniu, jak renesansowa kamea, Belgrad jest brzydki, brzydotą wielowiekowej niewoli. W oczach tego narodu, posiadającego wyczulony zmysł kształtu i harmonii przestrzennej, narodu, który wydał Mestrowića i Krsnića — architektura stołecznego miasta musi wydawać się grzechem śmiertelnym.

Wystarczy poznać typowy dom serbski na prowincji, chłopską chatę w Vojevodinie, zobaczyć rozplanowanie osiedli w Macedonii i Dalmacji, by to zrozumieć od razu. Kiedyś w mych włóczęgach po Belgradzie zabłądziłem do dzielnicy Jatagan Mala, jeśli można nazwać „dzielnica” osiedle bezdomnych, sklecone z desek, kawałków blachy, starych pudeł samochodowych i papy kopię niemal dokładną obozowiska z filmu „Cud w Mediolanie”. Mieszkają tu ptaki przelotne, trochę Cyganów, Skipetarzy, którzy jako robotnicy sezonowi wędrują po całym kraju, wreszcie młodzież ze wsi i okolic, która chce się dostać do Belgradu, a nie może otrzymać stałego mieszkania póki nie ma zatrudnienia itd.

Nawet jednak tutaj w Jatagan Mala widać spontaniczną dbałość o estetykę i wrodzone poczucie piękna. Jednodniowe budy są rozmieszczone na zboczu wzgórza w szachownicę i wszędzie widać zaczątki jakichś ogródków w obramieniu kamyków; całość jak i pojedyncze szalasy ujęte są w jakąś trudną do opisanie, ale nie przypadkową kompozycję. Z odwiedzin tych wyniosłem z sobą sporo pcheł, ale też i pewność, że Belgrad, gdy Jugosłowianie wzięli się sami do jego rozbudowy, będzie pięknym miastem. Ma on po temu wszelkie warunki, przede wszystkim fantastyczne położenie na szczycie góry stromo spadającej ku widłom Dunaju i Sawy. Nowo zaplanowana część Belgradu budowana jest z rozmachem szerokich perspektyw w kamieniu i żelbetonie i nikt nie stara się doczepić do żelbetonu fasad greckich świątyń i „ozdabiać” ich na wierzchu masą gotyckich wież, co jest jak wiadomo ostatnim krzykiem mody w krajach położonych nieco dalej na wschód.

Toteż jugosłowiańskiej krytyki własnej stolicy nie należy brak zbyt dosłownie. Jugosłowianie są w ogóle skorzy do ostrej samokrytyki i surowej oceny samych siebie, zwłaszcza wobec cudzoziemca. Początkowo wzbudza to podziw jako dowód da-

leko posuniętej skromności, czasem nawet czyni wrażenie jakiegoś kompleksu. Jeśli jednak wniknąć głębiej w to zjawisko, okazuje się, że jest ono rodzajem barwy ochronnej pod którą kryje się zarówno duma, jak i niesłychana wrażliwość na wszelką krytykę pochodzącą od obcych. Krytykują więc sami ze względów „zapobiegawczych”, co nie znaczy bynajmniej iż czynią to nie-szczerze.

O tej drażliwości i dumie miałem sposobność przekonać się wielokrotnie, czasami w okolicznościach wręcz paradoksalnych. Zwłaszcza jeden wypadek był charakterystyczny: pewien działacz społeczny i polityk po kilku rozmowach ze mną, w których trzeźwo i beznamytnie oceniał stosunki w kraju, zwrócił się do mnie z prośbą, bym po objeździe kraju zreferował mu moje wrażenia, zwłaszcza negatywne. „Warto wiedzieć jakie błędy rzucają się w oczy cudzoziemcowi” — powiedział.

W ciągu następnych kilku tygodni zebrało się takich notatek sporo, poczynając od spraw poważnych, a kończąc na błahostkach takich jak połamany fotel w kinematografie „Beograd”. Odwiedziłem to reprezentacyjne kino stolicy dwukrotnie w odstępach parotygodniowych — fotel i drugim razem był wciąż połamany. Dlaczego?

Nie wystarczy tu powiedzieć sobie lekko, że przy własności prywatnej oko właściciela tuczy konia, czy reperuje fotele, podczas gdy o własność państwową — niczyją — nikt się nie troszczy. 90 procent kin na Zachodzie należy do wielkich koncernów anonimowych, i personel nie wie najczęściej nawet jak się ten koncern nazywa znając tylko swego dyrektora, który jest takim samym dokładnie funkcjonariuszem, jak jego kolega z „Beogradu”. Sedno zagadnienia leży widocznie gdzie indziej.

Przyznaję od razu, że taki fotel, czy nawet setka połamanych krzeseł to błahostka, ale do błahostek należy do rzędu i typu należy łazienka w hotelu Excelsior, będąca w stałym remoncie w czasie gdy tam mieszkałem, telefon w moim pokoju w hotelu „Bałkan”, który nigdy nie działał, wszystkie zegary uliczne w Belgradzie (prócz jednego — na poczęcie głównej), które stoją nigdy nie nakręcane itd. Są to wszystko drobiazgi, ale przecież powszedni dzień ludzkiego życia wypełniają przeważnie drobiazgi, a nie przełomowe wydarzenia i rewolucyjne czyny.

Mój referat dla jugosłowiańskiego przyjaciela zacząłem więc od fotela w kinie „Beograd” i nie od razu spostrzegłem, że go to poważnie zirytowało. Przyznał zresztą, że jest to niechlujstwo, choć nie sądził, by wypadek taki wolno było generalizować.

Następną pozycją w moim notatniku była sprawa dróg. Dlaczego zaniebija się budowę sieci drogowej? Nie można podnieść standardu życiowego ludności, nie można również zbudować przemysłu bez dróg. Odpowiedział, że przemysł stoi na pierwszym miejscu, najpierw przemysł, potem drogi.

Po dłuższej dopiero dyskusji wydusiłem wreszcie z niego tę odpowiedź, którą sam sobie dałem już dawniej. Jugosławia

nie buduje dostatecznej sieci dróg, gdyż obawia się inflacji. Inaczej mówiąc nie chce zdobyć się na ryzyko zapłacenia dziesiątkom tysięcy robotników drogowych milionowych sum, gdyż ci robotnicy chcieliby sobie wtedy coś kupić za te pieniądze. A gdyby zaczęli kupować — musiałoby zabraknąć pewnych towarów, przede wszystkim żywności i ceny chleba poszłyby w górę.

— Dopóki nie podniesiemy produkcji rolniczej, dopóki nie będziemy mieli zapasów, nie możemy ryzykować inflacji.

Powstaje w ten sposób błędne koło, gdyż bez podwyższenia cen produktów rolnych, nie można chłopów skłonić do zwiększenia produkcji. To błędne koło ktoś musi nareszcie odważyć się przerwać, inaczej cała gospodarka opiera się na fałszywej kalkulacji.

I tutaj automatycznie wypłynął jeden z następnych punktów mej czarnej listy — sprawa walutowa.

— Dlaczego zwlekacie z przeprowadzeniem reformy walutowej? Przecież jest rzeczą niemożliwą prowadzić jakąkolwiek rozsądną kalkulację w handlu zagranicznym, gdy stosunek dinara do walut światowych jest w ogóle nieustalony,

— Mamy kurs oficjalny — trzysta dinarów za dolara i kurs ten służy jako wskaźnik kalkulacyjny.

— Nie będę z panem dyskutował, gdyż celem naszej rozmowy jest tylko przedstawienie faktów, takich jak je widzę. Kurs urzędowy dolara jest nierealny i nie ma odpowiednika w niczym co spotyka się na rynku. Cena pokoju hotelowego wypada w przeliczeniu na dolary zbyt nisko dla turysty, więc nie jest to „kurs turystyczny”. Nie jest to również kurs „importowy” gdyż w dziedzinie towarów importowanych wyznaczenie ceny wewnętrznej najzupełniej fantastyczne, które windują kurs czarnego dolara dwu- i trzykrotnie. Jeśli maszyna do pisania w państwowym magazynie kosztuje 100 tysięcy dinarów, a w sąsiedniej Austrii można ją dostać za 100 dolarów, to w ten sposób dolar jest wart 1.000 dinarów a nie 300. I tę cenę 1.000 dinarów za dolara wyznaczyło przecież samo państwo. Wreszcie jeśli chodzi o eksport waszych towarów to możecie przecież regulować cenę eksportową bez uciekania się do sztucznego kursu waluty.

— Na przeprowadzenie reformy walutowej trzeba mieć duże rezerwy, których nie posiadamy. Importujemy wciąż tak znaczną ilość artykułów przemysłowych, że reforma, to znaczy dewaluacja dinara pociągnęłaby podwyżkę cen większości produktów przemysłowych. Nie można tego przeprowadzić bez równoczesnej ogólnej podwyżki zarobków robotniczych, a na to nie możemy sobie pozwolić tak długo, póki produkcja rolna nie zwiększy się znacznie.

— Więc znów, jak w poprzedniej sprawie punkt ciężkości leży w rolnictwie?

— Tak, punkt ciężkości leży u nas w rolnictwie.

Poruszyłem jeszcze kilka spraw już nie związanych z rolnictwem. A więc problem, który nazwałem „importem bałkańskim”. Mianowicie rzuca się w oczy, że zachodni kupcy sprze-

dają Jugosławii artykuły przemysłowe starych modeli i typów. Dotyczy to zwłaszcza maszyn. Dlaczego Jugosławia budująca nowy przemysł nie stara się go uczynić równocześnie najbardziej zmodernizowanym, dlaczego nie kupuje obrabiarek, automatów etc., najnowszych, jeśli by nawet były one droższe? Mniejsza już o to, że towary zagraniczne, które widzi się w sklepach, od pióra wiecznego poczynając, na rowerze, aparacie radiowym, czy maszynie do pisania kończąc — jest to przestarzały „szmielec”, który w Europie można nabyć za czwartą część ceny. Jeśli Jugosławia istotnie płaci za to tanio, to nie to nikomu nie przeszkadza, gdyż aparat radiowy czy pióro nawet przestarzałego typu nadaje się mimo to do użytku. Ale znacznie gorzej jest z maszynami fabrycznymi. Stary typ maszyny posiada niższą wydajność i mniejszą zdolność konkurencyjną przemysłu, a wy chcecie przecież eksportować?

Mój rozmówca był już teraz wyraźnie niezadowolony i powiedział krótko i oschle, że jeśli chodzi o maszyny to sprowadza się najnowsze. Jeśli czasem zdarzy się wyjątek, to jest to wina braku dostatecznej ilości fachowców do czynienia zakupów. Na pewno zaś nie jest to spowodowane jakąś korupcją (tu poczerwieniał z gniewu) jak to ja zdaje się insynuuję.

Przyznaję, że myśl taka nie przyszła mi do głowy, gdyż jestem przekonany, iż kupowanie starych modeli płynie w głównej mierze z polowania na taniść.

Ale rozmowa przybrała nieprzyjemny ton i postarałem się ją najszybciej zakończyć. W każdym razie straciłem miłego znajomego.

Jedno wydaje się pewne, jak to zresztą rozmowa powyższa ilustruje, że sprawa rolnictwa jest kluczowym problemem Jugosławii. Według spisu ludności z 1948 roku 68,3 procent mieszkańców żyje z rolnictwa, a tylko 15,6 z przemysłu. Reszta to urzędnicy, emeryci itd. Wydajność z ha jest mała. Przy uprawie pszenicy chłop uzyskuje około 13 kwintali z ha, a kukurydza daje 16-18 kwintali; cyfry o połowę niższe od średniej wydajności na Zachodzie. Przy tym wszystkim na 100 hektarów ziemi uprawnej przypada w Jugosławii 114 osób, podczas gdy w Polsce 90, w Szwecji 26, w Ameryce 16.

W tym stanie rzeczy nie można się dziwić, że komuniści jugosłowiańscy zrezygnowali z pospiesznej kolektywizacji widząc w tym jedyną rozsądną możliwość szybkiego podniesienia produkcji rolniczej, od której przecież zależy wszystko inne. Już jednak obecnie widać, że jest to tylko pierwszy krok, po którym musi nastąpić dalszy, podwyżka cen rolniczych. Bez tej podwyżki chłop, jeśli nawet zacznie produkować nieco więcej — to jedynie na własny użytek i sprzedawać nie będzie. Tym bardziej, że nie ma zaufania do trwałości obecnej reformy, „gdyż z komunistami nigdy nic nie wiadomo” jak mi jeden z nich powiedział.

Nie wydaje się jednak, by zachodziła obawa powrotu do systemu przymusowej kolektywizacji. Dwa razy za życia tej samej generacji eksperyment taki nie jest możliwy. Komuniści jugosłowiańscy bynajmniej nie chowają pod korcem swego przekonania o wyższości gospodarki spółdzielczej, lecz odłożyli realizację tego planu na dalszą przyszłość.

Sekretarz Centrali Spółdzielczej, M. Raus, jest dobrze zorientowany w ruchu kooperacji rolnej na Zachodzie, utrzymuje kontakt z kooperatywami w Danii, Szwecji itd. i w rozmowie ze mną nie wątpił, że przyszłość rolnictwa należy do wielkich, mechanicznie uprawianych farm. W ustrojach kapitalistycznych będą to rzecz jasna wielkie majątki prywatne, w ustrojach socjalistycznych spółdzielnie rolne różnych typów.

Na ogół tok rozumowania komunistów jugosłowiańskich wydaje się następujący: We wszystkich krajach wysoko uprzemysłowionych chłop ucieka od ziemi i prywatne gospodarstwa leżą odłogiem opuszczone przez właścicieli, jak w Kanadzie, czy też zostają przejęte przez koncerty i połączone w wielkie „fabryki zboża”, jak w Ameryce, czy też wreszcie, przy pomocy subsydiów państwowych zostają łączone w większe kompleksy spółdzielcze, jak w Szwecji. W każdym bądź razie w krajach uprzemysłowionych znika zjawisko opiewane przez romantycznych poetów, a zwane „miłością chłopą do ziemi”, i miłość tę były farmer zaspakaja całkowicie przez posiadanie maleńkiego ogródka przy swym domku na fabrycznym przedmieściu, czy też doniczki w oknie.

Chłop i robotnik rolny tylko wtedy pozostaje na ziemi i nie ucieka do miasta, gdy jest subwencjonowany przez państwo. Trzeba mu zapewnić na koszt całego społeczeństwa dochody nieco wyższe, lub co najmniej takie same, jakie ma robotnik fabryczny i zmechanizować mu gospodarkę, co nie jest możliwe przy zwykłej, handlowej kalkulacji. Jednym słowem rolnik staje się cieplarnianą rośliną na opiece rządu. W tych warunkach, rzecz jasna, prywatna własność chłopska przestaje być jakimkolwiek problemem i politycy jugosłowiańscy liczą na taki właśnie rozwój sytuacji w rolnictwie po uprzemysłowieniu kraju.

W świetle tego, co było wyżej powiedziane można już dać odpowiedź na pytanie jakie postawiłem w jednym z poprzednich listów: dlaczego Jugosławia ociąga się z wejściem na drogę pełnej demokracji parlamentarnej?

Dlatego po prostu, że demokracja jest możliwa tylko w krajach uprzemysłowionych. Jedynie w takich krajach, gdzie większość wyprodukowanych dóbr przechodzi przez rynek towarowy — rząd ma możliwość kierowania społeczeństwem w sposób demokratyczny i liberalny, to jest przy pomocy instrumentu polityki gospodarczej i nacisku ekonomicznego. W państwie z gospodarką prymitywną — demokratyczny rząd staje wobec swych zadań bezsilny i albo sam bardzo prędko wyradza się w dyktando

ture (zaczynając stosować przymus fizyczny), albo zostaje usunięty przez jakąś przypadkową dyktaturę, najczęściej wojskową.



Przeglądając te notatki z Jugosławii doszedłem do wniosku, że grzeszą one pewną jednostronnością. Z natłoku wrażeń i doznań mam do dyspozycji tylko te, które silniej wdarły się do mej świadomości i za to nie ponoszę odpowiedzialności, gdyż nie mogę wyskoczyć ze swej skóry. Ale z tych wrażeń wybieram jednak, pisząc, tylko niektóre i czytelnik ma prawo wiedzieć dlaczego tak robię. Bieda tylko, że przyczyny takiego, czy innego wyboru nie są mi dostatecznie jasne. Mogę tylko snuć przypuszczenia na ten temat i sądzę, że dadzą się wyodrębnić dwa zwłaszcza czynniki wpływające na moją postawę i sposób selekcji materiału.

Po pierwsze jestem w tym kraju obcy i to włącza mnie, do pewnego stopnia przynajmniej, w gromadę cudzoziemców, którzy podchodzą do jugosłowiańskiej rzeczywistości uzbrojeni w długie szczypce, nieufni, stale podirytowani tym, że wszystko tutaj jest inne niż „powinno być”, to znaczy inne niż u nich. Amerykanie i Anglicy posuwają to tak daleko, że starają się nie jadać potraw miejscowych. W restauracjach dla cudzoziemców, jak Metropol czy Excelsior zabawnie wygląda zwłaszcza śniadanie, gdy kelner przynosi do stolików przeważnie tylko gorącą wodę w czajniku. Konserwową kawę, mleko w proszku, marmeladę i nawet masło goście mają własne.

Większość cudzoziemców przypisuje bez wahania wszystkie dostrzeżone braki komunizmowi i to jest właśnie to, co mnie uderzyło i kazało mieć się na baczności. Bez trudu mogłem zresztą skontrolować błędność wielu takich wniosków. Pamiętam przecież doskonale Annapol w Warszawie, wobec którego Jatagan Mała jest idyllą. Nie trzeba też jechać na kraniec Europy by znaleźć połamane krzesło w kinie — wystarczy się przejść po dzielnicowych kinach Londynu, czy Paryża.

Różnica sprowadza się więc do tego, że pierwszej klasy hotele, czy kina w Belgradzie stoją na poziomie odpowiednich instytucji drugiej klasy w Paryżu itd. To wszystko.

Lecz podobnie było i dawniej, a nawet gorzej. Turyści zagraniczni, którzy przed wojną zwiedzali ten kraj, pamiętają doskonale gromady wygłodzonych dzieciaków zebranych na każdej stacji kolejowej. Dzisiaj tego nie ma i jeśli w Jugosławii panuje bieda, to nie ma nędzy i głodu. System ubezpieczeń społecznych jest rozbudowany szeroko. Bezrobotny, który ma za sobą dwuletni staż otrzymuje przez sześć miesięcy zasiłek w wysokości 50 procent swych ostatnich poborów, a o pracę nie jest trudno. Zasiłek rodzinny wynosi około 2.000 dinarów na każde dziecko, co przy licznych rodzinach podwaja często zarobki głowy domu. Prócz ubezpieczeń chorobowych i emerytur wprowadzono powszechne renty starcze. Koszt tego wszystkiego jest wysoki, lecz

nie tak wielki, jak mogłoby się wydawać. Oplaty na ubezpieczenie obciążają przedsiębiorstwa i wynoszą średnio 40 % funduszu płac. (W Anglii 18,9 %, w Szwecji 18 %.)

Jak z tego widać obserwacje moje pokrywają się w pewnej, niewielkiej części z wrażeniami przeciętnego cudzoziemca z tą różnicą, że nie przypisuję wszystkich napotkanych „inności” brakom ustroju politycznego.

Dlaczego jednak z pewną lubością zatrzymuję się przy dostrzeżonych brakach, dając im przewagę w opisach? Czy tylko dlatego, że plany są bardziej dekoracyjne niż szary, mozołnie tkany samodziół powszednich dni?

Mam wrażenie, a raczej nawet pewność, że działa tu inny czynnik, zespół uczuciowy, który nazwać by można „emigranckością”, i którego odkrycie stało się dla mnie niespodzianką.

Dla emigranta politycznego, z któregośkolwiek kraju zakurtynowego, podróż do Jugosławii jest w pewnej mierze podróżą w przyszłość.

Gdy Jugosławia przed kilku laty wyzwoliła się spod panowania bolszewickiego — proces sowietyzowania był tam już daleko posunięty, a w dziedzinie gospodarki kolchozowej dalej znacznie niż w Polsce dzisiaj. Gdyby Polska jutro, czy pojutrze odzyskała niezależność — znalazłaby się wobec tych samych zagadnień, z którymi spotkała się Jugosławia, i podejrzewam mocno, że wiele z nich musiałoby rozwiązać w ten sam, lub bardzo podobny sposób.

Emigrant polityczny, który w czasie zwiedzania Jugosławii zda sobie sprawę z tego, że podróżuje w wellsowskiej maszynie czasu zaczyna się buntować — po prostu dlatego, że każde fatum rodzi bunt. Myśl o przyszłości, lepszej, czy gorszej — jeśli tylko nieuchronnie koniecznej przynębia i zawsze upokarza.

Tymczasem w Jugosławii natrafia się co krok na rzeczy i sprawy, o których rozsądek mówi, że są i u nas nieuniknione, a tak różnych od tego co sobie czasem wyobrażamy na pograniczu jawy i marzenia, że bunt rośnie przybierając niespodziewane formy.

Jedną z ukrytych form tego gniewnego protestu jest masochistyczna skłonność do notowania sobie w pamięci tego wszystkiego, czego nie chciałbym widzieć u siebie w kraju, a co, jak się obawiam, nastąpi. Są to mniej więcej te same zjawiska, które kiedyś staną się dla pewnej części emigrantów pretekstem, by w ogóle już nigdy do kraju nie powrócić: żadna przyszła Polska nie będzie po ich myśli.

Wszystko to nie znaczy bynajmniej, iż sobie wyobrażam że to właśnie titoizm jest nieunikniony. Titoizm jest systemem ideowo-politycznym, a więc zespołem środków, narzędziem do osiągnięcia pewnych celów. W Polsce, moim zdaniem, niezależnie od środków, a więc i systemu rządów, pewne zjawiska zachodzące obecnie w Jugosławii muszą się powtórzyć, a dotyczy to zwłaszcza samej struktury warstw społecznych, ich postawy życiowej, obyczajów i stylu życia. Już dzisiaj wywołuje we mnie

wstrząs i zgrzyt, gdy otrzymuję list młodego docenta politechniki w Polsce z pospolitym błędem ortograficznym. A wiem przecież, że tak być musi co najmniej w ciągu całego pokolenia, jeśli na uniwersytetach ma się uczyć 150.000 studentów zamiast czterdziestu tysięcy.

Łukasz WINIARSKI

(Dokończenie w następnym numerze.)

JANUSZ JASIEŃCZYK DO SWOICH CZYTELNIKÓW

Niedługo upłynie dziesięć lat od chwili rozpoczęcia przeze mnie pracy nad powieścią „Słowo o bitwie”, której tłem faktycznym jest bitwa Brygady Karpackiej pod Gazalą. Dotychczas opublikowałem w dziewięciu czasopismach emigracyjnych 15 dużych fragmentów tej powieści. 16-ty fragment został wyróżniony w ubiegłym roku na konkursie Radia Wolnej Europy w Monachium. Ogółem gotowe jest 80% całości — ponad 200 stron druku. W roku 1952 moja nie ukończona powieść została wyróżniona nagrodą literacką K.O.W. „Veritas” w Londynie.

Gdy w roku 1948 ciężkie warunki materialne zmusiły mnie do pracy fizycznej, a potem do szukania różnych zajęć dorywczych, musiałem pracę nad „Słowem o bitwie” przerwać. Następnie, korzystając ze stosunkowo dogodnych warunków, zaofiarowanych mi przez firmę wydawniczą Gryf, opublikowałem w odcinku „Orla Białego”, a w roku 1951 w formie książki, moją powieść o tematyce krajowej pod tytułem „Walter 7,65”, wreszcie w roku 1953 — powtarzając tę samą procedurę — dałem czytelnikom drugą część zamierzonej trylogii warszawskiej pt. „Brunatne i czerwone”.

Obecnie, wobec nieszczęśliwego splotu okoliczności stanąłem przed trudnym problemem życiowym i artystycznym. Brak posady i stałych dochodów ze źródeł pozaliterackich skłania mnie do powrotu do pracy fizycznej. W takim razie praca ośmiu lat życia poszłaby na marne. Z drugiej strony nie mogę od żadnego wydawcy wymagać, aby sfinansował wydanie książki jeszcze w pełni nie ukończonej.

Wobec tego, wyczerpawszy wszystkie normalne i półnormalne możliwości wydawnicze, nie widzę innego wyjścia, jak zwrócić się z apelem do Was: pomóżcie mi skończyć „Słowo o bitwie” i wydajcie je dla siebie.

Na ukończenie tekstu powieści potrzebuję paru miesięcy względnego spokoju. Obliczyłem, że uzyskanie 600 subskrybentów na „Słowo” umożliwiłoby mi jego skończenie i wydrukowanie książki. Powieść wyjdzie WĄSZYM NAKŁADEM, drodzy Czytelnicy. Nazwisko każdego, kto w ciągu najbliższych dwóch miesięcy wpłaci 13 sh. 6 d. za egzemplarz powieści (w Stanach Zjednoczonych \$ 2, we Francji 675 fr., w Niemczech 8.40 DM) będzie wydrukowane jako nazwisko jednego z nakładców. Każdy subskrybent otrzyma książkę numerowaną i z moim własnoręcznym podpisem a byli żołnierze S.B.S.K. z osobistą dedykacją. Po zamknięciu subskrypcji i wydaniu książki (to jest mniej więcej po 4-5 miesiącach) cena egzemplarza wyniesie będzie 17/6 (\$ 2,50, fr. 875, DM 10,60).

Wpłaty należy kierować na adres: J. PORAY-BIERNACKI, 47, Earls Court Road, London, W. 8, a we Francji na adres: J. Giedroyc, „Kultura”, 1, avenue Cornille, Maisons-Laffitte (Seine-et-Oise) — z zaznaczeniem, że jest to wpłata na „Słowo”.

Kto z jakichkolwiek względów nie życzy sobie figurować w spisie nakładców, powinien to wyraźnie zaznaczyć wprzy wpłacie.

Londyn, w lutym 1954.

Janusz JASIEŃCZYK

Niemcy po Wielkiej Przegranej

3

CZY HITLER BYŁ WODZEM?

Uczni w zakresie historii i psychologii długo jeszcze będą się biedzić nad zagadnieniem, ile było w charakterze i działaniach Hitlera wrodzonej inwencji, ile zaś postępującego z czasem szaleństwa. Istotnie: rzadko w dziejach, zarówno jak w studiach klinicznych, genialność stała tak blisko psychozy. Tyberiusz był fenomenem ludzkim i zbyt szlachetnym, aby do niego stosować porównanie; Neron — zbyt słaby i z natury mniej zdolny. Wielcy mongolscy chanowie, Czyngis czy Timur, być może, zbyt mało znani. Hitler, o którym wiadomo jest stosunkowo wiele, pozostaje fenomenem jedynym i niepowtarzalnym, enigmą bez klucza. Można co najwyżej powiedzieć że był odpryskiem szumowin, wyrzuconym w górę przez wiek demosu, a jednocześnie efemerydą nagromadzonych w głębinach barbarzyństwa energii.

Powyzsza diagnoza pozwala przedstawić, jeżeli nie rozwiązać, problemat Hitlera jako wodza. Cechy wodzostwa są zupełnie inne od tych, jakich wymaga szefostwo sztabu. Genialny Prądzyński nie miał danych, aby być wodzem naczelnym. Znakiem Moltke był klasycznym wzorem szefa sztabu; w operacyjnych decyzjach miał nad sobą wolę Bismarcka. Ludendorff, pomimo swych świetnych zalet w planowaniu i wykonaniu, zawodził, ilekroć sam decydował. Od szefa sztabu wymaga się wiedzy, opanowania szczegółów, krytycznej oceny warunków i możliwości. Do atrybutów wodza należy decyzywność w postanowieniach, nie uleganie przeciwnościom, ujęcie chwili i wybór kierunku.

Nie wszystkie z tych cech posiadał Hitler. Decyzje jego były sporadyczne, następowały jak gdyby w transie, nie dojrzewały w spokoju. Ale, gdy raz decyzję powziął, trzymał się jej

z uporem i niewzruszoną twardością i nie dał się sprowadzić z zajętej pozycji ani perswazjom czy oporom, ani doznany przeciwnościom. Miał natomiast instynktowne wyczucie właściwego do działań czasu — rzecz można, węż dla momentu słabości, zawahania, braku gotowości u przeciwnika. Wtedy uderzał natychmiastowo, nieodwołalnie i w najbardziej skutecznym kierunku. Miał wtedy również poczucie przestrzeni, i w wielkiej, „globalnej” strategii oceniał trafnie wzajemne znaczenie frontów i wagę uderzenia w określonej chwili i miejscu.

Powyższe cechy stratega dają się stwierdzić w biegu wypadków na konkretnych przykładach. Hitler już zawczasu wybrał właściwy moment, i do zajęcia Nadrenii — kiedy Francja nie była gotowa do wojny — i do przyłączenia Austrii wtedy, gdy nikt prócz jednego Mussoliniego nie był w możności temu przeszkodzić. Zajmując Austrię, osaczył czeski „czworobok” i obszedł nieufortyfikowaną część jego granicy. Wyzywające zajęcie Pragi w marcu 1939 — jeden z politycznych błędów Hitlera — staje się zrozumiałe jako strategiczne podejście do kampanii z Polską: przez wdarcie się na Słowacyznę, okrążał południowe skrzydło frontu polskiego. W wojnie z Polską uparł się przy podwójnym osaczeniu, ogarniając armie przeciwnika od północy przez Prusy Wschodnie, od południa przez Podkarpacie. Wojnę północną o wybrzeża duńskie i norweskie wygrał pod nosem panującego na morzach nieprzyjaciela przez podwójne zaskoczenie, polityczne i wojskowe. Wojnę z Francją wygrał, przyjmując i wprowadzając w życie plan Mannstein’a — przez zabójczy sztych pod Sedanem. W tej ostatniej kampanii, zaś po części i w poprzedzających, uczynił pełny użytek z nowych taktycznych broni — kolumn pancernych i samolotów nurkujących — jako pierwszy wódz, który się na nie zdecydował. Podjął więc, obok ryzyka politycznego i strategicznego, również i ryzyko taktyczne. A wreszcie, zrozumiał i wyzyskał, z szatańską wprost intuicją, moralne walory wojny, odtąd tak popularną „wojnę psychologiczną”.

Wszystkie te decyzje były albo przez Hitlera inicjowane, albo co najmniej akceptowane przezeń i na jego rozkaz wprowadzone w życie. Jest zaś istotną funkcją wodza dać plany sztabowe do wykonania i wziąć za nie odpowiedzialność. Pomimo to literatura powojenna niemiecka, zarówno polityczna jak wojskowa, stara się działania wojenne Hitlera pomniejszyć, rozłożyć pomiędzy inne czynniki dowództwa, wynaleźć geniusze zastępcze; odwrotnie, od chwili gdy odmieniło się szczęście, czyni Hitlera jedynym odpowiedzialnym za rozpoczynające się od końca 1942 klęski. Jak wczoraj słuchało się bez zastrzeżeń i wierzyło się ślepo, tak dzisiaj nicuje się Führer’a na wylot. Szuka się skrzętnie cech nieuctwa i nieudolności, braków metody, pospolitego samodurstwa, partactwa w rozporządzeniach. Śladem krytyków z dni sprzed wielkich powodzeń 1938 roku, cytuje się wierutne nonsensy wojskowe wodza. Kordt wypomina mu żonglowanie na konferencjach sztabowych cyfra-

mi i danymi wziętymi z fantazji, będącymi oczywiście piaskiem w oczy rzucanym przez Hitlera w przekonaniu, że jemu wszystko jest wolno. Weizsäcker ironizuje, aby czymś pokryć swe urzędnicze służalstwo. Schmidt i Hesse opowiadają anegdoty. Rutynowani wojskowi — Halder, Guderian — wytykają oczywiście błędy: ale Guderian, przedostatni szef sztabu, przeżył epokę upadku i pamięta głównie schyłkowe dni wodza; zaś Halder, nieco podobny do Gamelina pedant, mądry po szkodzie, był w czasie pełnienia swych funkcji szefa sztabu, narówni z innymi, ślepym wykonawcą. Faktem jest i pozostanie, że żaden z podkomendnych nie dorósł do poziomu Hitlera jako wodza: „miał jeszcze raz rację”, wyznawali z pokorą po każdym nowo osiągniętym sukcesie; i to „przeciwko wszelkim zasadom sztuki wojennej”. „Hitler dokonał tego sam”, powtarzali. Sam zdobywał się na ryzyko, „stawiając wszystko na jedną kartę”. Sam miał pasję wojny i umiał narzucać ją innym. Miał wreszcie wiarę w siebie i w swe przeznaczenie (1).

(1) Autorytet Hitlera jako wodza ustalony został, gdy w trzech kolejnych wypadkach powziął on decyzję wbrew kolejnym przestrogom swoich doradców: 1) w marcu 1936, zajmując Nadrenię, 2) w marcu 1938, wprowadzając wojska do Austrii, 3) we wrześniu 1938, zaostrażając kryzys czechosłowacki aż do stopnia pęknięcia; za pierwszym i drugim razem armia nie była gotowa, w trzecim linia Siegfrieda na zachodzie nie była jeszcze ukończona. Urobiła się wówczas opinia: „*Er wird auch diesmal Erfolg haben*”. Omylił się wprawdzie, licząc na nieinterwencję Anglii, a zatem i Francji: „*dieses Mal hat der Spieler falsch gezetzt*”; ale miał znowu słuszość, wierząc, że interwencja będzie nieefektywna i Polsce nie pomoże: „*.....Hoffnung mit Polen so schnell fertig zu werden, dass England und Frankreich gar nicht erst zur Besinnung kommen...*”. W kampanii polskiej przeprowadził koncepcję podwójnego, głębszego okrążenia, czym wprowadził chwilowo nadwyrężył solidarną akcję z armią sowiecką, lecz za to uniemożliwił racjonalną akcję odwrotową polską; według zeznań norymberskich Keitla i Jodla, por. Kukiel I. c., str. 8; zestawienie podwójnego okrążenia u Churchilla, *The Second World War* 1 str. 444 sqq. Kampania przeciw Francji planowana była pierwotnie przez Hitlera, wbrew opinii dowództwa, na listopad 1939; odłożona z powodu przypadkowego ujawnienia planów, byłaby, zdaniem rzeczoznawców, fiaskiem; kwestia ta pozostaje otwartą. Plan przebicia przez Mozę pod Sedanem, autorstwa von Mansteina, został akceptowany przez Hitlera i oddany do wykonania w lutym-marcu 1940: musi więc być przypisany jego wodzostwu. Z drugiej strony, szczegółowa analiza rozkazodawstwa Hitlera ujawnia w nim szereg wahań odnośnie powziętych już decyzji, np. odwołanie nakazanego już marszu na Polskę 25. 8. 1939, próba zatrzymania Guderiana na linii Le Cateau-Laon 17. 5. 1940, powstrzymanie kolumn pancernych w obliczu Dunkierki 24. 5. 1940; jednakże tylko drugi z tych trzech wypadków był zawahaniem czysto operacyjnym, w obu innych grały względy polityczne, przeważające rację wojskową.

Cytaty w tekście i w niniejszym przypisku wzięte są z książki generała Adolfa Heusingera, *Befehl im Widerstreit*, Tuebingen (1950), zawierającej szereg zapamiętanych, względnie zasłyszanych rozmów między kierowniczymi i wykonawczymi sztabowcami. Opinie gen. Guderiana, szefa sztabu od lipca 1944 do 28. 3. 1945, zawarte w jego *Erinnerungen eines Soldaten*, Tuebingen (1950), przedstawione są efektownie, ale na podstawie źródeł,

Należy więc przyjąć, gdy się ma do czynienia z fenomenem Hitlera, że ukazuje się on jak meteor, zarówno w swym locie wzwyż po orbitach hiperbolicznych, jak w swym upadku i zgaśnięciu. Należy skonstatować, że w pewnej chwili rozmach gubi się w przestrzeni, instynkt obraca się przeciw samemu sobie i zawodzi szczęście. Z końcem 1942 pojawiła się opracowana w sztabie niemieckim książka *Die Glückhafte Strategie* — Strategia Szczęścia, opisująca z lubością powodzenie w bitwach jako wynik wyższości wojskowych działań niemieckich, a jednocześnie nieomylnych wyroków losu. Jednakowoż istnieją granice, których przekroczyć nie można bezkarnie. W pewnym stadium ryzyko zmienia się w nieopatrność, kalkulację zastępuje zuchwałość a pewność siebie staje się szaleństwem. Wtedy w strategii opartej na szczęściu osaczenie obraca się przeciw osaczającemu, okrążający jest okrążonym, uderzenia w przestrzeń gubią się w przestrzeni samej. Zaczyna się strategia rozproszenia, w której wyciągnięte aż do stopnia pęknięcia linie, rozstawione na ogromnych odległościach fronty stają się zbyt wątle i nieoporne. Wtenczas, zamiast bić po kolei zaskoczonych przeciwników w rozstrzygającym kierunku, otrzymuje się niespodziewane ciosy z różnych stron i nie wiadomo jest w końcu, czego należy bronić.

Tak gaśnie gwiazda szczęścia Hitlera i reszta jego zawrotnej kariery odbywa się jak w transie somnambulicznym. Cechy istotne jego dowództwa obracają się przeciw niemu samemu: trwanie przy swoim jest już w końcu tylko uporem, bronienie uzyskanych raz pozycji — trzymaniem się bezradnym wszystkim i wszędzie; tak bystre przedtem uchwycenie momentu zamienia się w pasywne oczekiwanie na coś, co nigdy nie nadchodzi; przestrzeń, mierzona kiedyś drapieżnym rzutem oka, wymyka się poza krąg świadomości i staje czynnikiem zguby. „Rzeczywistego dowódcę — ostrzegali zawczasu sztabowcy — cechuje nie tylko planowanie wielkich operacji: musi on prze-trwać okresy kryzysu”. Nie może być porównania między ostatnim rokiem Hitlera, a Napoleonem we Francji w 1814 i pod Waterloo.

Pomimo to, obiektywna analiza wydarzeń pozwala stwierdzić, że Hitler w swym szalonym przedsięwzięciu ovladnięcia światem bliski był powodzenia. Jedynie w części można to przypisać niższej kategorii jego przeciwników. Sukcesy dziesięciu złowro-

w książkach Juergena Thorwalda *Es begann an der Weichsel i Das Ende an der Elbe*, Goettingen (1950). Opinie gen. Haldera, następcy gen. Becka, szefa sztabu od X. 1938 do XII. 1942, zawarte w jego dziełku polemicznym *Hitler als Feldherr*, Muenchen (1949); zdanie o tym dziś jeszcze pewnym siebie generale będzie można sformułować dopiero po ogłoszeniu jego dziennika, znajdującego się w *Library of Congress* w Waszyngtonie i znanego dotychczas wyłącznie z publikowanych w Ameryce i w Niemczech wyjątków.

Glueckhafte Strategie (Im Auftrage des Oberkommando der Wehrmacht, Berlin (Leipzig) (1942).

gich lat zawdzięczał on sile swego niesamowitego charakteru. Charakter jest znamieniem, odróżniającym wodza. I być może, w cechach charakteru leżała również jego zguba. Podobnie jak w poetyckiej przenośni Goethego, było przekleństwem tej złej natury, iż wciąż, od nowa musiała ona rodzić zło. Najbardziej podobny był do Timura, jak on powstał z niczego, jak on stał się gwałcicielem ludów, niszczycielem kultur. Podobnie jak Timur, sięgnął Hitler do szczytów swej orbity, po czym załamał się w niewiadomy sposób i zgaś — krótkotrwały meteor, w trudnych do ustalenia okolicznościach.

ROMMEL CZYLI LEGENDA O WODZU

Wódz doskonały przemawia zawsze do wyobraźni narodów. Hitler był, wraz ze swym niesamowitym instynktem wojskowym, demonem zła — do głębi odczłowieczoną naturą, a to co ujawniło się po śmierci z jego intencji i działań nie może, nawet w dzisiejszym zwyrodniałym świecie, stworzyć kultu. Nic więc dziwnego, że na gruzach kraju, nad bezimiennymi grobami niezliczonych ofiar, wyrasta wizja bohatera. Nie tylko w Niemczech, lecz może wszędzie, chciałoby się znaleźć coś dobrego w tej potwornej epoce, nadać jakiś sens tej bezcelowej wojnie.

Tym razem stało się coś osobliwego: bohater Niemiec został im zasugerowany z zewnątrz. To opinia angielska i jej zręczny inspirator — sam Churchill — podali inicjatywę wywyższenia i sławy generała Rommela. Byłoby rzeczą jałową zgłębiać zawiłości psyche publicznej angielskiej; łatwiej już jest badać pobudki słownych wystąpień Churchilla. W kampaniach afrykańskich 1940-1942 lat szczęście wojny było zmienne: naprzód wojska brytyjskie, pod świetnym dowództwem Wavell'a, pobiły na głowę Włochów; lecz wkrótce potem, osłabione kosztem nieefektywnej pomocy dla Grecji, musiały ustąpić przed ripostą przysłanego z odsieczą pancerną Rommela. Wówczas, w lipcu 1941, Churchill odwołał z placu boju niedogadzanego mu Wavell'a, a jego następcą, Auchinleck, wraz ze swymi mierzonymi generałami, Cunninghamem i Ritchiem, nie podołał zadaniu, i Rommel na czele swojej dywizji pancerniej znalazł się wiosną 1942 roku u wrót Egiptu, w bezpośredniej bliskości Aleksandrii. Dla dobrej tedy sławy dowództwa i wojsk brytyjskich, których 25-tysięczna grupa poddała się niezbyt sławnie w Tobruku, należało rozślawić Rommela i Churchill poświęcił mu jedną z gorętszych stron swej apologetycznej historii „Drugiej Światowej Wojny”. W ślad za nim i niejako pod egidą Churchilla inni angielscy autorzy kontynuowali gloryfikowanie: Desmond Young wydał pierwszą poświęconą wodzowi niemieckiemu monografię; Liddell Hart opublikował pozostałe po nim papiery, w przedmowie swojej równając go z Napoleonem, i jako stratega i jako wojennego pisarza. Wreszcie, znana wytwórnia

angielska przedstawiła jego dramatyczną historię w znakomitym zresztą i wzruszającym liczne rzesze filmie (2).

Historia przywrócić musi równowagę obiektywnie badanych faktów. Erwin Rommel był świetnym wojskowym — pomysłowym i odważnym: zaskoczył i rozbił najlepsze wojska angielskie, co więcej, rzucił na nie urok swojej postaci, swego piorunującego działania. Zachwiany dysproporcją sił, w końcu lata 1942 zdołał przerwać bój, dokonał więc jednej z rzeczy najtrudniejszych w prowadzeniu wojen. Posiadał też cechę umysłów genialnych — jasność ekspozycji i prostotę rozumowania — i pozostawił ich wyraz w swoich notatkach i pismach wojskowych. Był więc Rommel materiałem na prawdziwego — na wielkiego może wodza, ale mu los tej łaski nie pozwolił. Pozostawiony bez koniecznych posiłków, daremnie oczekujący dostaw, musiał zaniechać dalszej ofensywy w swym fantastycznym marszu na Egipt. Chory fizycznie, a pewnie nadszarpany duchowo, udał się na kurację na Semmering i opuścił El Alamein na trzy tygodnie przed decydującą bitwą. Wezwany przez Hitlera, ale z nadłamaną już wiarą w jego gwiazdę, Rommel wrócił na pole boju 26 października 1942 — wtedy, gdy nic już nie było do zrobienia. W końcu listopada, wezwany do głównej kwatery, przeżył tam jedną z tych scen upokarzających, jakie Hitler urządzał swoim podkomendnym; po czym wrócił do Tripolisu, opóźnił swą zręczną taktyką pościg Montgomery'ego, ale w pierwszych dniach marca 1943, przed samą ostateczną bitwą pod Marethem, opuścił znów armię w jej beznadziejnym położeniu — tym razem na stanowczo wydany mu rozkaz — i powrócił do Europy. Przez lato następne był z Kesselringiem w Italii, niewątpliwie przyczyniając się do umocowania nowego włosko-niemieckiego frontu; po czym w listopadzie 1943 skierowany został na inspekcję „wału atlantyckiego”. W lutym 1944 Hitler mianował go dowódcą północnego

(2) Inicjatywę wywyższenia Rommela dał Churchill w przemówieniu wygłoszonym w Izbie Gmin, 27. I. 1941: „*We have a very daring and skilful opponent against us and, may I say across the havoc of war, a great general...*” Ten niespodziewany komplement pod adresem wroga wywołał mieszane uczucia, jak o tym świadczy uwaga w IV tomie *The Second World War*, str. 67: „*I heard that some people had been offended. They could not feel that any virtue should be recognized in an enemy leader...*” Najwidoczniej, Churchill nie zdawał sobie sprawy z efektu takiej reklamy na morale własnych wojsk: niewątpliwie popularność wodza przeciwnej strony u Anglików i respekt przed nim odczuwany nawet wśród żołnierzy przyczynił się do lekkości, niezdeterminowania, z jakim prowadzona była cała kampania wiosny i lata 1942. Por. Desmond Young *Rommel*, London 1950, str. 147-61; książka ta, pisana z punktu widzenia wojskowego angielskiego, zawiera jednak cały materiał apologetyczny i pisana jest w tonie chwalby; na niej też oparty został film wytwórni 20-th Century Fox pod nazwą *The Desert Fox*. Ostatnio znany pisarz wojskowy angielski, kpt. B. H. Liddell Hart kierował wydaniem puścizny piśmienniczej: *The Rommel Papers*, London, 1953 i poprzedził ją apologią niemieckiego wodza.

Ze swej strony pisarze niemieccy przyznają, że sugestia angielska dała początek kultowi Rommela w Niemczech.

skrzydła frontu, między Holandią a Loarą, wciąż jednak pod zwierzchnictwem Rundstedta. W Italii zarówno jak na Zachodzie Rommel nie miał kierownictwa operacjami, a dość niejasne rozgraniczenie funkcji z Kesselringiem, Rundstedtem, a w końcu Klugem nie sprzyjało współpracy, zaś utrudniało planowanie. W przededniu inwazji amerykańsko-brytyjskiej na kontynent Rommel wyjechał do Berchtesgaden zdawać sprawę ze swej inspekcji i nie był obecny w pierwszych, rozstrzygających chwilach bitwy. Odtąd na wielkie decyzje było już za późno: 17 lipca, ostrzelany z alianckiego samolotu, Rommel definitywnie opuścił front (3).

(3) Życiorys Rommela; prócz wymienionych monografii angielskich: Lutz Koch, *Erwin Rommel, Die Wandlung eines grossen Soldaten*, Stuttgart, 1950; Hans Speidel, *Invasion 1944. Ein Beitrag zu Rommels und des Reiches Schicksal*, Tuebingen 1949; Karl Stroelin, *Verräter oder Patrioten*, Stuttgart 1952. Por. Helmut Krausnick, *Erwin Rommel und der deutsche Widerstand gegen Hitler*, ogłoszone w „*Vierteljahrshefte fuer Zeitgeschichte*”, I, 1. Siegfried Westphal, *Heer in Fesseln, Aus den Papieren des Stabschefs von Rommel, Kesselrings und Rundstedt*, Bonn 1952.

Ur. 1891 w Wirtembergii z rodziny nauczycielskiej, kończył szkołę oficerską w Gdańsku, w wojnie 1914 walczył na frontach francuskim, rumuńskim i włoskim; zaślubił w 1916 p. Molin, Pomorzankę z rodziny niegdyś włoskiej. Jako profesjonalny oficer piechoty, ogłosił w 1937 *Infanterie Greift An*. W 1938 mianowany komendantem Akademii wojskowej w Wiener Neustadt, dwukrotnie był detaszowany jako szef ochrony osobistej Hitlera. Wojnę 1939 rozpoczął w randze pułkownika w sztabie Hitlera w Polsce, był w Warszawie po jej zdobyciu. Angielski biograf, usprawiedliwiając go, cytuje Lloyd George'a na Konferencji pokojowej 25. III. 1919, protestującego przeciw „oddaniu dwóch milionów (*sic!*) Niemców pod władzę obcego narodu, który nigdy, przez całą swą historię, nie dowiódł zdolności do trwałego rządzenia samym sobą”.

Punktem szczytowym kariery wojennej Rommela były kampanie w pustyni libijskiej w listopadzie-grudniu 1941 i maju-czerwcu 1942; wrażenie było tym silniejsze, że poprzedziły je ze strony Churchilla zapowiedzi zwycięstw, równych największym w historii Anglii; ogólna ilość jeńców wynosiła ponad 50 tysięcy — strata tym boleśniejsza że, jeśli wierzyć Youngowi, zapomniano o nich w zawieszeniu broni włoskim i przetransportowani zostali z Italii do Niemiec.

Podwójne dowództwo w Italii, dzielone z Kesselringiem i jego negatywne konsekwencje omawia gen. Westphal, l. c. str. 237 sq.; na froncie atlantyckim, skomplikowane różnicą zdań w sprawach operacyjnych z Rundstedtem, wywołało tarcia z jego następcą Klugem; por. *Rommel Papers*, str. 508 sqq., 480 sq. Rommel nie miał okazji ani rozwinąć własnych planów strategicznych, ani ich samodzielnie realizować.

Rommel opuścił Afrykę 25. IX. 1942, poważnie chory; 23-24. X. rozpoczęła się bitwa pod Alamein; powrócił na front nazajutrz po telefonie Hitlera, 25. X. Opuścił Tunis 9. III. 1943, jak świadczy gen. Westphal, l. c., str. 192, „*auf ausdrücklichen Befehl Hitlers... obwohl er dringend darum bat, das Schicksal seiner Soldaten teilen zu dürfen*”.

Opinie o Rommelu jako wodzu były zawsze podzielone. Przeważnie określano go jako „*Feldherrn der vordersten Linie*”, Westphal str. 196, z uwagi na brawurowe prowadzenie w przedniej linii. Kluge, wysoce krytyczny, był niewątpliwie uprzedzony i wyrażał zdanie innej szkoły — dowódców „wschod-

Z tymi ostatnimi wypadkami i z końcową tragedią wiąże się sprawa osobna: stosunek Rommela do sprzysiężenia wojskowych. Na ten temat rozwinęła się ostatnio w Niemczech polemika, w której odezwali się neo-naziści, pragnący kontynuować tradycję „ulubieńca Hitlera”. I w tym wypadku, podobnie jak w innych, fakty pozostają najlepszym sprawdzianem: mimo tajemnicy, jaka z konieczności okrywała te sprawy, istnieją dziś świadectwa i dowody. Począwszy od jesieni 1942 Rommel, nie przestając być w łaskach, zaczął osądzać *Führer'a* krytycznie. Odtąd, w rozmowach z bliskimi i w nielicznych kontaktach poufnych, planował eliminowanie drogą wojskową otoczenia Hitlera jako w jego mniemaniu źródła zła. Równałoby się to internowaniu samego *Führer'a*; jednakże o zamachu na niego nie myślał i w przedsięwzięcie Stauffenberga i innych wtajemniczony nie został. W ostatniej fazie dyskutował zamierzone przez część spiskowców powierzenie mu prezydentury. Takim był jego udział w spisku. Zadenuncjowany przez pomniejszych agentów, wymieniony przez poddanego wymyślnym torturom generała Stülpnagela, 14 października 1944 popełnił wymuszone na nim na rozkaz Hitlera samobójstwo. W tragedii Niemiec nie odegrał większej niż inni roli. Wolno wątpić, czy byłby znakomitym naczelnym wodzem; przeznaczanie dlań roli Prezydenta, z przypomnieniem w dodatku tak wielkim zawodem zakończony ery Hindenburga, było wyraźnym nieporozumieniem.

W związku z wodzostwem Rommela i jego wstrząsającą tragedią powstaje inne jeszcze, dla historii niemniej ważne zagadnienie: ile generałowie niemieccy wiedzieli o zbrodniach Hitlera? i kiedy o nich powzięli wiadomość?

Można być przekonania, że Rommel był ponad wszystko inne liniowym oficerem; że w swoich latach afrykańskich zakrywał uszy od polityki, a to co przypadkiem usłyszał, przypisywał obmowie i plotce. Dalej, zapisać należy na rzecz jego, że gdy się części prawdy dowiedział, protestował u samego Hitlera i przy protestach swych obstawał; że wreszcie w najostrzejszy sposób skwalifikował, na najwyższym szczeblu odprawy wojskowej, rzeź w Oradour, dokonaną na rozkaz — zresztą omyłkowy — przez wojsko. To wszystko jest niewątpliwą prawdą, ale to wszystko działo się we Francji, w krajach Zachodu, lub w Niemczech, z masowymi mordami Żydów. Ale Rommel był we wrześniu 1939 w Polsce, był wprawdzie w sztabie, w skromniejszej jeszcze randze, ale widział Warszawę w dniu kapitulacji. Jego angielski biograf przyznaje, że nie miał on tam „wyrzutów sumienia”. Ale przecież musiał widzieć i zaobserwować wiele.

Istnieje o tych wstydliwych stronach wojskowości niemieckiej

nich”, Runstedta opinię po wojnie notuje Liddel Hart: „nie sądzę, aby był w istocie zdalny na wyższe dowództwo”. Własny szef sztabu, generał Bayerlein, sędzi sceptycznie, że „mógł on nie być wielkim strategiem”: por. Young, *l. c.* str. 131, 194. Bezstronna, choć nader pochlebna, ocena syntetyczna u Westphala, *l. c.*, str. 193-197.

świadczenie miarodajne: jest to dziennik prowadzony współcześnie przez Ulricha von Hassela. Począwszy od 11 października notuje on regularnie nikczemności popełniane przez Niemców w Polsce. Mówi o wsiach całych „otaczanych a następnie podpalanych”, podczas gdy ludność w nich zamknięta, „błagała się, krzycząc w niebogłosy”. Opowiada o „brutalnym użyciu lotnictwa”, o „potwornych bestialstwach SS-manów”, o pędzaniu ludzi w zimie, przez rzeki, na sowiecką stronę. Mówi o „zniszczonej Warszawie”. Stwierdza w tym wszystkim inicjatywę własną Hitlera, rozkazującego podkomendnym, by swoje „szatańskie dzieło w Polsce prowadzili do końca”. Wymienia poszczególne wojskowe — Geyra, Canarisa, samego Haldera, których „nerwy ucierpiały od popełnianych okropności”.

Nie jest rzeczą możliwą, aby wojskowi, dowódcy zarówno jak sztab, o tym wszystkim nie wiedzieli. Hassel cytuje swoje liczne rozmowy, a w nich wielokrotnie podnosi „hańbę” prowadzenia wojny w Polsce, „okrucieństwo” stosowane wszędzie, okrywające „plamą imię Niemiec”. Cytuje meldunek jednego z prowadzących generałów, Blaskowitza, ostrzegającego Hitlera, że metody stosowane w Polsce mogą jutro obrócić się przeciw narodowi niemieckiemu. Zresztą ignorancja była wykluczona z góry; sam Hitler jasno określił metody swojej wojny 22 sierpnia wobec licznych generałów, zgromadzonych na Berghofie: „w sercach zamknąć wszelkie uczucie litości; postępować brutalnie; być twardym: silny ma prawo”. Generałowie, dowódcy, sztabowcy wiedzieli więc dobrze, na co idą, co czynić mają. Nie potrzebowali, aby im Dachau i Oświęcim, Oradour i masowe duszenie Żydów otworzyły oczy. Chcąc uchować ostatki sumień, stosowali w swych czynnościach *restrictio mentalis*: odpowiedzialność swą redukowali do spraw wojskowych, politykę zostawiając Hitlerowi, oddziałom SS i Gestapo. Przez przymknięcie oczu na dokonywaną tuż obok, przez wodza armii, zbrodnię nie ratuje się jej honoru (4).

NIEMCY A ROSJA — SPRAWA WŁASOWA

Wojna — Druga Wojna Światowa — wynikła skutkiem niesprobowanej niczym napaści Hitlera na Polskę, zaś napaść tę umożliwiła pomoc, dana Niemcom hitlerowskim przez Rosję

(4) Należy pamiętać, że Rommel był przez czas jakiś instruktorem *Hitler-Jugend*, że dwukrotnie powierzona miał ochronę Hitlera, że odbył kampanię polską w jego sztabie. Von Hassel nazywa go jeszcze 9. VI. 1943 „współodpowiedzialnym ulubieńcem” Hitlera: nie mógł więc wtedy znaleźć do opozycji. Pierwszym symptomem moralnego buntu było spalenie przez R. rozkazu Hitlera z 28. X. 1942 o rozstrzeliwaniu komandosów, poświadczony przez Westphala, *l. c.* str. 196. W lecie 1943 przedstawił Hitlerowi, osobiście i na piśmie, pogląd na konieczność zrewidowania prowadzonej polityki. Dalsze etapy opozycyjnej postawy R. w stosunku do reżimu przedstawione szczegółowo przez Krausnicka, *l. c.*

sowiecką Stalina. Powyższy układ faktów należy mieć stale i ciągle w pamięci przy badaniu przyczyn, przebiegu i następstw tej wojny. W ich świetle zrozumiałe się staje, że wojna przybrała charakter tak nikczemny jak żadna z wojen nowoczesnych. U początku jej legł spisek niemiecko-sowiecki, który spowodował, że narody podzielone zostały na dwie kategorie: jedne mające prawo panować, drugie mające obowiązek się poddać (5).

Istnieje jednakowoż w tej bezmyślnej i bezcelowej, a niszczyielskiej i okrutnej wojnie taki moment, kiedy następuje ostateczne jej odczłowieczenie; można je również nazwać wygnaniem wojny. Widoki ruin i grabieży wśród odwiecznych ludzkich siedzib, dym i swąd niezliczonych pogorzelisk, opary wstające z mordowanych ciał i przeszywający głos ofiar zwyrodniałego bestialstwa: wszystko to deprawowało dusze, paczyło umysły. Jak ktoś już trafnie zauważył, można oplakiwać zgon drogiej osoby, utratę bliskich; ale hekatombę nieprzeliczonych ludzi pozostawiają oczy suche, jeno ich czad przeżera pokolenia. Takim był rok 1916-1917, dni rzezi, które załamały Francję a wychowały Hitlera. Takim był rok 1943, dni próby i chylenia się szali, gdy wytylały nadzieje na lepszy, odrodzony świat.

Rzecz najbardziej znamienita: ten proces odczłowieczenia następuje nieomal równocześnie po obu stronach przestrzennego frontu, w obrębie „Wielkiego Przymierza” powstałego przeciw Niemcom zarówno, jak w Niemczech samych. Momentem zwrotnym po stronie Sprzymierzonych wydaje się być konferencja

(5) Inicjatywa nowego, dyskryminacyjnego traktowania narodów sięgająca oczywiście Konferencji monachijskiej 29. IX. 38 i odmowy Niemiec, akceptowanej przez Wielką Brytanię i Francję, powołania Czechosłowacji do współudziału w decydowaniu o jej własnych sprawach. Dalsze zastosowanie znalazła też sama metoda w traktowaniu państw bałtyckich przez Z.S.S.R. w rokowaniach 1939 roku z Wielką Brytanią i Francją. Notą z 17. V. Sowiety zażądały gwarancji wspólnej dla tych państw, a wobec negatywnego ich stanowiska zażądały 2. VI. zobowiązania do wojskowej dla nich pomocy, nawet w wypadku ich sprzeciwu. Nazajutrz w Izbie Gmin N. Chamberlain określił „the position of certain states which do not want to receive a guarantee... It is manifestly impossible to impose a guarantee on states which do not desire it...”

Koncepcja „gwarantowania” państw wbrew ich woli, a czasem bez ich wiedzy pochodzi z XVIII wieku i zastosowana była do Polski i do Turcji; poprzedziła wówczas okupację wojskowe i rozbiory. W podobny sposób latem 1939 Sowiety planowały gwarantowanie i okupowanie Polski: 14. VIII., w dopiero co rozpoczętych pertraktacjach wojskowych sowiecko-brytyjsko-francuskich, Woroszyłow zażądał ultimatywnie dla wojsk sowieckich prawa przemarszu przez Polskę w dwóch zasadniczych kierunkach — na Wilno i Lwów. W tym zresztą momencie cała ta kwestia posiadała już tylko charakter kazuistyki dyplomatycznej, bowiem Sowiety miały już od 10-12 VIII. gotowe porozumienie z Hitlerem, rozgraniczające obustronne „sfery żywotnych interesów” — podstawę okupacji wrześniowej. „Hitler wygrał wyścig”, jak konkluduje E. Kordt, i przeprowadził, tym razem ze Stalinem, wspólną im koncepcję, rozróżniającą narody suwerenne z jednej strony, ograniczone w swej suwerenności z drugiej.

ministrów i sztabowców w Moskwie, najbardziej może złowroga, lecz najmniej znana: zignorowano tam kartę atlantycką, podpisaną zaledwie przed półtora rokiem i pod pozorem rozgraniczenia frontów i dowództw utworzono sfery wpływów, nie bacząc na zaludniające je narody. Równało się to zrezygnowaniu z celów wojny, z wyzwolenia podbitych przez Hitlera ludów i wydaniu ich na pastwę bolszewizmu.

W tymże samym czasie, w ciągu tegoż 1943 r., Hitler traci również z oczu to co dotychczas za cel swej wojny podawał. Przestał być tym celem „nowy porządek”, planowany na gruzach dawnej Europy; nie była nim już nawet walka z bolszewizmem, odgrzana w 1941. Jednocześnie, ten władca absolutny, panujący na kontynencie, ten wódz na czele dziesięcio-milionowej armii, poczuł się osaczony i stracił równowagę a dotychczasową strategię ruchu i błyskawiczne działania zastąpił obroną każdej pozycji, bez żadnego względu na operacyjną całość. Wtenczas to nawet wierny Rommel notuje objawy postępującego u Hitlera oblędu. Wtenczas mnożą się masowe zbrodnie; miejsce jakiegokolwiek planowania zajmuje stosowanie bezwarunkowego gwałtu; wojna, rządzenie, naród niemiecki, sama nawet Rzesza, stają się li-tylko środkiem służącym władzy, uporowi, dufności jednego człowieka. Hitler stał się maniakiem i gwoli powziętej *idée fixe* pociągnął za sobą w przepaść naprzód Niemcy, potem świat (6).

Tym latom schyłkowym poświęcone są wstrząsające książki Jürgena Thorwalda: opisy ostatnich kampanii nad Wisłą i nad Elbą, sylwetki tajemniczo zaginionych generałów i wreszcie, ostatnia z rzędu opowieść — sprawa generała Własowa, pod wymownym tytułem: „Kogo bogowie zamierzają zniszczyć...” tego naprzód ślepotą pokarzą (7).

(6) Akta wojskowe konferencji ministrów spraw zagranicznych trzech mocarstw, odbytej w Moskwie w październiku 1943 nie zostały dotychczas ujawnione. Z różnych danych pośrednich wnosić można, że rozgraniczone tam zostały rejonny dowództw, co przesądziło o *desinteressement* mocarstw zachodnich w stosunku do Polski i o podziale Niemiec.

Rommel o Hitlerze w końcu lipca 1943: „chwilami czuje się, że nie jest on już całkiem normalny”. Według zapisek Manfreda Rommela, *The Rommel Papers*, str. 428; tamże zanotowano współczesne słowa Hitlera: „jeżeli naród niemiecki nie jest zdolny wygrać wojny, to niech zgnije”. Studium o postępującej demencji Hitlera jest jeszcze sprawą otwartą. Trudno jest zgodzić się ze zdaniem Bullocka, l. c. str. 644, iż „nie można odrzucić (jego) koncepcji jako tworu chorego umysłu”. Przeciwnie, wydaje się stwierdzać, że koncepcje te, a równocześnie same działania, ulegają od 1942 roku rozkładowemu procesowi, poza granicą normalności.

(7) Juergen Thorwald, *Es begann an der Weichsel*, Stuttgart (1950); *Das Ende an der Elbe*, dtto; *Die ungeklärten Faelle*, dtto; *Wenn sie verderben wollen. Bericht des grossen Verrats*, Stuttgart, 1952. Recenzja tego ostatniego dzieła w „*Das hist.-polit. Buch*”, 1953, str. 52 sq. nie bez słuszności krytykuje użytą przez autora formę reportażu i rekonstruowanych rozmów, konstatując że „*die Wlassow-Aktion ist in einem Masse in den mittelpunkt des Geschehens gerueckt, die ihr tatsachlich nicht zukam*”.

Wojna z Rosją — czy wojna przeciw bolszewizmowi — rozpoczęta została przez Niemcy bez określonego z góry programu, ściślej mówiąc, z dwoma przeciwnymi zamiarami. Pierwsze, reprezentowane przez mianowanego ministrem Wschodu Rosenberga, miało na widoku rozczłonkowanie Rosji. Drugie, planowane przez Himmlera i najbardziej samemu Hitlerowi odpowiadające, przewidywało utworzenie wielko-niemieckiego mocarstwa, sięgającego „po Ural”, czy chociażby po Wołgę, i gdzie plemiona słowiańskie — *die Untermenschen* — skazane zresztą na stopniowe wymieranie, służyłyby jako pracująca czerń niewolnicza. Oba pomysły były niewykonalne. Aby rozciągnąć supermocarstwo do Uralsu czy Wołgi, trzeba było najprzód wygrać wojnę. Aby rozczłonkować Rosję, należało wiedzieć jakie są jej członki. Rosenberg konstruował formacje skrzydłowe: na północy — własne swe *Balticum*, na południu — Ukrainę; ale brakowało mu kadłuba, gdyż dla niego podobnie jak i dla Hitlera i Himmlera nie istniała Polska. Zresztą Ukrainie także od początku sprzeciwił się Hitler: „mnie interesuje Ukraina, mówił na półtora miesiąca przed rozpoczęciem ataku, — wyłącznie jako rezerwuwar, potrzebny nam jak innym kolonie”. Poza tym — mówił — możecie wyprawiać z tymi dzikimi ludami co wam się tylko podoba”. W połowie lipca „komisarzem” Ukrainy wyznaczony został Koch, „najtwardszy” z *Gauleiterów*, jako jedyny dający Goeringowi pełną gwarancję wyeksploatowania kraju bez reszty. Jawnie, wbrew Rosenbergowi, postawił on sobie za cel „unicestwienie” Ukrainy: ku końcowi pierwszego roku wschodniej wojny, publicznie nazwał ludność hołdującą Niemcom w Melitopolu *dieses Negervolk*, a na bankiecie w Kijowie, gdy ktoś wspominał o projekcie założenia uniwersytetu, oświadczył: „jeżeli znajdzie Ukraińca, godnego usiąść ze mną przy jednym stole, zmuszony będę go rozstrzelać”.

W tymże właśnie czasie, na odprawie u Hitlera, 8 czerwca 1942, zapadła jedna z tych decyzji, co przesądziły o wyniku wojny. Nie tyle decyzja sama, ile jej motywacja, rzuca niespodziewane światło na głębsze źródło edukacji politycznej Hitlera, związane z Ludendorffem i z kliką zaborczych nacjonalistów niemieckich z okresu pierwszej wojny. Wtenczas to, jak notuje słowa wodza protokół odprawy, „mieliśmy tragiczne doświadczenie z Polską... historia zaczęła się od na razie tak niewinnie wyglądających polskich Legionów... Kiedy potem w 1916 nastąpiły dni wielkich kryzysów, ludzie naokoło potracili głowy... Ludendorff usprawiedliwiał się później, że wmówiono w niego 500 tysięcy (polskich) żołnierzy, podczas gdy każdy rozsądny człowiek powiedziałby (mu) od razu: nie dostaniesz żadnych 500 tysięcy na wojnę z Rosją, natomiast Polacy wystawią swoją armię po to, aby Polskę wyzwolić...”

Z chwilą gdy w ten sposób dążenie innych narodów do uzyskania dla siebie niepodległego bytu uznane zostało za sprzeczne z żywotnym interesem Niemiec, decyzja sama stała się prosta i naturalna: żadnych obietnic ludom podbitym czy gnębionym

przez Rosję; żadnego „wyzwolenia” dla tych ludów; wyłączną wskazówką miał być interes i przemoc. Takie wytyczne dotyczyły również warunków socjalnych: kolektywizacja pozostawała w mocy, gdyż stanowiła ułatwienie ściągania nakazanych dostaw; zachowane więc zostały kołchozy, znienawidzone przez ludność, nie przywracane zaś nigdzie prywatne posiadanie ziem. Podobne wytyczne dotyczyły również narodu rosyjskiego: żadnej uwagi nie miało się zwracać na ujawniającą się opozycję ludności przeciw ustrojowi, żadnej na zgłaszających się masowo i dobrowolnie jeńców: byli to przecież *die Untermenschen* — formuła, karykaturująca słynną fantazję Nietzschego — istoty niższego rzędu, miąga mogąca być dowolnie zużyta czy zdeptana (8).

Fakty powyższe są na ogół znane już dostatecznie: z przestępstw norymberskich, z historycznych materiałów i opracowań. Nowością jest ujawnienie przez Thorwalda sprzysiężenia wojskowego o celach politycznych, odnoszących się do Rosji. Z grupą oficerów czynnych w tej sprawie wiązali się wybitni sztabowcy i dowódcy — generał-major von Tresckow, komenderujący armią generał Köstring, czasowo także feldmarszałek von Kluge; przez pułkownika Stauffenberga istniała pośrednia łączność ze spiskiem, planującym zamach na Hitlera. Dążeniem, reprezentowanym przez znakomitą większość uczestników, było przywrócenie Rosji nie-bolszewickiej i odnowienie sojuszu niemiecko-rosyjskiego. Zamierzenie takie nie wydawało się wcale utopią. Z ogólnej liczby trzech milionów jeńców, wziętych w kampaniach 1941 i 1942 roku, ponad 900 tysięcy zgłosiło się na ochotnika do Niemców. Poddawali się chętnie oficerowie i wyższe szczeble. W grudniu 1942 powstał przy czynnej pomocy przyjaciół niemieckich „Komitet Smoleński”, zainicjowany rok przedtem przez radnych tego miasta. Dla tworzących się samorzutnie oddziałów rosyjskich poszukiwano wodza — niezbędne w takim wypadku imię, mogące stać się sztandarem. Ciekawe, że w zarządzonych przez sztabowców niemieckich poszukiwaniach zatrzymano się na dwóch nazwiskach: Własowa i Rokossowskiego, którego zdawały się predestynować do nowej roli przeżycia w lochach NKWD. Los nie pozwolił Rokossowskiemu odsonić swego właściwego oblicza. Natomiast, 4 września 1943 zidentyfikowany został kryjący się po ciężkiej wiosennej przeprawie na błotnistych dostępach do Leningradu komendant grupy armii sowieckich, Andrzej Andreicz Własow. Charakterem, obyczajem, men-

(8) Charakterystyki Rosenberga i Himmlera u Thorwalda, l. c.; sylwetka Kocha tamże, a dalsze jego koleje opisane szczegółowo w *Das Ende an der Elbe*. Według Thorwalda, przydzielenie Lwowa i Małopolski wschodniej do *General-Gouvernement*, a nie do planowanej przez Rosenberga Ukrainy było pierwszym ciosem dla jego koncepcji: świadczy to między innymi jak dalece nie rozumiał znaczenia Polski w dziele rozczłonkowania Rosji.

Konferencja na Berghofie, 8. VI. 1943, przedstawiona u Thorwalda, l. c. str. 234 sqq., według zachowanego protokołu.

talnością uosabiał on dla oficerów niemieckich dawną, znaną Rosję. W jego sylwetce, rysowanej z wizjonerskim rozmachem przez Thorwalda, odżywa nie tylko los dowódcy i jego żołnierzy; niespodziewanie powraca na widownię Niemiec kult Rosji (9).

Tragedia Własowa i utworzonej przez niego u boku Niemców siły zbrojnej jest w ogólnych zarysach znana. W tychże samych dniach wrześnieowych, kiedy grupa sprzysiężonych oficerów rozpoczynała konstruktywne z nim rozmowy, w głównej kwaterze zapadły nieodwołalne decyzje Hitlera, przesądzające o ruinie całego przedsięwzięcia. Późną jesienią zaczętki armii rosyjskiej przeniesione zostały na front zachodni i południowy, a tym samym pozbawione własnej racji bytu. W pół roku potem, w początku lata 1944, oficerowie-inicjatorzy, chcąc ratować resztę swej idei, oddali sformowane, przeszło stu tysięcy, wojska oddziałom bezpieczeństwa SS, czyli Himmlerowi. „Cóżście ze mnie zrobili? Czym ja sam teraz jestem?” skarżył się bezradnie Własow. Na jednej z najbardziej przenikliwych kart swojej książki rozważa Thorwald głębszy sens całej sprawy. Własow i własowcy wychowani byli w ciasnych ramach bezczłowieczego systemu — materializmu dialektycznego. Ze świata tego „Własow przybywał jako poszukujący, szukając uczciwego, bardziej ludzkie-

(9) O Rokossowskim : Thornwald, l. c., str. 105 : „*bei wochenlangen Gesprächen und Beratungen mit unseren Russen tauchen immer wieder die Namen Rokossowski, Malinowski oder Wlassow als Typnamen auf*”. Tamże, str. 385, udratyzowane nieco wynurzenia Własowa do Himmlera, 16. IX. 1944 : „*glauben sie nicht, dass selbst ein Mann wie Rokossowski die Zähne vergessen hat, die ihm im Gefaengnis ausgeschlagen wurden!*”.

Stosunek Własowa do narodów pobitych przez Rosję, częściowo uwiódziony u Thornwalda, wymaga osobnego studium. Do czasu ujawnienia się Własowa użyte przez Niemców oddziały „ochotnicze” składały się przeważnie z Ukraińców, Kaukazyjczyków i Turkmenów. Własow od początku wzdurzał się przeciw uznaniu niezawisłości innych narodów zamieszkujących w imperium rosyjskim; dopiero pod naciskiem bardziej ogólnych oficerów niemieckich przyjął do 13 punktów Smoleńskiego Komitetu punkt ósmy, zresztą ogólnikowo sformułowany : „*Garantierung der völkischen Freiheit*”. Właściwie jednakże tendencje inicjatorów niemieckich sformułował w grudniu 1943, na posiedzeniu u Rosenberga gen. Schenkendorff : „*wir wollen und müssen auch später mit dem grossen russischen Volk, mit dem uns so viel ergaenzendes verbindet, in Freundschaft leben...*”.

Własow, zarówno jak jego zastępca, gen. Małyszkin, wypowiadali się za „*cielostnuju Rosiju*”. Tytułem kompromisu tymczasowy rząd wyzwolenia Rosji nazwany został „Komitetem wyzwolenia ludów Rosji”. Pomimo to istniały stałe rozbieżności, które jeszcze na jesieni 1944 wywoływały ostre zatargi z przedstawicielami innych narodów, opowiadającymi się za Niemcami. Por. Thornwald, str. 170, 183, 269, 420 sqq.

W opisach i rozważaniach Thornwalda przebiega się od początku do końca entuzjazm dla sprawy odrodzenia Rosji i wznowienia „braterskich” więzów z Niemcami. Niektóre drażliwe momenty są pominięte, jak np. podawany przez źródła polskie udział „Własowców”, względnie Ukraińców w tłumieniu powstania warszawskiego. Źródła niemieckie, istniejące jak do wódzki książka Thornwalda w pokaźnej ilości, powinny się przyczynić do wyjaśnienia tej sprawy.

go systemu”, i w tym poszukiwaniu szedł wzorem innych, dawnych Rosjan — do Niemiec. Na tej tradycyjnej drodze obiecywał sobie znaleźć nie tylko sprawność, nie tylko wypełnienie, ale również ludzkość. Znalazł — Hitlera : bezdusność zamieniającą się w opętanie.

Tragedia Własowa wyrasta w ten sposób do rozmiarów problemu Wschodu w jego stosunku do Europy. Własow uchodził przed bezdusnością, przed tyranią, przed okrucieństwem Rosji. Znajduje, na pierwszym swym etapie, w 1943-1944, to samo okrucieństwo, ten sam dogmatyzm bezmyślny, takąż tyranię. Następnie, wśród rozkładu hitlerowskich Niemiec, widzi on zorzę wstającą od Zachodu — i znowu wierzy w Zachód, jest przekonany, że tam, poprzez gruzy dwóch tyrani, odnajdzie człowieczeństwo. Wtedy, w drugim etapie, w 1944-1945, szuka Ameryki, „nowego świata”. Znajduje — on i jego żołnierze — zmotywowane kolumny zwycięzców, wiozące ich na wschód, z powrotem na pastwę tegoż okrucieństwa, teje tyranii, od której apelowali do Zachodu po ratunek. Ale Zachód zaprzeczył sobie samemu i utracił już wówczas jedyną podstawę swej wyższości: — człowieczeństwo.

WARSZAWA I DREZNO

Gad na wpół rozdeptany jest najniebezpieczniejszy : jego ukąszenia stają się śmiertelne. W historii ostatnich dni Hitlera niesamowite jego ocalenie od zamachu Stauffenberga jest datą zwrotną; odtąd zaczyna się nieodwołalny upadek. Lecz zanim ten finał nastąpi, odbywa się ponury akt zemsty : mści się na narodzie niemieckim za to, że próbował rewolty i odmawiał samobójstwa; mści się do końca na Polsce za to, że stawiała mu opór i unicestwiła jego najprzemysłniejsze rachuby.

W dniu 20 lipca 1944 bomba podłożona w baraku dowództwa kwatery głównej ogłuszyła tylko i obezwładniła chwilowo Hitlera. Natychmiast, jeszcze przed końcem miesiąca, Himmler otrzymał zlecenie likwidacji spisku, zaś Goebbels — totalnego wojennego pogotowia. We wrześniu wydane zostały rozkazy niszczenia w odstępowanym kraju wszystkiego, co mogłoby posłużyć nieprzyjacielowi. W końcu lata i w ciągu jesieni odbyło się systematyczne mordowanie pozostałych samodzielnie myślących, szukających ratunku Niemców. Nade wszystko jednak niehamowana mściwość spadła na narody trzymane jeszcze w najjeźdźczych szponach. Powstanie w Warszawie dało pretekst do najpotworniejszej z przedsięwziętych zbrodni (10).

(10) Następstwa nieudanego zamachu na Hitlera nie są dotychczas opracowane ani przedstawione w całości. Zestawione są w wielkim skrócie, ale dość poprawnie przez E. Kordta, *Wahn u. Wirklichkeit*, str. 382-385. Por. Bullock, l. c. str. 685-695 : jest charakterystyczne dla współczesnej historiografii angielskiej, że Bullock nie tylko nie uwydatnia polskiego kom-

Warszawa powiązana była od początku niemi tajemniczego związku z kompleksem satanicznym Hitlera. „Nawarzę im diabelskiego trunku”, zapowiedział, szykując się do jej zniszczenia. Napawał się potem jej strasznym widokiem i w gronie intymnym zapowiadał, że nie będzie tam czego odbudowywać. Przede wszystkim jednak planował, już po rozpoczęciu wojny z Sowietami, „eine Eindeutschung der Polen”, pozbawienie Polaków wszelkiej możliwości uprawiania własnej kultury i obrócenie centrów dziejowego jej rozwoju w rozsądni germanizmu, tak aby zatrzeć nawet ślad odrębnej narodowej przeszłości. Taką, subtelnie przemyślaną i głęboką miała być zemsta wywarta na Polsce. Takim był sens kary wymierzonej Warszawie. Zdawać się mogło nowym siepaczom, podobnie jak przed wiekiem, że to „jedna Warszawa mocy (ich) urąga”.

Zniszczenie Polski, jej „przeniemczenie”, wytracenie jej odwiecznej kultury, było zadaniem możliwym do spełnienia jedynie przy pomocy barbarzyńskiego Wschodu, przy współdziałaniu Rosji. Dzięki paktowi ze Stalinem mógł Hitler we wrześniu 1939 zacząć burzyć Warszawę. Dzięki biernemu przyzwoleniu Stalina mógł dzieło swe skończyć w pięć lat potem, we wrześniu 1944. Stalin nie tylko dwukrotnie wstrzymał swe wojska, już będące na przedmieściach Pragi, lecz odmówił zezwolenia na lotniczą pomoc anglo-amerykańską. Działal on tedy zgodnie z wzorami klasycznymi: już bowiem Macchiavelli, w pouczeniach dla „Księcia”, przewidywał zdobywanie nowych panowań cudzymi wojskami; tak Stalin, nie ruszywszy sam, zdobywał pobożowisko Warszawy. Tymczasem nad stolicą Polski rozpostarł się demon zniszczenia. Nie ma statystyki, która przeliczyłaby ofiary: sumarycznie mówiono o ćwierci miliona zabitych. Co więcej ciąży na losach narodu — strata tysięcy jego synów? Czy też utrata pomników i zabytków cywilizacyjnej przeszłości? Ktoś obliczył, że praca jednego pokolenia stanowi większą wartość, aniżeli będące w jego posiadaniu, nagromadzone przez wieki bogactwa. Ale rzecz w tym, że skarbów kultury nie podobna jest ocenić ani zmierzyć; są jednorazowe i niezastąpione. Naród pozbawiony ich jest jak człowiek który utracił pamięć, jak drzewo, któremu nawałnica wyrwała korzenie (11).

pleksu Hitlera, ale ani jednym słowem nie wspomina Powstania Warszawskiego i w swej obszernej biografii nie mówi nic o rozkazie Hitlera dotyczącym zburzenia Warszawy.

(11) Hitler i Warszawa: Hitler był w Warszawie 5. X. 1939; por. opowiadanie jego u Bruckmannów, podane przez von Hassela, l. c. str. 110 sq.: „er hat lange von Warschau erzählt, von dem nur ein ganz kleiner Teil lohne, wieder aufgebaut zu werden, das meiste sei ein hoffnungsloser ruimmerhaufen. Irgendein Gefühl hat er dabei nicht gezeigt...”. Stosunek do Polski w 1942, por. *H's Tischgespräche*, str. 69, 306. Nie ma żadnych danych, aby Hitler w 1941-1942, w rozpoczynającej się rozprawie z Rosją, zrozumiał kluczowe znaczenie Polski.

Rozkazy Hitlera, dotyczące zburzenia Warszawy, ujawnione zostały w czasie procesu przestępców wojennych w Norymberdze; por. *Zburzenie*

Koło historii wirowało już wówczas, późnej jesieni 1944, przyspieszonymi obrotami. W trzy miesiące po upadku Warszawy nowi władcy świata wygrywający wojnę, zebrali się w Jaltie, na Krymie, wybranym przez Stalina w tym celu, aby Zachód anglo-saski mógł odszczekać swój najazd sprzed dziewięćdziesięciu lat. Na tej konferencji postanowiono ostatecznie rozbiór Polski i rozbiór Niemiec. W dwa dni po jej zakończeniu, w nocy z 13 na 14 lutego 1945 nastąpił atak tysięcy dalekosieżnych bombowców amerykańskich na Drezno. Miasto liczyło wtedy, wraz z uchodźcami przed bolszewicką nawałą, ponad milion mieszkańców. Zostało ono wypalone do cna na przestrzeni długości 7 km., szerokości 4 km. Liczba ofiar, oczywiście nie podległa nigdy ścisłemu obliczeniu, określona jest w przybliżeniu na 250 tysięcy — tyleż ile zginęło w ruinach Warszawy. Drezno, podobnie jak Warszawa, „nie odtworzy nigdy liczby ni imienia swoich umarłych. Pokolenia całe wygasły, mieszkańcy całych wiosek i osad zaskoczeni zostali przez śmierć. Żadni krewni nie pytają o nich, albowiem i oni sami znajdują się pośród ofiar” (12).

Geneza tego czynu stanowi przedmiot nieomal nietknięty przez dziejopisa. Historycy kultury wzdrażliwają się jeszcze przed zarysem bezczesławstwa tej wojny. Nie może być porównania między opinią publiczną i świątymi umysłami czasów, kiedy ręka świętokradcza dotknęła katedry w Reims, z ciemną dobą, w której przyszło się żyć obecnie. Wszystko co o decyzji bombardowania

Warszawy, zeznania generałów niemieckich przed polskim prokuratorem, Katowice 1946.

Rola Stalina: T. Bór-Komorowski, *The Secret Army*, London 1951, str. 259-262, 268, 295 sq.; J. Zych, *Rosja wobec Powstania Warszawskiego*, Londyn 1947; rozdział w t. VI. *The Second World War* W. Churchilla.

Prócz cytowanej wyżej wzmianki u E. Kordta, nie znajduje się w całej literaturze pamiątkarskiej i referencyjno-wojennej żadna dotąd próba zobrazowania bitew o Warszawę oraz ich politycznego znaczenia, ani też ich związku z zagadnieniem niemiecko-sowieckim. Jest to jak widać do dzisiaj jeden ze wstydlivych zakątków historii, omijanych przez pisarzy niemieckich.

(12) Drezno: wypadkom 13-14 II. 1945 poświęcona jest książka Axela Rosenbergera *Der Tod von Dresden, Ein Bericht ueber das Sterben einer Stadt*. Dortmund 1953; jest to opis wypadków niemal wyłącznie uczuciowy; nie zawiera on, poza wstępem Gerhardta Hauptmanna — świadka tragedii, kilku ogólnikowymi cyframi oraz dokumentacją fotograficzną, żadnych rzeczowych danych; pominięta jest inicjatywa sowiecka i nie uwidocznił się związek między konferencją w Jaltie, zakończoną 11. II., a bombardowaniem Drezna w dwa dni potem; tak samo nie ma ani słowa o wyzyskaniu zniszczenia Drezna przez propagandę sowiecką.

W literaturze historyczno-wojennej anglo-saskiej temat Drezna i decyzji jego zbombardowania jest przemilczany. W dzienniku współczesnym kpt. H. C. Butchera, *My Three Years with Eisenhower*, New-York 1946, str. 764, znajduje się wzmianka: „Dresden, astride path of Russian advance, was principal target of 3.000 Allied bombers in raid which pounded nine other targets...”. Można z niej wyciągnąć jedynie wnioski pośrednie.

Drezna dotychczas wiadomo, lecz nie zostało jeszcze dokumentalnie stwierdzone, jest że dowództwo sowieckie, będące w tym czasie w bezpośredniej łączności z centrem operacyjnym anglosaskim, zażądało bombardowania Drezna jako znajdującego się na tyłach obrony niemieckiej. Ale rejon Drezna i jego węzeł komunikacyjny nie był identyczny z miastem. Jakież związek miał Zwingler, Taras Brühla, Katedra i Teatr z dworcem głównym, odległym o przeszło dwa kilometry w powietrznej linii, z węzłem kolejowym, rozbudowanym w pierwszym dziesięcioleciu XX. wieku wzdłuż dalekich peryferyj miasta? Toteż mistrzowie sowieckiej propagandy zdali sobie dobrze sprawę z atutu jaki sprawa Drezna stanowi w walce o duszę niemiecką i w piątą rocznicę bombardowania wydali odezwę, potępiającą górnolotnie bombardowanie i okrucieństwo Amerykanów wobec ludności i przeszłości miasta. Są to jedyne wskazówki dotychczas, iż zamysł Stalina niszczenia cywilizacji zachodniej w środkowej Europie znalazł sobie wyraz zarówno w uśmierceniu Warszawy jak Drezna.

Polak, piszący o Dreźnie, nie myśli o milionowym nowoczesnym mieście, o *Hauptbahnhofie* i rozgałęzionej we wszystkie strony sieci torów, o wielkich arteriach, ułatwiających wydobycie się z mrowiska. Jego myśl zatrzyma się przed wrotami ozdobnego Zwingra, pełnego zabytków po królach polskich XVIII wieku, krążyć będzie po placach i tarasach nad Elbą, rozbudowanych kunsztownie dzięki munificencji Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, zabłądzi w końcu do sal Drezdeńskiej Galerii i stanie w oniemiaeniu przed czystym jak rzeźba grecka płótnem Giorgiona, zaduma się w udzielnym przybytku Madonny Sykstyńskiej. Wszystko to dziś nie istnieje, zwalone razem w stos gruzów, zaś losy galerii nie są nikomu — poza dygnitarzami Kremla — wiadome, albowiem mężowie stanu dzisiejszego świata nie zajmują się duchowymi wartościami w stosunkach wzajemnych narodów.

Na każdym kroku to Drezno rokokowe przypominało pałace i kościoły na Krakowskim, na Senatorskiej i Wierzbowej, zarysy placów i ogrodów „saskich” w Warszawie: epokę schyłkową i połyskującą pięknem. Splotły się koleje Drezna i Warszawy w XVIII-ym i aż po lata trzydzieste XIX. wieku. U pana Alfreda Wysockiego znajdowała się w Berlinie grupa wyrobiona w Meissen w augustowskich czasach, przedstawiająca dwie dziewczyny trzymające się za rękę — Krakowiankę i Saksonkę. Dzisiaj te kruche porcelanowe figuryнки leżą zapewne, w miał obrócone, w stosach zwęglonych pożogą; istnieją jednak i żyć muszą nadal, jednymi łańcuchami skute, z ruin się ledwie dźwigające, dwie stolice bliskie sobie w niszczycielsu.

Michał SOKOLNICKI,
Ambasador R.P.

W Sabaudii

*Buki czerwone, topole świecące
I strome świerki za mgłą października.
W dolinie dymi jezioro. Już śnieg
Leży na grzbietach gór po drugiej stronie.
Z życia zostaje co? Jedyne światło
Przed którym oczy mrużą się w słoneczny
Dzień takiej pory. Mówi się: to jest
I umiejętność żadna ani dar
Sięgnąć nie mogą poza to co jest
A niepotrzebna pamięć traci siłę.*

*Jablecznik pachnie z beczek. Wapno miesza
Proboszcz łopatą przed budynkiem szkoły.
Mój syn tam biegnie ścieżką. Chłopcy niosą
Worki zebranych na zboczu kasztanów.
Jeśli zapomnę ciebie Jeruzalem
Niech, mówi prorok, uschnie mi prawica.
Pękają góry i łamią się lasy.
Przez to co było i przez to co będzie
Dotknięte, pada w popiół to co jest.
Czysty, gwałtowny wre na nowo świat
I nie ustaje pamięć ni dążenie.
Podziemne drżenie wstrząsa tym co jest,*

*Jesienne nieba, w dzieciństwie te same
W wieku dojrzałym i starości. Wam
Nie będę się przyglądać. Krajobrazy
Łagodnym ciepłem serce nam karmiące,
Jakaż trucizna w was że nieme usta,
Ręce splecione na piersi i wzrok
Jak sennych zwierząt. A kto w tym co jest
Znajduje spokój, ład i moment wieczny
Mija bez śladu. Godzisz się co jest
Niszczyć i z ruchu zebrać moment wieczny
Jak blask na wodach czarnej rzeki? Tak.*

Czesław MIŁOSZ

Niedziela w Brunnen

Jest kościół w Brunnen, nad jeziorem Czterech Kantonów. Poszukiwano serca Europy, mówiono że jest nim Paryż, Rzym, Berlin. A może jest nim Brunnen? Zresztą nie chodzi o nazwę — mogłoby nim być każde małe miasteczko u podnóża gór, pełne swoich własnych spraw, wieść o których nie przedostaje się na szpalty dzienników. Stoją gęstym tłumem z książkami do nabożeństwa i śpiewają. Ja wśród nich, jakby wyrzucił mnie tu rakietyowy pocisk. Dziwne doświadczenie. Dlaczego, skąd pojawia się to poczucie obcości, połączone z żalem? Twój dom został daleko stąd, na północny wschód, za kotliną Zurychu, za Bawarią, za Polską, wśród lasów Litwy — na to mi odpowiedzą. Nie, to jeszcze nie tłumaczy niczego. Wiele przesady tkwi w tym spychaniu trudności na fakt że ktoś urodził się ileś tam kilometrów od miejsc gdzie wypada mu żyć. I wiele przesady w tym dzieleniu Europy na Zachód i Wschód, kiedy ulega się sugestii chwili. Kościół tutaj jest ten sam co ten do którego chodziłem co niedziela w dzieciństwie, twarze też są podobne — trochę ciężkie, pełne zwyczajnych trosk: drzewo nie zostało porąbane, trzeba jutro kupić buty, Maria nie zacerowała mi skarpetek, Hans poszedł wczoraj na spacer z córką rzeźnika. I oczywiście wszystkie tragedie jakie kto może sobie wyobrazić, kruchość obrzędu który łączy zgromadzonych, a ocean podziemny grzmi, ani sekundy bez jego przerażającego wtóru. Jestem wdzięczny za katolicyzm, dzięki niemu odnajduję tu w Brunnen czy gdziekolwiek pójdę znane mi łacińskie słowa, znany mi gest księdza, jestem, bądź co bądź, wśród swoich. I żał przybysza nie jest właściwie żalem wyłączonego ze wspólnoty przez okoliczności zewnętrzne. Grunt usunął mi się spod nóg z innych powodów niż wygnanie.

Wieża zimne wiatry, ale w południe słońce grzeje już mocno, zakasuje się na łódce rękawy koszuli, wiosła tną zieloną wodę i przestrzeń ograniczona świerkowymi lasami na skałach wzywa, stawia cel: polanę Grütli na której wysiadło trzech chłopów w 1291 roku i zawiązało sprzysiężenie przeciwko administrato-

rom austriackiego cesarza, czy ostry cypel kamienny z napisem ku chwale Schillera za to że opiewał Wilhelma Tella. Śniegi jeszcze leżą na przełęczy Gotarda, strumyki ciurkają w dół ku dolinom. Co wiosny, przez lata, stulecia, ten sam rytm życia tutaj, co niedziela msza i kazanie, chrzciny, pogrzeby, następstwo pokoleń związanych tym samym obyczajem. Zielona woda i góry, jak na obrazkach pod którymi kiedyś sylabizowałem napisy: Schwytz, Uri — gdzie to jest? Powolność narastania małych legend: tam gdzie rośnię wspominało się że tyle i tyle lat temu duch samobójcy, wyglądający jak słup wodnej pary, gonił kowala, że to i to zdarzyło się kiedy zabito ostatniego niedźwiedzia; tutaj pewnie też: jakaś burza na jeziorze na przykład w 1350, lawina która zasypała drwali np. w 1845.

W kościele przychodzi mi na myśl poeta Włodzimierz Majakowski. Pokój jego duszy. Przez skojarzenie widzę ulice Chicago. Odwiedził Amerykę i zachwycony brooklyńskim mostem, drapaczami chmur, napisał kilka hymnów na cześć techniki. Oceniając jego geniusz, nie lubię w nim tego co w nim jest z marzeń Rosjanina, Piotra Wielkiego. *Stranno czelawieku w Czikago* powiedział. Zaiste nie miał racji. Cuda techniki starzeją się szybko i w mieście które go zadziwiło chodzi się wśród oswojonych, podgryzionych przez czas potworów, może z podobnym nieco uczuciem z jakim ogląda się paryskie windy, zawsze noszące datę sprzed roku 1914. Kościół w Brunnen — to jest dopiero dziwo i kiedy Majakowski bełkotał w obliczu żelaznych przesł swoją miłość do gigantyzmu, wielu takich jak ja boryka się dzisiaj z inną miłością która tak łatwo nie znajduje nasycenia. Spotyka się ludzi, jest się wśród nich, a nie jest się w istocie wśród nich, przedstawiają się oni jako *zewnątrz*. Taki jest problem, co pozostał kiedy grób poety rewolucji porósł trawą a rdza pokryła żelastwo, już śmieszne wobec energii atomowej i cybernetyki.

Zdaję sobie sprawę, że pomimo opalonych policzków i dobrego ciagu w wiosłowaniu, nie jest ze mną dobrze. Sięga to bardzo daleko wstecz, tego wieczoru kiedy orkiestra grała w parku, całowały się pary, kręciły się karuzele a ja (miałem wtedy szesnaście lat) byłem jak oddzielony od tłumu grubą szybą, przeraźliwie sam. Oczywiście znany *weltschmerz* okresu dojrzewania, ale trzeba umieć odkrywać drobne objawy. Potem rozmaicie — ozdrowienia i regresje, i jedne i drugie skomplikowane przez historyczne wypadki. Umieć postawić diagnozę — to już jest dużo, manifestuje się w ten sposób przynajmniej swoją wolę odzyskania zdrowia. Podejrzewam że choroba nie jest tylko moja własna, wstydliva, że dotyka wielu innych. Czy nie cierpiał na nią choćby genialny Władimir, albo różni ludzie których maskę siły i pewności siebie starałem się zedrzyć? Czy nawet skłonność do podnoszenia głosu, do bicia pięścią w stół — albo do ubrażania się w nieodpartą (z pozoru) logikę nie świadczy właśnie że coś zjada nas powoli od wewnątrz? Przypadłość, nie ma co się ludzić, jest obrzydliwa. Odbiera konsystencję rzeczom co nas

otaczają i nam samym, popycha do szukania ratunku w dyscyplinie, co jest raczej złudne.

Książd wstępuje na kazalnicę. Rozumiem tylko piąte przez dziesiąte. Książki z krzyżem na zużytej skórze okładek leżą na pulpitych. Diagnoza będzie zawsze tylko częściowa. Materiał którym się operuje ciągnie się jak guma, nie da się niczego wyraźnie odgraniczyć. Grozi zabrnięcie w tak zwane wielkie koncepcje tłumaczące kryzys epoki, w pseudo-filozofowanie w którym nie obejdzie się bez Nietzschego i tak dalej. A jednak to co mi dolega jest jakoś rzeczywiste. Muszę próbować to nazwać tak jak umiem.

Chodzi prawdopodobnie o czas, o percepcję czasu. Ci, którym zazdroścę, uważając ich za normalnych, przebywają wśród przedmiotów które nie są, żeby tak się wyrazić, tylko eksplozją. Eksplozja to znaczy: było-jest-nie ma. Dozują umiejętnie swoją wyobraźnię czasową przy pomocy pór roku i związanych z nimi prac, czy przy pomocy swojej wiedzy o granicach ludzkiego życia. Mężczyźni i kobiety tutaj obok mnie w ławkach nie myślą o tym że zaledwie temu tysiąc czy dwa tysiące lat albo sekund (zauważyć należy tę identyfikację: lat-sekund) wszędzie tutaj rozciągała się puszczyna i że ład do którego się przyzwyczaili może pyk! pęknać bo nie jest tak naturalny jak następstwo zim i wiosen. Natomiast ja już w wieku szczenięcym miałem zaburzenia w poczuciu trwania zjawisk, cokolwiek istniało, zdawało mi się już przez ten fakt skazane. Dzięki temu byłem już od razu tzw. umysłem współczesnym, nie wiedząc o tym i cierpiąc jak od morskiej choroby. W pewnych okolicznościach takie zaburzenia mogą być bardzo pomocne bo pozwalają nie przywiązywać się do tego co jest i celować zawsze w następną fazę, kiedy to co jest zmienia się w to co już nie jest. Jednak mądrość jaka stąd powstaje nie różni się nieraz od podłości, bo nie łatwo wtedy naprawdę kochać.

Ci tutaj w Brunnen, czy w kościołach Fryburga, czy w ogóle w Szwajcarii są niewinni. Oskarża się ich o ociężałość wyobraźni, o cielejącą kontemplację człowieka, drzewa, domu, które dla nich po prostu są i kropka. Dlatego umięją się modlić. Wiara wymaga pewnego minimum gwarancji że słowo „być” ma jakieś znaczenie. Zgódźmy się że tkwienie w immobilizmie może prowadzić do głupoty. Ale cóż wtedy powiedzieć o oszalałych następach Heraklita? Nie umieją chodzić, muszą galopować. Ściągają zawsze przyszłość, mieszając sekundy i dziesiątki lat, aktualność jest dla nich tylko nawozem, a nie ma się pewności że ich pociąg do wizji eksplodującej nie jest po prostu manichejską nienawiścią do Stworzenia.

Chorobę wolno nazwać nihilizmem, pod warunkiem, że nie sprowadzi się go do poglądów i przekonań a umię się go jako szczególnie stosunek do czasu. Nihilizm to urzeczzenie ruchem bez żadnego punktu odniesienia poza nim. Rozpoznaje się go po chęci streszczania historii świata na pięćdziesięciu stronicach; po braku litości; po wzruszaniu ramionami i pogardliwym *enfin...*;

po nieuwadze w drobnych szczegółach codziennego obcowania; w literaturze — po budowaniu wyłącznie postaci typowych, bo nie-typowe (z których ostatecznie składa się nasz gatunek ludzki) nie zasługują na utrwalenie. Te cechy są głębiej ze sobą splecione niż się wydaje i płyną z prawdziwej niemocy sprostania wymogom jakie stawia dzisiaj, zabijane ciągle przez jutro. A sam obraz świata jest wtedy koszmarem: bez substancji, mająca tylko pozór istnienia płynna lawa przybiera formę tych rzeźbionych kolumn, tej włóczni którą Św. Jerzy przebija smoka, pleców przede mną — ale nie da się ich dotknąć, rozpadają się w pył. Bo pojawiają się tylko o tyle o ile reprezentują jedną z kategorii stawiania się. Co gorsza uzyskuje się coraz większą wprawę w robieniu skoków ponad konkret. Czy mam zamiar twierdzić że wyklucza to kontemplację? Nie. Bywa kontemplacja ruchu. Ekklejjastes. Albo, bliżej nas, amerykański poeta Edgar Lee Masters. Ukazują mi się stronicę jego „Spoon River Anthology” — krótkie poematy o cmentarzu w takim miasteczku jak Brunnen. W kilku liniijkach opowiedziane dzieje tych których nazwiska odczytuje się na nagrobkach. „A któż wie, że duch synów ludzkich wstępuje w górę? a duch bydłęcy, że zstępuje pod ziemię?” Podobne elementy u Thorntona Wildera. Ściaga go nicość. Naprawdę, z trudem tylko da się rozwikłać ile w tej zadumie nad przemijaniem, nad wiecznym powrotem („Słońce wschodzi i słońce zachodzi, a śpieszy się do miejsca swego kędy wschodzi”) mówi Ekklejjastes) jest uczucia religijnego, a na ile jest ono tylko listkiem figowym. Ucieczka przed nicością w akcję i stawianie się historyczne przychodzi często kiedy melancholia wtrąca w stan nie do zniesienia. Pablo Neruda, Bertold Brecht, Ilja Ehrenburg zostali ukształtowani przez doświadczenie nihilizmu kontemplacyjnego. Wszystko to razem nie jest tak znowu teoretyczne, bo zaczyna o psychozę, o paroksyzmy które mogą trwać dłużej albo krócej: nic nie warto robić bo i tak po nas nie zostanie śladu, albo: co za sens zaczynać pracę zaplanowaną na dłużej jeżeli spadnie bomba atomowa, albo: schody którymi idę mogą się zawalić.

Smok przebity włócznią szczerzy do mnie kły. Leży na nich długi czerwony język. Słyszę głos we mnie samym który uraga: pięknie, ale zabawmy się w diagnozę diagnozy. Znalazłeś się tu, gdzie myśl jest traktowana z podejrzliwością i gdzie, choć nie brak uczonych, artystów, pisarzy, zajmują oni margines, gdzie istotną jest sama funkcja codziennego życia. Szwajcaria, Skandynawia są tym co zostało z dawnej „dobrej” Europy, tak, jej serce jest w Brunnen. Ty, rozumiejąc że do rozmaitych filozofowań odnosisz się zbyt serio i że warunkiem jakiego takiego szczęścia jest wpaść w rytm otoczenia, chciałbyś odzyskać wiarę w wartość zawieszania nowych firanek czy kupna lodówki. Twoim ideałem, ostatecznie, jest krowa, jako zwierzę spokojne, nie znające przyspieszenia czasu. A pamiętasz rozmowę z jego mościem z „Reader's Digest” kilka lat temu? „Wy intelektualiści — śmiał się — wy przegraliście. Ludzie was nie chcą i mają

w tym zdrowy instynkt. Chcą nas. My, z naszymi europejskimi wydaniem, dajemy milionom czytelników to czego naprawdę potrzebują". I przyznaj się, czy jego rechocząca pewność siebie i cygaro nie zapadły głęboko w twoją pamięć? Zaczni Szwajcarzy w kościele są dla ciebie równie mało realni jak Grecy Peryklesa czy Indianie z ich stadami bizonów, należą według ciebie do fazy minionej, ale za wszelką cenę szukasz z nimi wspólnoty, skoro nie możesz być St. Justem czy Robespierrem. Powtarzasz z Mickiewiczem: „Ręce za lud walczące sam lud poobcina, Imion miłych ludowi lud pozapomina. Wszystko przejdzie. Po huk, po szumie, po trudzie, Wezmą dziedzictwo cisi, ciemni, mali ludzie". Jeżeli nawet tak jest, no to co? A zresztą bardzo proszę nie mieszać się i nie udawać że chęć zdrowia jest rezygnacją. Znam te przewrotne sposoby.

Kazanie, odgaduję z tonu, ma się ku końcowi. Myślę o lekarstwach jakich próbowałem. Nieśmiałe podrygi mego pokolenia w stronę tomizmu taki właśnie kryły w sobie sens i nie da się ich sprowadzić do mody. Paryski zimowy świt, parzyłem sobie usta kawą i od metra biegiem przez rue d'Assas do Instytutu Katolickiego na wykład księdza Lallemand. Bardzo dawne czasy. Liznać tomizmu jest warto, nawet gdyby to okazało się tylko powierzchowne. Dzięki temu pojmuję się czym mogłaby być radosna akceptacja świata — i na czym wspierali się np. Bach czy Mozart. W budownictwie istnieje zabieg który polega na wstrzykiwaniu cementu w grunt, jeżeli ten jest zbyt sypki aby unieść fundamenty. System Św. Tomasza to taki właśnie cement. Ziarenka czasu przestają syczeć i szumić niepokojąco, ta kazalnica na przykład *jest* w całej pełni, na wieczność. Ksiądz Lallemand na tablicy rysował hierarchicznie ustawione koła. I naprawdę jego pociąg do kół znajduje usprawiedliwienie. Od Wielkiego Słońca nitki promieni idą do tej kazalnicy, do księdza który z niej schodzi, do suchej twarzy górala z siwymi wąsami który robi znak krzyża. Jakże zmienia się obraz rzeczy kiedy te, oddalając się z naszego pola widzenia, porywane przez czas, pozostają połączone nitkami z centralnym Słońcem, zamiast rozpadać się z wielkim czy małym „pyk”.

Gdybym teraz określał swój stan jako „tęsknotę do wiary” i moje oddzielenie od obywateli Brunnen przypisywał temu że oni „wierzą” a ja „nie wierzę”, byłbym winien regresji w moich szesnaście lat. Albo regresji w tę złą literaturę która obierała za temat pokorę synów mieszczańskich rodzin, powracających, po wyszumieniu się, na łono ustalonego porządku. Zupełnie co innego mnie zaprzęta. Poddany wpływom tego co z grubsza można nazwać dzisiejszymi zainteresowaniami antropologicznymi, próbuję namacać samo ziarno tej tkaniny obyczaju i religii, mniej troszcząc się w tej chwili o linie malowidła jakie na niej położono. Ani libertyn, ani ateista, ani nawet ten francuski chłop który swój sceptycyzm posunął tak daleko, że obrócił go przeciwko swemu sceptycyzmowi; kiedy jego znajomy, widząc go wychodzącego z kościoła, wyraził swoje zdumienie, odpowiedział:

Je n'y crois pas, mais je me méfie — nie wierzę w to, ale kto to może wiedzieć. Kiedy teraz dzwonią dzwonki i wszyscy pochylają głowy, jestem tu z moim kłopotem praktycznym, z rozterką właściwą może większej ilości moich bliźnich niż się wydaje. Jakiś polityk stoi przed problemem: mieszkania dla robotników, czy „ruch Historii”? poświęcić jedno czy poświęcić drugie? Jakiś poeta dziwi się że choć stara się jak umie, wymyka mu się dotykalność przedmiotów: jak przy pracy na taśmie u Forda, ledwie wyciągnął rękę, już uciekają. I nie jest obca wiedza o tym hierarchii kościelnej. Père C. zgodził się ze mną, przyznając, że główną ich troską jest cofanie się katolicyzmu tam gdzie naruszona została statyczność cywilizacji. W krajach z wielką ilością proletariatu przemysłowego myśl jest we władzy stawiania się i system wypracowany w porządku średniowiecznym traci uchwyt.

Kłopot praktyczny. Bo strach przed tym „nabytkiem epoki” popycha wielu do udawania że są kim innym niż są. Zakosztowawszy błyskawicznej percepcji czasu, w panice chronią się na zielone łąki i w góry, zdaje się im że mogą zostać krowami przewijającymi w obliczu błękitnego nieba. Są i tacy co występują w tomistycznej maskaradzie — wiedząc w głębi serca że nie mogą naprawdę uznać sylogizmów Św. Tomasza i czując tę wewnętrzną czczość jaka powstaje kiedy oszukuje się swój organizm domagający się jednak, pomimo wszystko, befsztyka. Tym większe później rozczarowanie i niesmak do siebie.

Nie, nie ma sensu udawać. Kto został raz tknięty zepsuciem (bez którego, zaiste, jego umysł nie umiałby dokonywać akrobacji wśród epok, stylów i kontynentów) nie powinien pretendować do dziewictwa. Nie ma powrotu. Uznaje to nawet Père C. kiedy wzrusza ramionami nad pojęciem nieśmiertelności duszy. „To pojęcie nosi na sobie piętno wieków jakie upłynęły od powstania Ewangelii — powiada. Trzeba wrócić do źródeł”. Nie wiem właściwie jak to sam rozwiązuje, ale przypuszczam że wspiera się na ostrym wyczuciu jedności człowieka we wszechświecie. Nigdy człowiek nie był równie degradowany — jak dzisiaj — i nigdy nie był równie wywyższany, nigdy granica pomiędzy nim i zwierzęciem nie była wyraźniejsza. Przyczynia się do tego właśnie odkrycie jego zupełnej nędzy, niesłychanej wątpliści tego mechanizmu poddanego wszelkim naciskom zewnętrznym, to jest czasowi. Tak więc w samym skoku w ruch, w zanurzeniu się na samo dno, tkwi nadzieja. Podobnie w jakiejś fantastycznej opowieści czytanej w dzieciństwie marynarz z rozbitego okrętu, tonąc, przeniknął w czarodziejskie zamki pod dnem morza. Nie oczekiwać że wyobraźnia, kiedy raz zaczęła krążyć po swoich nowych orbitach zdolna będzie się zatrzymać, z tego co jest słabością zrobić napęd siły — oto sposób. I z ludźmi z Brunnen odnaleźć związek *inny* niż ten jaki zdobyłoby się przez adaptację do nich, przez przyznanie im racji. Spotęgować eksplozję — w każdej z nich dopatrzyć się tysiąca eksplozji jakie na nią się składają, tu, w tym góralu odkrywać nieskończoną

możliwość, wszystko czym mógłby być, przebierać go równocześnie w skóry jakie nosili jego przodkowie i w pączkujące formy Picassa, przemijaniem zwyciężyć przemijanie.

Jest wiele odmian pobożności. Ważne jest żeby nie przyznawać się sztucznie do odmiany która jest nam obca i nie dzielić siebie na dwóch ludzi: jednego który bierze tutaj udział w obrzędzie, wchłaniania zapach kadzidła, błyski światła na ornacie, głosy od ołtarza — i drugiego który przebywa niejako obok, wyłączony, trochę ponizony. Jestem, a przynajmniej staram się być tożsamy ze sobą, choć przecie wiem że zbiorowość, dostosowanie się do niej, nas niepostrzeżenie kształtuje. Ale w tej odmowie dzielenia swojej osoby na przedziały z których każdy zawiera innych mieszkańców — czy pasażerów — leży nowość tego czym chciałbym zostać. Na pewno tak. Odkrywam to nagle przez moją niechęć do ulegania konwencji, do wszelkich „als ob”, „jak gdyby”. Co dla mnie jest tutaj właściwe, to nie przymykać oczy w pozornej modlitwie, ale starać się uchwycić sens mego dążenia.

Obumiera się w sposób bolesny. Z początku nie zdaje się sobie sprawy co nam dolega, ogólne rozdrażnienie, skłonność do nagłych, nerwowych gestów. Wszystko jest za ciasne, wszystko gniecie jak obroża. Pojawiają się sprzeczne zachcianki — z nich mogłyby wynikać czyny i dzieła — ale ci mieszkańcy naszego ja którym warto by było powierzyć zadanie na próżno walą w drzwi żeby im otworzyć. Mówi się: ja przecież nie chcę się zmieniać — i to nic nie pomaga. Aż „ilość przechodzi w jakość”, trzaskają i kruszą się ściany. Wtedy zaczyna się okres bardzo już zły, co tu dużo mówić. Jest się nagim wobec świata i ukłucie szpilką którego byśmy wcale nie poczułi w innych okolicznościach, rani jak cios kopii. Nie ma się w dodatku żadnej pewności czy tak nie zostanie już na zawsze, czy zdołamy dopracować się jakiegoś nowego wcielenia. Dostrzegam przynajmniej teoretyczne prawdopodobieństwo bo już zdolny jestem, tak mi się zdaje, odgadnąć co mnie wtedy, w przygotowawczej rozterce, gnębiło. Byłem więźniem dylematu: albo pogrążenie się w ruchu, albo inercja, co się wyklada prościej jako moja odraza do firanek, lodówki, telewizji i czytania Św. Tomasza od niedzieli.

Należy się podziękowanie za chwilę, najwyższą sprzeczność samą w sobie i pogodzenie sprzeczności. Podziękowanie za tych ludzi którzy mnie uczyli że nie należy zataczać myślą łuku w przyszłość, jeżeli to ma przeszkodzić realizacji *hic et nunc*, że nie należy się troszczyć. Podziękowanie za nieśmiertelność chwili, dzięki czemu jadowitość mijania jest przezwyciężalna. Ale dziękować za to, to jak cieszyć się że wchodzi się na most który jest ostrzem.

Wiatr. Mężczyźni zbierają się w grupki przy kamiennym obmurowaniu i zapalają papierosy osłaniając zapalną dłonią. Droga wyłożona okrągłymi głazami wiedzie stromo w dół, ku pierwszym dachom. Wagony elektrycznego pociągu, przechyla-

jąc się na zakręcie, wjeżdżają za budynek stacji. Mniej więcej dwa lata temu odbyło się urodzinowe przyjęcie Katarzyny, które zakończyło się czymś w rodzaju desperackich szlochów. Rozpaczła że skończyła dwadzieścia dziewięć lat a nie ma męża. Po dość burzliwych przeprawach miłosnych potrzebowała tak zwanej stabilizacji: „żeby mogła na oknie ustawić kwiaty!”. Dobrze. Nic naturalniejszego. Byłem jednak zdumiony aż takim stopniem jej lęku: ciało się starzeje, młodość się kończy, ach, zakreślić linię za którą się znacznie życie nieruchome. Moje zdumienie nie różniło się bardzo od rozczarowania. Nie tylko dlatego, że taki finał znajdują latania po Saint Germain des Près. Odkrywałem w niej jak gdyby krzywe lustro w którym mogłem się przeglądać. Ostatecznie czy drżenie o swoje piersi i biodra czy o to co będę jutro jeść czy o wyroki historii, sedno jest wspólne. Katarzyna, mimo pozorów, nie mieszkała w chwili — szukała w niej zapomnienia albo sposobu. Być może znakiem — nieśmiały — powrotu do zdrowia jest umiejętność nie pamiętania o własnym wieku — co łatwe jest kiedy się zamyka swoje sprawy na kłódkę i poświęca jakimś kolektywnemu Dziełu, ale trudne poza tym.

Lubię świerki. Sosny mogą rosnąć na podmiejskich wydmach, tworzyć karłowate zagajniki otwarte na kurz drogi, być prawie tym czym łopuch i pokrzywa. Świerk to las. Mądrze wybrano go na choinkę: wprowadzenie lasu do domu. Na zboczach góry przy ścieżkach stoją ławki, ale nie jest to park. Leszczyny mają żółte wisiorki, pachnie igliwie i mokry mech. Kobieta w tyrolskim kapeluszu, z dużą ceratową torbą, nawołuje pieska. Ten ujada gdzieś w dole, miga białą plamką w krzakach, znów znika, węsząc. Sójki skrzeczą. Hodowałem dwie, wyjęte z gniazda. Umiały już prawie latać a brzuchy miały gołe. Opychały się kartoflami. Już jasność spomiędzy drzew, można by tam przedrzeć się przez gąszcz na brzeg urwiska. Ale lepiej wejść na szczyt, stamtąd lepiej widać jezioro.

Gładka tafla na dnie misy marszczy się lekko przy skałach obiegiona skrawkami bieli. Na te poruszające się fałki z pianą patrzy się prostopadle w dół. Biały statek ciągnie za sobą po obszarze intensywnych kolorów długie wąsy fałd. Łódki przebiegają niezdarne łapkami jak chrabąszcze — prawie nie różni się wiosła, tylko coś jak wibrowanie i z rzadka błysk w świetle. Po drugiej stronie pokłady rdzy: to lasy czepiają się stromizn, rude pnie zlewają się w plamy albo rozrzedzają się w warstwy strun. Pode mną, w przepaści, dwa dzikie gołębie lecą nad świerczyną, wlatują teraz nad powierzchnię wody, ich szare skrzydła biją na tle płatów mieniacej się różowo materii.

Nie było wysokich gór w kraju mego dzieciństwa, ale to przyglądanie się jezioru wtrąca, przez podobieństwo ogólne — człowiek nad krajobrazem — w przeszłość. Na przykład but. Jakie wtedy nosiłem buty, już nie pamiętam. Inny a przecie ten sam, a pomiędzy mną dawnym i dzisiejszym nieskończona ilość

chwil. Żadnej z nich nie da się uchwycić w ich pełnym wyrazie. Film którego klatki mkną, tworzą akcję a równocześnie przechowują się poza czasem. Weźmy tamten wycinek choćby: wlażę na podium, twarze zwrócone do mnie w półmroku sali. Au, co za wstyd. Bo w moim przemówieniu kłamię. Wiem że kłamię. Ale, po pierwsze, myśl moja pracuje jasno: „uwaga, teraz nie żarty. Chcą mnie zgubić, pięknie, ja im pokażę że umiem igać nie gorzej od nich”. Po drugie: „jeżeli mam zrobić co postanowiłem, muszę zapłacić cenę. Oto płacę”. Po trzecie, pewna lekkomyślność: „przestać się zastanawiać, posunięcie na szachownicy, co będzie dalej, zobaczymy”. Te racjonalistyczne wytłumaczenia są jednak niewystarczające. Trzeba dodać automatyzm sytuacji, ten szmer „zwariował” jaki powstałby gdybym krzyknął: „nie”. Chwile przeszłości wymykają się osądowi. Teresa maluje brwi, jej oczy śledzą mnie w lustrze. Nie powinienem był z nią sypiać. Teraz robię sobie wyrzuty. Ale kiedy izoluję moment od komplikacji jakie stąd wynikły, spostrzegam, że nie umiem tego przeprowadzić. A nawet izolując i wstydząc się dawnego mego lekceważenia miłości, pomijam siłę z jaką przyciągała mnie jej ciężka, trochę wulgarna twarz i rysunek ramion — rozmach a potem wygięcie linii zaznaczające muskulaturę. Właściwie trudność osądu musi zachęcać do gonitwy w przyszłość, do powierzenia się ruchowi: zakryjcie te obrazy. Naprzód, zawsze naprzód.

Świat jest piękny. Trzy słowa które znaczą: niech chwila trwa. Trącam nogą kamień, spada i hałasuje odbijając się o pnie drzew. Konsekwencje wyboru chwili jako punktu w którym przecina się nieruchomość i pęd, są jednak olbrzymie. Bo oznacza to wzmożenie uwagi. Walt Whitman, w którego krwi biegło Wielkie Słońce, był uważny. Majakowski nie. Niestety, czy mam prawo przyznawać się do takiej etyki, jeżeli przerasta moją miarę? Domaga się potępienia tyłu moich dawnych gier, kiedy cel zdawał się uświęcać środki, a ja nie nauczyłem się sądzić całkowicie surowo na przykład tamtych moich publicznych wystąpień albo tyłu innych czynów równie, czy bardziej, nędznych. Cóż można zrealizować w dwudziestym wieku bez pewnej, przynajmniej, dozy makiawelizmu? Realizowałem usprawiedliwiając się przed sobą: „niech diabli wezmą czystych, wyrzuję ślad mojej obecności na ziemi, bo nie boję się zabrudzić rąk”. Mniejsza zresztą o to co było. Obawiam się po prostu zobowiązań których nie będę w stanie wypełnić. Być w każdej sekundzie źródłem ruchu, czuć że dalszy ruch wyznaczany jest przez nasze akty, coż to znaczy? Znaczy uznać że należymy do siebie. Ale jesteśmy przecież niesieni, obracani jak przez górski potok, decydują za nas dwie potęgi: Głód i Policja. To nie było takie głupie że starałem się je oszukać. Może za to nie zasługuję na potępienie, może ta moja cząstka opierała się pędowi, cząstka absolutna? Za co innego powinienem być bity: za to co w tym samym zachowaniu się było nieuwagą, zmniejszeniem napięcia, rezygnacją

z jedności. Meta: żeby należeć do siebie, jest, dziś przynajmniej, nieosiągalna. Cała różnica polega na dążeniu do niej albo na zapomnieniu że dążyć trzeba.

Przesuwają się obłoki, słabym, przerywanym tchnieniem sięgają tu skądś dźwięki orkiestry. Szwajcarzy powoli, w ładzie stałym którego nie podawali w wątpliwość, budowali koleje, zapory wodne i łazienki. Słuchając orkiestry i pijąc piwo wypełniają siódmy dzień tygodnia, nic więcej, choć jest to jak kiedy spotykają się dwie kry i wznoszą się prostopadłe na jedno мгніе, jak kiedy strzała z łuku chwije się w zenicie. Ekspres Zurich-Rzym, który łomocę przez Brunnen, niesie podróżnych ku części Europy gdzie bosi chłopci nie są zdolni żyć oczekiwaniem niedzieli, bo percypują ruch w swoich kiszkach i mityczna Przyszłość jest dla nich osłoda. Ekspres Zurich-Wiedeń niesie podróżnych ku częściom Europy, gdzie miliony ludzkich istnień zaglądają do kalendarza tylko po to żeby sobie przypomnieć że w niedzielę też praca, że w każdym razie jest to dzień w którym jak co dzień przebiegają miasto o świcie jeepy. Strażnicy mają kożuchy i ogromnieją, więzień dygoce w swojej kusej kurtoce i maleje za każdym podskokiem na wyboju.

Świat jest piękny. Odbija się w oczach innych ludzi, tak jak w moich i to jest braterstwo. A również zasadnicza niesprawiedliwość. Mogę jako tako ukształtować moje myśli, mogę je nawet opisać. Ci którzy są więcej wariaci ode mnie, którzy zaświadczaają swoimi czynami że chcą rzeźbić chwilę i naprawdę nie troszczą się o nic poza wiernością impulsowi, milczą. Żeby zdobyć zręczność w mowie trzeba przejść przez praktykę w kuźni diabelskiej gdzie pomocą są nasze braki charakteru. Mniej wytrwali — a bardziej szlachetni — wolą pozostać anonimami niż pobierać takie lekcje. Tak więc ja, tutaj, z moim zawodem literata, należę do gorszych i publiczność od nas dostaje to co nosi piętno naszych słabości. W Europie nędzy, obozów koncentracyjnych i wygnania odbywa się selekcja na odwrót — może podobna do tej jaka stanowi tragedię Francji która na polach bitew pierwszej wojny światowej straciła swoich najczystszych synów. Czyż można się dziwić że intelektualści europejscy pielęgnują w sobie chorobę ruchu? Płynąć: to wyzwala z pamiętania tych godzin czy minut kiedy ważą się szale wewnątrz nas i kiedy „nie” równa się zgodzie na pozostanie w anonimowej masie — albo na śmierć.

Wolałbym wdychać zapach lasu i tej radosnej przestrzeni, bez żadnych rozważań. Choć może wartość tego momentu polega dla mnie na jego podwójności. Las i jezioro cieszą mnie tym więcej że są wplątane w moją drogę między jakimś Y i X. Nie wykręsisz się tak łatwo — mówię sobie. Przyznać się do swoich niedostatków bywa nieraz dobrym sposobem wymknienia się odpowiedzialności. Jesteś mieszaniną. Czyż nie znasz minut kiedy ty, ten gorszy, a więc intelektualista, trzymałeś pióro i zastanawiałeś się: za to zdanie zapłacisz ty, twoja żona, syn? Akcep-

towałeś. Po cóż twierdzić że zdolny jesteś tylko do draństw? Należy się podziękowanie za świat.

Komentarz. Próbuje opisać zygzyki moich myśli tego dnia (co oczywiście nigdy nie bywa zupełnie dokładne, zawsze jest tak czy inaczej konstruowane) pominąłem ważny element. Ponieważ wyjaśnia on niektóre zawilości, warto mu poświęcić kilka zdań. Brzegi jeziora Czterech Kantonów przenosiły mnie w Litwę mego dzieciństwa. Przed tym nim usłyszałem takie słowa jak „freudyzm”, „marksizm”, „tomizm”, nim zająłem się literaturą chciałem być przyrodnikiem. Tłumaczy się to faktem że składałem sobie wtedy przysięgi: nigdy nie stać się takim jak dorośli. Bo życie dorosłych jest głupie. Jedynym wyjątkiem w tej beczce głupoty byli dla mnie ludzie którzy pogardzali cyframi na banknotach, trzymaniem się za ręce z kobietami co mają oczy jak mokre śliwki, alkoholem — to jest asceci własnej manii, zrywający się o czwartej rano żeby obserwować ptaki czy przebiegający łąki z siatką na owady. Niesłychaną przyjemność sprawiła mi przygoda pewnego profesora entomologii gdzieś wycyzłana. Żenił się i panna młoda w welonie nerwowo przebierała palcami, bo wybiła godzina kiedy trzeba było iść do ślubu a pan młody się nie zjawiał. Kwadrans, pół godziny. Wreszcie rzucono się na jego poszukiwanie. Odkryto go na drzewie. We fraku, rozkraczał dziwacznie nogi i w tej niewygodnej pozycji starał się zakryć cylindrem rzadki gatunek chrząszcza. Panna młoda wśród krzyków, płaczów i tulenia się do mamy, zerwała, bohater, go-dzien (tak również dzisiaj uważam) najwyższego szacunku pozostał starym kawalerem, nie zdradził naszej wspólnoty gorących serc. Zainteresowanie jakiego mężczyźni uczą kobiety jest, byłem tego pewien, bardzo podejrzane i przypomina pijaństwo. Jeżeli widok pijaka budzi obrzydzenie, dlaczego nie zasługuje na naszą pogardę człowiek który porzuca sprawy ważne np. studiowanie przyrodniczych atlasów po to żeby nagle zmieniać się w małpę i stroić idiotyczne miny do gęsi nie mającej pojęcia o łacińskich nazwach zwierząt i roślin?

Z życia mego ojca nie wiele rozumiałem. Kochałem go kiedy brał strzelbę. Inny (przywrócony sobie samemu) biegał po lasach i bagnach tak że ledwo mogłem za nim nadążyć. Czystość namiętności. A przecie w domu senny, ociężały, śpiący po obiedzie. Kiedy psy goniły kozła i krzaki w biegu siekły po twarzy, wiedziałem że odczuwa to samo co ja uniesienie. Coraz rzadsze jego wyprawy myśliwskie symbolizowały jego przegrana, grzęźnięcie w lepkiej papce w której babrzą się dorośli, jeszcze żywi, a już nie żywi, powtarzający automatycznie gesty obronne, ale już na próżno.

Nie chciałem być zwyciężony. Literatura, a poprzez nią okrycie ruchu, dostarczały mi później broni do walki z inercją, pozwałały spodziewać się że zachowam wieczną młodość. Przez wyobrażenie ruchu wywiera się zemstę na inercji, zemstę na świecie dorosłych który tyłu wciągnął i pogrzał: „Kochajcie

się, zbierajcie swoje pierzyny, dbajcie o swoją sławną *security*, ja wiem że i tak nic z tego nie zostanie”. Dane mi było zobaczyć rzeczywiste płomienie które obracały w niwecz miasta, domy i marzenia o podwyżce pensji. Ale co dalej? Jak długo można żyć złośliwą satysfakcją — czy wizją takiej satysfakcji? Ruch bez punktu oparcia z którego wolno go mierzyć, przestaje być nawet ruchem. Tak rysuje się problem moralny objawiający się jako nuda. Pajace pociągane za sznurek przez bóstwo powszechnego stawania się budzą tylko nudę. Dzięki nudzie odkrywa się w sobie potrzebę wolności. Tylko jeżeli wolni, inni obok nas nabierają cech uchwytnego istnienia.

Z pozoru wygląda że wielbiąc ruch np. w jego politycznej i historycznej odmianie wchodzimy w krąg dorosłych, jak najdalszy od wspólnoty przyrodników i myśliwych obwarowanej swoim fanatyzmem i entuzjazmem. Tylko z pozoru. Rzeka i płatki śniegu to ten sam materiał. Również kryzys przy załamaniu się przywiązań podobny w jednym i w drugim wypadku. I w tym kryzysie zawsze głównym celem jest szukanie sposobów przeciwnie dozdorzeniu.

Czesław MIŁOSZ

OFICyna POETÓW I MALARZY

przystąpiła do wydania tomu poezji Józefa Łobodowskiego pod tytułem:

KASYDY I GAZELE.

Nadsyłajcie należności już obecnie w formie przedpłaty, znacznie ułatwi to ukazanie się książki. Cena w przedpłacie wynosi: w Wielkiej Brytanii — 9 sh. 6 d.; w Stanach Zjednoczonych — 1 dol. 50 cent. W innych krajach równowartość. — Termin zgłaszania przedpłaty upływa 15 kwietnia 1954. Prosimy o nadsyłanie zgłoszeń i przekazów (gotówka, czek, Postal Ordery, Money Ordery) pod adresem:

The Polish Poets and Painters Press,
69a, Grosvenor Road, Tunbridge Wells, Kent, England.

NOWE WYDAWNICTWO OFICyny POETÓW I MALARZY

Cyprian K. Norwid

V A D E - M E C U M

Cena: 18 sh. (2 dol. 50 cent., 900 fr.). Dla Prenumeratorów „Kultury”: 12 sh. (1 dol. 75 cent., 600 fr.). Prosimy o nadsyłanie zgłoszeń i przekazów pod adresem: 1, avenue Corneille, Maisons-Laffitte (Seine-et-Oise).

Paris, France — lub do Przedstawicielstw.

DO TAŃCA I DO SŁUCHU
POLSKIE PŁYTY GRAMOFONOWE

“BALLADA”

Spiewa M. Kapłuszak z akompaniamentem chóru i orkiestry.

B: 77. *Rota.*

Warszawianka.

Spiewa chór rewelersów R. Rygla z akompaniamentem orkiestry.

B: 78. *Karpacka Brygada. Marsz.*

Żołnierska Brać. Piosenka — marsz.

B: 79. *Wojenko... Wojenko. Wiązanka pieśni wojsk.
Pięciu Chłopców z Albatrosa. Piosenka.*

Spiewa Wiera Gran — Orkiestra taneczna.

B: 80. *Nie kochać w taką noc... Tango.*

Za rok... Tango.

B: 81. *Jak sen, jak baśń... Tango.*

Tęskno mi... Tango.

Spiewa Z. Krukowski. — Orkiestra wiejska.

B: 82. *Z humorem aż do rana. Część I.*

Z humorem aż do rana. Część II.

Wiązanka starych walczyków.

B: 83. *Stoi kieliszeczek. Krakowiak.*

Pan Antoni. Polka.

B: 84. *Ha! ha! ha! Polka.*

Stary kawaler. Oberek.

Wyżej wymienione płyty o średnicy 25 cm. i 78 obrotach na minutę, nadają się do każdego aparatu. Są to najlepsze nagrania, wykonane na Emigracji i cieszące się ogromnym powodzeniem wśród Polaków na całym świecie.

Cena płyty wynosi we Francji 500 fr. fr. W Ameryce \$ 1.20. Na inne waluty należy dokonywać przeliczenia po kursie oficjalnym. We Francji oraz do Belgii, Luksemburga, Szwajcarii i Szwecji, płyty wysyłamy za zaliczeniem pocztowym — płatne przy odbiorze. Do innych krajów, po uprzednim otrzymaniu należności za pośrednictwem „International Money Order” lub czeku. Na wszelkie zapytania odpowiadamy listownie.

We Francji wysyłamy NAJMNIJ 3 płyty —
NIE DOLICZAJĄC ŻADNYCH KOSZTÓW PRZESYŁKI.

Zagranicę wysyłamy NAJMNIJ 5 PŁYT —

NIE DOLICZAJĄC ŻADNYCH KOSZTÓW PRZESYŁKI.

Płyty wysyłamy całkowicie zabezpieczone od stłuczenia.

“LIBELLA”

SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ

12, rue St-Louis-en-l'Île - Paris-4^e

Telefon DANton 51-09

Metro : Sully-Morland albo Pont-Marie. Autobusy : Nr. 86 oraz 67.

ŻĄDĄCIE KATALOGÓW KSIĄŻEK

Straty Kultury Polskiej

Ostatnie lata

W ciągu ostatnich ośmiu lat o Tuwimie pisano w prasie emigracyjnej jak o zdrajcy, czy sprzedawcy, czy karierowiczu. Po śmierci obraz wielkiego poety okazał się o tyle bardziej ważki, że chciałoby się na te ostatnie lata rzucić wstydliwą zasłonę. Tuwim był jednak tym samym wielkim poetą kiedy pisał ody do Stalina, a śmierć jego nie przekreśliła tej ody. Dlatego warto może starać się wniknąć w sedno stosunku Tuwima do Polski, do reżimu, do nas, do siebie samego. Przyjaciele poety mają zapewne swą własną odpowiedź na te pytania. Ale myślę, że znajomość faktów, anegdot, wypowiedzi, listów, może czasem zaćmić prawdę. Drobne rysy charakteru, pojedyncze uczynki wykrzywiają nieraz tragiczną linię życia. Dlatego tylko — kierując się wyłącznie intuicją i na podstawie wierszy, a nie osobistej znajomości — staram się zrozumieć ostatnie lata Juliana Tuwima.

Tuwim był Polakiem i Żydem. Pisano nieraz — opierając się na jego „ojczyźnie-polszczyźnie” — że jego przywiązanie było językowe bardziej niż narodowe. Wydaje mi się że polskość Tuwima znacznie przerasta język. Mało kto miał tak głęboki stosunek do polskich „archotypów”, mało kto tak potrafił pogłębić i rozszerzyć nasze odczucie rzeczy polskich — polnych i czarno-leskich. To nie romantyczny mit, ale prosta prawda że poeci, a nie wodzowie tworzą naród, rozszerzają jego prawdziwe granice. Tuwim był genealogiem i heraldykiem polskości równym Słowackiemu.

Dwoma torami szło życie Tuwima : „Lasem, borem, niedoborem, łęgiem” i żydowskim dzieciństwem w Łodzi. Że były to dwa tory, i że tory te musiały się rozejść, nie Tuwim był winny, a my. Powolny wzrost antysemickiego barbarzyństwa ranił wielu Polaków — ranił wszystkich polskich Żydów. Jakże musiał ranić poetę, który odczuwał nienawiść, niechęć czy pogardę poprzez mury kamienic, w których zawsze żyło żydowskie dziecko. Nie ma bardziej tragicznego motoru od zranionej miłości. Każdy

psycholog wie dzisiaj jaką rolę w psychozach gra „odepchnięcie przez matkę”, nieświadome poczucie dziecka że rodzice go nie chcą, odrzucają. U źródła psychozy Tuwima leży, jak mi się zdaje, to odepchnięcie przez matkę — Polskę.

Tuwim musiał znaleźć się na emigracji z poczuciem żywej zawsze miłości do Polski — i nienawiści do Polski oenerowskiej, do Polski ozonowej. W Brazylii, w Ameryce powstają „Kwiaty Polskie”, próba pojednania w poetyckim marzeniu łódzkiego dzieciństwa, kutnowskiej czy sieradzkiej prowincji, Polski Czarnoleskiej i przyszłego sprawiedliwego Państwa. Marzenie to silniejsze niż rozum, marzenie w którym nadstawia się ucha na „głos z Litwy”, czy „dźwięk złotego rogu”. Na pierwszy głos, na pierwszy dźwięk — Tuwim powrócił. Chciał wierzyć że wraca do Polski „Przedwiośnia”, a wracał do Polski janczarskiej.

Od chwili powrotu Tuwim zwolna agonizował jako poeta, zwolna się aragonizował jako poeta. W procesie tym nie to jest najważniejsze że Tuwim poparł autorytetem swej poezji sowiecką Polskę Bieruta i Rokossowskiego. Bardziej mnie uderza cena indywidualnej przemiany, którą się płaci za zakłamanie, za ślepotę, choćby podświadomą. Oto Tuwim anarchista i indywidualista staje się piewą bezdusznego kolektywu. Oto Tuwim pacyfista, który staje po stronie ultramilitaryzmu operującego niezmiennym polskim tromtadactwem — ale w imię sowieckiej racji stanu. Oto Tuwim piewca „Marsylianki” godzący się na nikczemną trawestację wolności, równości i braterstwa... Oto urodzony antykonformista w kleszczach najbardziej skostniałego konformizmu. Oto poeta siły witalnej, bachicznej pieśni, whitmanowskiego panseksualizmu, godzący się ze stalinowską pruderią, z higienicznym światem produkcji o zapachu formolu. Oto archeolog polskiego humoru i absurdu zmuszony do czekania na dyrektywy komitetów w sprawie „konstruktywnej satyry”. Oto przede wszystkim poeta czuły na nędzę ludzką i niesprawiedliwość, ograniczony do protestowania przeciw „zachodnim” uciskom, a nie mogący podnieść głosu przeciw niewolniczej pracy koncentracyjnego świata.

Psychiczna samoobrona człowieka zmuszonego do kłamstwa przybiera różne formy. U Tuwima, jak mi się wydaje, samoobrona ta wyraziła się w potęgowaniu nienawiści i urazy do przedwojennej „antysemickiej” Polski. Musiał on starać się zrównoważyć własny upadek przez wyolbrzymienie przeszłej krzywdy, będącej jednocześnie przyczyną katastrofalnego wyboru. I tak, w wierszu „Do Córk w Zakopanem”:

*„Twoje to wszystko, już twoje, obywatelko
Rzeczypospolitej młodej — Polski Roboczej!”*

*A ojciec (żebyś wiedziała) po tamtych śniegach
Cieniem się ciemnym wałęsał, coraz ciemniejszym...
Rósł Żelazna Holota w „karnych szeregach”
I ogłuszyła go rykiem że — nietutejszy”.*

Jeszcze ciekawszy psychologicznie (gdyż zawiera freudowski „lapsus”) jest tragiczny wiersz „Matka”. Poeta opisuje, na łódzkim cmentarzu,

*„Grób polski mojej matki
Mojej matki żydowskiej”.*

I oto wersja zamordowania matki przez hitlerowców:

*„Zastrzelił ją faszysta,
Kiedy myślała o mnie.
Zastrzelił ją faszysta,
Kiedy tęskniła do mnie”.*

Trudno tu nie dopatrzeć się w słowie „faszysta” (zamiast np. „hitlerowiec”, lub „niemiecki oprawca”) podświadomego transferu: w emocjonalnej wizji Tuwima matkę jego zabiła oczywiście ta sama „Żelazna Holota”.

Sztucznie podsycana nienawiść zatruwa. I oto nienawiść Tuwima do abstrakcyjnej „Polski antysemickiej” wytwarza u niego samego „kompleks antysemity”, powoduje tę samą irracjonalną nienawiść do „kozła ofiarnego”. Ze smutnym zdumieniem czytamy wiersz „We Mgle”, w którym Tuwim obrzuca obelgami polską emigrację:

*„Na podstawie martwej wizji
Pozwolono im, pijanym
Widmom sinym i rozchwianym,
Tulać się i straszyć ludy
Nad rzekami Babilonu...
I rzygają do Tamizy,
I rzygają do Sekwany,
I rzygają do Hudsonu...”*

„Nad rzekami Babilonu...” Jakże słusznie odczuł Tuwim diasporę polskiej emigracji. Pisał on kiedyś o tulających się Żydach:

*„I pójdziemy potem każdy w swoją stronę
Na wędrówki nasze smutne i szalone.*

*Nie znajdziemy nigdy ciszy i przystani,
Żydzi śpiewający, Żydzi obłąkani...”*

I dlatego ta nowa wersja, w której poeta pisze:

*„Dorzygali się do żółci
Do dziur w mózgach i krwotoku,
Wyjce w desperackiej chuci,
Kościotrupy sprzed potopu...”*

jest specjalnie tragiczna. Jakiż splot krzywd, tragedii, ambicji i nienawiści sprawia że Julian Tuwim podaje rękę Goebbelsowi?

W ostatnich latach Tuwima, mimo tak przykrych dla nas zgrzytów, nie ma miejsca na pogardę, którą mamy dla urzędów reżimowej literatury, dla jej karierowiczów. Widzę chudego, siwego Tuwima blakającego się po ulicach Warszawy jak postać tragiczną. Ofiarę dumy, zranioną miłości własnej i zranioną miłości ojczyzny, ofiarę zemsty, która obraca się zwolna przeciw niemu samemu. Patrzę na niego ze współczuciem połączonym ze strachem — trochę tak jak Marcel z „Czasu Utraconego” gdy z ukrycia widział przez oświetlone okno smutny rytuał profanacji ojca dokonany przez zrozpaczoną pannę Vinteuil.

K. A. JELEŃSKI

Elegia na śmierć Tuwima

Nagle wszystko co żyło w obrębie oddechu zaczęło
[marnieć i pustoszeć.
Krwawym bohomazem wyciekło słońce i z trzaskiem runęły Tatry.
I zamilkli Polacy, bo słysząc było jak umierała ich mowa
[nieśmiertelna.

Niepomna siwej mądrości przysłów,
W późną porę swawolnie brnęła jesień.
Zwabione słońcem, wypryskiwały z pasiek
I powracały złotą hurmą pszczoły.
Darmo piwowar wypatrywał łodu
Od nurtów majonych zdrowym chłodem.
I starzy kowale, idący na siódmą
Do pracy, mówili, że jak świat światem
Nie było czego podobnego.

Święty Mikołaj,
Pomimo krzyku wiołonczeli
I płaczu barw i jęku lutni,
Zabrał nam szpaka wiślanego;
Na zaczarowanych saniach porwał
Hersztę liryki naszej, Ildefonsa.
Przez parę dni pozował cień
(Ze śmiercią w kłapie) dla narodu...

Naras przebudziła się gnuśna zima,
I grudzień, dzik zjeżony mrozem,
Wypadł na skraj starego roku.

Rzeki ścięło na kość, że sęgiem drzewa przejedzie.
A z niebios otwartych ruszył na dół
Śnieg religijny.
I sypie, że świata nie widać.

I pojechał pokłonić się granitom tatrzańskim,
I pojechał do jarkich w mroźnym kwietniu gór.
I przy oknach urody, turniowej, zakopiańskiej,
Słuchał, jak w niebo snopami bławatów
Kolędę podnosił
Dzieciący chór.

Stał oparty o piękno, kręgi wzruszeń zataczając
Wokół rdzeni szumiących, narodowych jak barć,
I nie słyszał ptaszników, jak się ziemią skradają
Pod Jego brwi, gdzie sokoły złot odprawiają,
Wśród gór spryskanych kaczeńcami śmiechu,
Wśród gór pisanych płożą nart.

Nagle wszystko co żyło w obrębie oddechu zaczęło
[marnieć i pustoszeć.
Krwawym bohomazem wyciekło słońce i z trzaskiem runęły Tatry.
I zamilkli Polacy, bo słysząc było jak umierała ich mowa
[nieśmiertelna.

Przyleciały na brzeg mowy słowiki
I nachyliły się w śmierć.
Obudziły się naścieżaj białowieskie słowiki,
Korzenie piastujące pieśń.

I była nad Polską wysokość słowa
I norwidowej równa praca;
Dionizyjska sobótka Janowa,
Mowy naszej czupryna zarwadiacka!

Była radość olbrzymiego tworzenia
I promieniał Skamander podwawelski;
Była skrzydlata noc natchnienia
I do pokoleń uśmiechały się pokolenia,
Aż skamieniały pióra i odleciał
Ku borom niebieskim.

Przychodzić będą dumni wielkim żalem,
Z ziemi nowogródzkiej i z Jeruzalem,

*Pamięć sypać strzelistą,
Zieleniejącą z daleka.*

Nie umarł.

*Położyli Go łagodnie wzdłuż Wisły,
Z cieniem Warszawy na powiekach.*

Marian PANKOWSKI

Śmierć Tuwima

napełniła bólem wszystkich miłośników poezji polskiej. Nic tylko przyjaciół poety, którzy za jego życia umieli spełnić trudny obowiązek pobbazania ludzkim jego słabościom i przywarom, ale i tych, znacznie liczniejszych, którzy tego nie umieli i surowo sędzili jego niefortunne występy.

Straciliśmy wielkiego poetę. Lecz masom Tuwim nie ubył. Prawdziwa poezja rodzi się w samotności, i każdy, do kogo ona przenika, obcuje z nią samotnie. Choćby takich ludzi były miliony, są to nie masy, lecz miliony samotników. To zaś, co Tuwim w ostatnich latach życia pisał na użytek mas — nie było na miarę poezji Tuwima. A tylko ona go przeżyje. Przeżyje go zarówno w tym, co sam stworzył, jak i w tym, co stworzyła reszta jego uczniów, epigonów i naśladowców, świadomych tego, co mu zawdzięczają, lub nieświadomych, wdzięcznych za to, co im dał, lub z plebejską pychą urągających mu za to, że pozwolił im się żywić odpadkami ze swego stołu. Przeżyje go wszystko, czym zapłodnił nowoczesną naszą lirykę; był on bowiem dla poezji polskiej po roku 1918 tym, czym dla nowoczesnego malarstwa — Cézanne. Odświeżył poetyckie odczuwanie świata i światów, nasterował na nowy kurs wrażliwość i wyobraźnię swoich współczesnych, wyposażył słowo w energię, których przed nim u nas nie znano. Odkrył też nowe sposoby, jakimi można „czytać na Boga”, chwytając życie na gorącym uczynku, tudzież utrwalać słowami „nagle spojrzenie” na człowieka, na przyrodę, na diabła. A dokonał tego wszystkiego — ze śpiwną gracją, z olśniewającą wirtuozerią — ten magik i pyrotechnik słowa, ten Paganini polskiej mowy. Nikt z jego pokolenia poetów nie umiał tak lekko jak on balansować nad przepaściami, non-szalancko przy tym wywijając bambusową laseczką, z którą spacerował po ulicy Mazowieckiej w Warszawie. Tą samą zapewne laseczką zastukał do bramy niebios.

Jego „chwyty” techniczne, jego bogactwa „ekspresji” zbadały dokładnie uczeni specjaliści. Ja — do nich nie należę. W chwili, gdy mój przyjaciel Julian Tuwim stanął na progu

wieczności, którą tylekroć dumnie wyzywał — pragnę na jego daleki, a przedwczesny grób rzucić tylko garść luźnych myśli o nim i o jego sztuce.

Ileż to razy wzywano na daremno imienia Boga, mówiąc „poeta z Bożej łaski”! Szaflowano tym określeniem przeważnie tam, gdzie przy pomocy rozumu nie umiano sobie wytłumaczyć istoty ani genezy wielkiego talentu. Ani olśnienia, jakie ten talent wywołał. Lecz, zdaje się, do niewielu poetów współczesnych, nie tylko — polskich, można tak trafnie jak do Tuwima zastosować to ryzykowne określenie — nie odbiegając zbyt daleko od sensu, jaki mu nadaje katechizm. Łaska jest darem nadprzyrodzonym, niezależnym od ludzkiej świadomości i woli. Działa, gdzie chce i kiedy chce, niekiedy nawet wbrew temu, na kogo spływa. Można się Łasce opędać, ale — na próżno. Tak, jak nie można Łaski sprowokować. Nie można Jej też analizować. Trzeba Ją przyjąć z pokorą. Zjawiska: Julian Tuwim wraz z wszystkimi zaletami i wadami człowieka, którego śmierć dzisiaj oplakujemy, nie podobna zrozumieć, bez uznania w nim obecności sił nadprzyrodzonych. Niech nam będzie wolno te siły nazywać — Łaską.

Iluż to, nawet świetnych poetów, wydaje się przy Tuwimie inżynierami mowy wiązanej! Ich sztuka jest jak gdyby kombinacją namysłu i uniesienia, instynktu i pracy. U Tuwima wszystko, lub prawie wszystko jest irracjonalne. Poezja jego eksploduje z nieznanych nam bliżej rezerwuarów, które równie dobrze mogły się znajdować w nim, jak i poza nim. Doprawdy — czytając Tuwima, trudno się domyślić, co stworzył świadomą pracą, a co powstało jak gdyby bez jego wiedzy. Był niesamowity, zaskakujący, drapieżny, a jednocześnie łagodny i bezbronny: pełen tragicznych sprzeczności. Jego niepokój, jego opętanie były widomym świadectwem walk, jakie w nim toczyło niebo z piekłem. Był niesamowity nawet w tzw. życiu codziennym. Czasem, w zetknięciu z nim, odnosiłem wrażenie, że jest on cały naładowany elektrycznością, wypełniony jakimś prądem i fluidami, które promieniuje przez jego ubranie... Fosforyzował. Iskry się z niego sypały. I nieraz lęk mnie ogarniał, gdy siedziałem z nim we dwójkę w zamkniętym pokoju. Pół biedy jeszcze — gdy okna były otwarte. Podobny lęk odczuwają niektórzy ludzie przed burzą. A potęgował go zazwyczaj kontrast między błahością tego, co Tuwim mówił (lubił się „wyglupiać”) a straszliwą powagą tego, czym był, a raczej tego, co w nim było i co z niego buchało. Sam o tym wiedział, gdy w „Kwiatkach Polskich” pisał:

*„Bo jeżeli jaką zaletą
Błyśnie ta kwiatów księga,
To tą jedną: że prądów skrytych
Krańcami palców sięgam”.* (Podkr. moje)

Krańcami tych samych palców, którymi bębnił kabaretowe melodie na marmurowym blacie stolika w Ziemiańskiej.

Jak każdy artysta większego kalibru sięgał Tuwim „kraniami palców” tzw. rzeczy ostatecznych. Rzeczy ostateczne — to: śmierć, sąd nad żywymi i umarłymi, niebo, czyścić i piekło. Tuwimowska eschatologia mieści się w ramach wyobrażeń chrześcijańskich, ale często z tych ram wybiega na zielone łączki jakiegoś fantastycznego prasłowiańskiego pogaństwa. Jego, tak wyraziste, widzenie zaświatów jest nowe i niepodobne do widzeń, przekazanych przez tradycję. Z tą tradycją często Tuwim walczy, chociaż go ona urzeka. Zapewne czarowały go akcesoria chrześcijaństwa, martwy inwentarz kultu, sakramentalia. Bylibyśmy jednak niesprawiedliwi, odmawiając autorowi „Chrystusa miasta” — wrażliwości na treść chrystianizmu. Przeciwnie — jak każdy heretyk był on na tym punkcie przewrażliwiony. W swych wierszach manifestował gorące miłosierdzie dla upodleganych i skrzywdzonych, dla udręki, mrozu i skwaru nędzarzy. Ten anarchista po swojemu modlił się do Boga i po swojemu, nowy Jakub — mocował się z Aniołem.

Prawda, że chłonał on w siebie świat z pasją poganina. Do nieprzytomności upijał się zmysłową urodą ziemi, jej zapachami, barwami, kształtami. Zwłaszcza w tym okresie twórczości, gdy wyznawał:

*„Świat gryziemy w ustach, jak czereśnie
Jak dwadzieścia wiśni jednocześnie”.*

(„My — ludzie”).

Zmysłowa percepcja świata święci w lirycie Tuwima tryumfalne orgie, istne „sacre du printemps”. Tuwim słyszał zapachy, smakował dźwięki, wachał kolory i widział, widział z bolesną ostrością to, co innym majaczyło się w mgławicy.

Jeśli do rzeczy ostatecznych zbliżał się jak chrześcijanin, częściej zbuntowany niż pokorny, pełnym był poganinem, gdy dotykał rzeczy pierwotnych, pierwiastkowych, „primordialnych”, tych, które dziś tak przenikliwie oświeśla znakomity badacz religii i mitologii greckiej. Kerényi. Można zaryzykować twierdzenie, że w kształtowaniu spraw „pierwiastkowych” jest Tuwim twórcą własnej mitologii. Kerényi wraz z Jungiem — podał pewnego rodzaju psychoanalizę starogreckie pojęcia z zakresu etiologii, a więc: pojęcia praprzyczyny, prapoczątków bytu, to wszystko co wcześni filozofowie greccy nazywali: „apeiron” — nieograniczone, niezmierzone, jak np. woda lub ogień. A cóż innego robi Tuwim, tak daleki wszelkiej filozofii, daleki od naukowego ujmowania primordializmu i fundamentalizmu, gdy w swoim mieszkaniu przykładą ucho do mebli i konstatuje, że:

„...każde słowo codzienne

Mchem wieków obrośnięte korci ukrytą pierwszozną”.
(podkreślenie moje)

i słyszy w meblach „szumy tajemne” i słyszy jak „skarżą się dęby, skarżą i płaczą za ojczyzną” („Życie codzienne”)? Czyż nie jest etiologiem, gdy apostrofuje siebie:

*„Twórz czarujące bydlę
Właż na chaosy wierszem
Rozkładaj zlepkę świata
Na rzeczy czyste i pierwsze”.*

(„Do siebie” — podkreślenie moje.)

Myślę, że najlepiej scharakteryzuję Tuwima, mówiąc, że był to poeta Pogranicza. A więc tego, co znajduje się na krancach tzw. rzeczywistości, dającej się ogarnąć zmysłami, na krawędziach bytu i niebytu, w strefie pogranicznej ciała i duszy. Tam był Tuwim u siebie „w domu”. I to są owe przepaście, nad którymi tak zgrabnie balansował ze swoją bambusową laseczką. Z równą swobodą poruszał się na peryferiach ziemi, co na przedpolach elizejskich. A właściwie jego miejsce było na tym „rogu świata i nieskończoności”, gdzie pragnął spotkać się z nieżyjącym już od roku 1937 starym mędrcem, Franciszkiem Fiszerem, przyjacielem kilku pokoleń poetów.

Rzeczy ostateczne i rzeczy „czyste i pierwsze”, „ta eschata” i „he ajtia” — oto są najważniejsze elementy w tematyce dojrzałej twórczości Tuwima. Wszystko zaś, co leży pośrodku, między początkiem a końcem, cała skomplikowana „condition humaine”, ograniczona w czasie i w przestrzeni, była mu obczyzną. Nie umiał sobie w niej radzić i gorzko ją wyszydział. Wraz z wszystkimi cudami techniki i cywilizacji, które, idąc śladami wielkiego swego nauczyciela Walta Whitmana, usiłował w młodości sławić. Nieomylnie wszakże wyczuwał Tuwim to, co w kondycji ludzkiej — jest nieludzkie i nadludzkie. Najślabszą w „Kwiatach Polskich” jest ich „akcja” czy „fabuła”, oraz te miejsca, gdzie poeta jest publicystą. Świat idei, świat myśli abstrakcyjnej i wielkich gier intelektualnych, nie był jego światem. Ilekroć się tam zapuszczał, gubił się w nim, a bezradność swą i bezbronność pokrywał maską pewności siebie. W żadnym okresie czasu, prócz dzieciństwa, które tak rzewnie umiał ewokować, nie czuł się on „w domu”. Ani wówczas gdy z swoim czasem walczył, ani gdy swój czas aprobował. Był ponadczasowy, chociaż po powrocie do Polski w roku 1946 zapewniał w „Jambach politycznych”, że

*„...przez politykę pojął
Nieustającą matkę moją
Epokę, co mnie codziennie rodzi”.*

Każdy artysta jest „dzieckiem swojej epoki” i tylko karmiony jej, krwawym przeważnie, mlekiem tworzy dzieła ponadczasowe. Toteż i nieprzemijające dzieło Tuwima nosi na sobie jej piętno — lecz myślę, że rzeczy wymierne w czasie i w historii były raczej obce a nawet wrogie jego naturze. Na próżno starał

się zawierać sojusze z tymi wrogami. Wielki ten poeta rzeczy ostatecznych i rzeczy pierwszych umiał przewyższać nie tylko swój czas, ale i przestrzeń. On, który niegdyś w swym mieszkaniu przy ulicy Mazowieckiej słyszał „jak się ku niemu z gęstwin tropikalnej skrada daleki tygrys”.

Był też poetą poezji. Samą poezję opiewał. Ustawicznie wsluchiwał się w szmery i bulgoty rodzącej się w nim poezji. Świat cieszył go o tyle, ile niewidzialnych, nasiennych pyłków poezji w nim się unosi. Był bałwochwalcą Słowa. Stworzył swoistą teologię wyznawcy i herezjarchy w jednej osobie. Bo całe życie czytał Tuwim na Boga i tam Go przeważnie znajdował, gdzie ludzie najmniej Go się spodziewają. Czuł Go też w sobie. Do najpiękniejszych chyba utworów poezji religijnej należy tuwimowski „Kościół”, gdzie poeta wprost zapytuje Boga:

„Jakże się nie mam pysznić,
Jakże się nie mam chwalić,
Jeżeliś Sobie kazał
W zanadrzu mojem się palić?”



Czasu wojny, w New Yorku, czytał nam Tuwim wyjątki z „Kwiatów Polskich”. Pod wrażeniem zniewalającej piękności tych wierszy, ale i pod wrażeniem dysproporcji między tą wielką poezją, a niektórymi ludzkimi cechami autora — napisałem doń półzartem: — Ty jesteś dowodem istnienia Boga!

Dziś, żegnając go, powtarzam to publicznie i już bez żartobliwych dodatków, którymi wówczas uzasadniałem swoje twierdzenie. Już odeszło od nas wszystko, co w Tuwimie było dočasne, ludzkie, arcyłudzkie. Zostaje z nami jego poezja. I ona sama przyświadczy u potomnych słuszności tego: że Julian Tuwim był jednym z dowodów istnienia Boga.

Józef WITTLIN

Przegląd gospodarczy

Przedmiotem tego nowego działu „Kultury” będą przede wszystkim zagadnienia, związane z rolą, jaką w dzisiejszym świecie gra Z.S.S.R. i jego polityka. Będziemy tu omawiali sprawy, na które Z.S.S.R. ma w tej chwili wpływ bezpośredni i decydujący, a więc specjalnie nam bliskie sprawy Polski i całej Europy Środkowo-Wschodniej. Dopiero na dalszym planie naszych zainteresowań będą najważniejsze aktualne sprawy gospodarcze wolnego świata, o których czytelnik polski jest stosunkowo lepiej poinformowany. Założeniem tego działu jest obiektywna analiza zjawisk gospodarczych — przy zredukowaniu momentów politycznych do możliwego minimum.

Drugi N. E. P. w Z. S. S. R.

Gdy Stalin wszedł na drogę błyskawicznej w swym tempie a bezwzględnej w swych środkach polityki uprzemysłowienia Z.S.S.R., wychodził z założenia, że Rosji komunistycznej grozi uderzenie ze strony państw kapitalistycznych, więc żeby nie zginęła, musi mieć w chwili tego uderzenia możliwie największy potencjał przemysłowy — warunek największej zdolności obronnej. Atak Hitlera na Rosję, zwycięsko przez Stalina przy pomocy Zachodu odparty, z pewnością, nawet przy tej pomocy, nie zostałby odparty, gdyby Rosja nie była potęgą przemysłową. W tym sensie sowiecki dyktator rozumował prawidłowo. Ale motyw polityczny, przemawiający za gwałtowną rewolucją przemysłową, choćby nawet sam w sobie trafny bynajmniej nie oznacza, że ocalałe wskutek niej państwo komunistów będzie w stanie prowadzić prostolinijną walkę o budowę komunizmu. W rewolucyjnym, ale nie kompletnie jeszcze zrewolucjonizowanym ustroju ekonomicznym Z.S.S.R., w którym obok socjalistycznego przemysłu istnieje niesocjalistyczne rolnictwo, w ustroju, w którym znienawidzona przez bolszewików produkcja towarowa musiała być i została częściowo zachowana — w takim ustroju stare obiektywne prawa gospodarcze dużo jeszcze „mają do powiedzenia”. I oto — doszły one ponownie do głosu choć może nie tak dramatycznie jak w dniach Lenina. I one to właśnie,

te obiektywne prawa gospodarcze, bardziej dyktatorskie niż Kreml, leżą u podłoża dzisiejszego nowego kursu w sowieckiej polityce gospodarczej. Polityka ta jest w swej istocie polityką odwrotu: strategicznego według jednych, taktycznego według innych. Jak to się stało, że do tego doszło? Jaka jest treść tej nowej polityki? Jakie są jej perspektywy? Co ona oznacza dla samego Z.S.S.R. i dla reszty świata? Żeby odpowiedzieć na te pytania, przede wszystkim spójrzmy wstecz.

STALINOWSKA POLITYKA INWESTYCYJNA I JEJ SKUTKI

Stawiając na siłę przemysłu, uznawszy pośpieszną rozbudowę przemysłu za cel najważniejszy, decydujący o sowieckim „być albo nie być”, Stalin nagiął do tego celu wszystko i wszystkich. W sferze gospodarczej wyraziło się to przede wszystkim w polityce inwestycyjnej. W okresie ćwierćwiecza 1929-1953 zainwestowano w ciężkim przemyśle 638 miliardów rubli, podczas gdy w transporcie 193, zaś w rolnictwie tylko 94, w lekkim przemyśle tylko 72. Ten skondensowany obraz można jeszcze bardziej uprościć, stwierdzając, że w ciągu 25 lat, każdego roku, reinwestowano w ciężkim przemyśle około jednej czwartej całego dochodu społecznego. Nakład kapitałowy na rozwój tych gałęzi gospodarstwa narodowego, które zaspakajają codzienne potrzeby konsumenta, to jest dają mu żywność i konieczne artykuły przemysłowe — wynosił zaledwie nieco więcej niż ćwierć tego, co pochłaniała budowa stalowni, maszyn do ciężkiego przemysłu itd. Gospodarka siłą roboczą też szła po tej linii: w pewnych okresach aż 70 % krajowej siły roboczej zatrudnione było w ciężkim przemyśle! Z punktu widzenia „normalnego”, jeżeli tak można powiedzieć, gospodarstwa społecznego — podobna polityka musi być opisana jako monstrualna deformacja życia gospodarczego kraju. Ale przy założeniach Stalina była ona konieczna i logiczna.

Ten kierunek inwestycji miał oczywiście swój odpowiednik na terenie polityki podatkowej, której zadaniem było wydobycie ze społeczeństwa sum, potrzebnych na inwestycje w ciężkim przemyśle. Pomimo doniosłych zmian w strukturze socjalnej Z.S.S.R., w którym nastąpiło bardzo istotne powiększenie ilości robotników przemysłowych, chłopci wciąż jeszcze stanowią ponad połowę, może około 60 % ludności tego kraju, są oni przy tym z punktu widzenia hierarchii socjalnej w państwie komunistycznym, oczywiście, elementem „drugiej kategorii”, nawet przy założeniu, że to już nie dawni „kułacy”, lecz członkowie kołchozów. Na chłopów więc zwałił się główny ciężar finansowania gigantycznych inwestycji, resztę płacą robotnicy i inni pracownicy miejscy, w stosunku do których jak zresztą i w stosunku do ogółu ludności, nieustannie jest prowadzona intensywna poli-

tyka deflacyjna we wszelkich możliwych formach; nateżenie tej deflacji przekracza wszystko, co może sobie wyobrazić i na co może sobie pozwolić polityk „kapitalistyczny”. O sile dotychczasowego nacisku śruby podatkowej na rolnictwo najlepiej może świadczyć niebywały rozmiar ulg podatkowych, zaofiarowany ostatnio przez Malenkowa rolnikom, o czym będzie jeszcze mowa poniżej.

Na polityce podatkowej sprawa bynajmniej się jednak nie kończy. Sama polityka podatkowa nie potrafiłaby zmobilizować sum, które Stalin musiał wydobyć z rolnictwa i przerzucić do produkcji dóbr wytwórczych. Równocześnie z polityką podatkową — i w tym samym co ona kierunku — szła polityka przymusowych dostaw produktów rolnych dla państwa, polityka kształtowania cen za te produkty i polityka kształtowania stosunku państwa do osobistych, prywatnych działek rolnika, który poza tą działką był tylko kółkiem w przymusowej organizacji kołchozowej. Wspólnym znamię tych trzech form polityki było to, by rolnik dał państwu jak najwięcej, by państwo dało rolnikowi jak najmniej. Ogólną zaś sytuację rolnika, jako indywidualnego gospodarza na działce prywatnej, kształtowano oczywiście w ten sposób, aby ta ostatnia ostoja kapitalizmu, będąca mikroskopijną oazą w morzu — choć niesocjalistycznych, ale kolektywnych — elementów rolnictwa, była czynnikiem możliwie najsłabszym, niegrożącym odrodzeniem kapitalizmu na terenie agrarnym.

Jakie są dla Z.S.S.R. rezultaty tej polityki? O ile chodzi o potencjał przemysłowo-wojenny, są one wysoce pozytywne, chciałoby się powiedzieć — fantastycznie pozytywne. Jeżeli wierzyć oświadczeniu Malenkowa, Sowiety zamkną produkcję 1953 roku cyframi: 38 milionów ton stali, 320 milionów ton węgla, 52 miliony ton ropy, 133 miliardy kilowatów energii elektrycznej. Z ekonomicznego punktu widzenia osiągnięcia te są zupełnie zrozumiałe: są rezultatem wielomiliardowych nakładów kapitałowych i niezliczonej ilości trylionów przepracowanych robotniko-dni. Kapitały te były do przemysłu pompowane pod wysokim ciśnieniem, stwarzanym przez dyktaturę, robotnik, wolny, i niewolny, pracował pod skuteczną kontrolą i skutecznym przymusem, jego czysto osobiste zainteresowanie trześcią pracy i inicjatywa nie były warunkiem koniecznym dla powodzenia dzieła przemysłowego.

W rolnictwie, jak wiadomo, kontrola pracy jest o wiele trudniejsza, a rola czynnika osobistego, to jest stosunku człowieka do pracy, bardzo istotna. Chłop, wtłoczony przemocą do kołchozu, pozbawiony przez władze indywidualnej inicjatywy gospodarczej i materialnego zainteresowania w gospodarstwie, nie jest producentem na wysokości zadania. Chłop sowiecki uswiadamia sobie, że związek pomiędzy wypracowanym przez niego rezultatem gospodarczym a jego własnym dobrem jest bardzo nikły, często w praktyce żaden, któremu to przekonaniu wcale nie sprzyja fakt, że brak jest na rynku wielu artykułów przemy-

słowych codziennego użytku, że rubel ma wartość minimalną poza rzadkimi okresami, w których następuje demonstracyjnie-polityczne obniżanie cen. W tych warunkach chłop jest po prostu obojętny w stosunku do zagadnienia produkcyjnego, uprawia politykę jak najmniejszego wysiłku własnego, operuje bronią niezwykłą: pasywnym oporem wobec postulatów władzy. Sprowadza się to do tego, że zamyka on swą produktywność w granicach, zakreślonych: od dołu nakazem policyjnym, o ile w żaden już sposób nie może się od niego uchylić, od góry — plonem, osiągalnym na rzecz swoją i swej rodziny. Stąd zbyt mała wydajność sowieckiego rolnictwa, zbyt powolny jego wzrost, szczególnie zaś mała wydajność hodowli, w której osobista gorliwość gospodarza jest jeszcze ważniejsza niż w uprawie roli.

Nie możemy tu wchodzić w szczegółową analizę rozwoju produkcji przemysłowej i rolniczej w ramach i pod ciśnieniem stalinowskiej polityki inwestycyjnej, pragniemy jednak zwrócić uwagę czytelnika na następujące zestawienia cyfr i faktów, które najogólniej tylko, choć z różnych punktów widzenia, charakteryzują skutki wymienionej polityki gospodarczej.

1. — *Ogromny wzrost podstawowej produkcji przemysłowej, spędzający sen z oczu zachodnich polityków.* Dane za rok 1952. Cyfra przed nawiasem oznacza produkcję w Z.S.S.R., zaś cyfra w nawiasie oznacza łączną produkcję Wielkiej Brytanii, Francji i Zachodnich Niemiec: Stal 34,4 miliona ton (46 milionów). Węgiel 300 milionów ton (425). Elektryczność 117 miliardów kilowatów (158). Nafta 47,4 milionów ton (2 miliony).

2. — *Bardzo zły stan produkcji trwałych artykułów przemysłowych codziennego użytku.* Dla 210 milionów ludzi w roku 1950 wyprodukowano np. tylko 7 milionów zegarów i zegarków ręcznych (stąd sławetne „dawaj часы”), tylko pół miliona maszyn do szycia, tylko 485 tysięcy elektrycznych żelazek do prasowania, tylko 100 tysięcy maszyn do odkurzania, tylko milion aparatów radiowych.

3. — *Słaby stan i słaby wzrost produkcji nietrwałych dóbr konsumpcyjnych.* Dane za rok 1950 przed nawiasem, dane za rok 1952 w nawiasie, obie cyfry dotyczą Z.S.S.R. Materiały bawełniane 3.815 milionów metrów (4.935). Materiały wełniane 167 (brak danych). Obuwie 205 milionów par to jest tyle co w roku 1940 (dla 1952 brak danych). Cukier 2.515 tysięcy ton (3.055). Masło 325 tysięcy ton (360). Tłuszcze roślinne 775 tysięcy ton (945). Mięso 1.267 tysięcy ton (1.632). Przy czytaniu tych cyfr należy pamiętać o ilości mieszkańców Z.S.S.R.

4. — *Jaskrawa nierówność rozwoju przemysłu i rolnictwa.* Od roku 1940 do 1953 produkcja dóbr wytwórczych wzrosła o 200 procent, konsumpcyjnych — o 72%. Od roku przedwojennego produkcja przemysłowa wzrosła o 100%, rolnicza tylko o 10%.

5. — *Nierównomierność rozwoju uprawy roli i hodowli, na niekorzyść tej ostatniej, z tym, że w obu działach produkcji wydajność w sensie absolutnym jest niedostateczna dla ludności Z.S.S.R.* Wobec nieposiadania danych dla lat 1952 i 1953 podajemy produkcję roku 1950, dodając w nawiasie dla porównania produkcję z roku 1951. A więc:

- (a) — W dziale uprawy roli: ziarno zbożowe 124,5 milionów ton (121,5). Bawełna 3,75 miliona ton (3,95). Buraki cukrowe 23,5 miliona ton (27,5). Jak widać, w pierwszej, najważniejszej pozycji jest nawet spadek.
- (b) — W dziale hodowli. Stan pogłowia przedstawia się wybitnie niepomysłnie, wykazując na ogół znaczny spadek w stosunku do czasów przed-kołchozowych. Cyfry przed nawiasem dotyczą roku 1928, zaś cyfry w nawiasach — roku 1953. Cyfry te wyrażają stan w milionach sztuk. Konie 36,1 (15). Świnie 27,7 (28,5). Owce i barany 114,6 (109,9). Bydło 66,8 (56,6), w czym krowy 33,2 (24,3). Z cyfr tych wynika, że Stalin nie tylko przeprowadził masakrę kulałów, ale także przyczynił się do masakry żywego inwentarza w rolnictwie.

6. — *Ciężki przemysł sowiecki został więc zbudowany kosztem rolnictwa. Rolnictwo to jest dziś zbyt słabe, aby dźwigać na sobie potężny przemysł. W warunkach, stworzonych przez stalinowską politykę gospodarczą, chłop sowiecki jest i musi być niedostatecznie produktywny, konsument musi być i jest źle zaopatrzony.*

Ten obraz uzupełnia i jeszcze surowiej ocenia sam rząd sowiecki ustami Malenkowa i Chruszczewa.

DIAGNOZA MALENKOWA I CHRUSZCZEWA

Na czoło konstatacji gospodarczych Malenkowa wybija się stwierdzenie, że produktywność sowieckiego rolnictwa przedstawia się dziś gorzej niż w roku 1928 to jest przed kolektywizacją. Malenkow ani jednym słowem nie wskazuje na pra-przyczynę tego zjawiska to jest na stalinowską politykę inwestycyjną, ani na rzeczy będące jej uzupełnieniami i pochodnymi. Wyraźne przyczynowe powiązanie tych spraw zastępuje on niewinnie statystycznym stwierdzeniem, że w ciągu ostatnich 25 lat produkcja dóbr wytwórczych wzrosła 55 razy!

Z bardzo długiej mowy Malenkowa zacytujemy następujące znamienne słowa: „Na wielu obszarach gospodarstwa, zarówno kolektywne jak państwowe dają małą ilość ziarna i innych zbiorów oraz pozwalają sobie na marnotrawstwo w okresie żniw. Z powodu niedostatecznego rozwoju pewnej ilości gospodarstw kolektywnych wykazują one niewystarczające dochody i zbyt mało wypłacają członkom kolektywów rolnych za ich pracę. Należy

przyznać, że rozwój hodowli jest niezadawalający, a wskutek tego rosnące zapotrzebowanie ludności na mięso, mleko, jaja i inne produkty rolne nie może być odpowiednio zaspokojone". Dlaczego tak jest? Tu Malenkov przyznaje, że „ciągle jeszcze są liczne kolchozy, a nawet całe obszary, które zaniedbują rolnictwo". O ile w szczególności o hodowlę chodzi, to jej stan zilustrował on stwierdzeniem, że dziś w Z.S.S.R. jest o 9 milionów krów mniej niż było w roku 1928. Chruszczew zaś porównując czasy bezpośrednio-przedwojenne z dzisiejszym stanem rzeczy, powiedział, że różnica w ilości krów wynosi 3 i pół miliona na niekorzyść „dziś” i co gorsza, nawet ostatni rok przyniósł spadek tej ważnej pozycji o dwa miliony sztuk. A wiadomo przecież, że od 1928 roku do dziś ludność i obszar Z.S.S.R. wzrosły w stopniu bardzo istotnym, wobec czego pogłowie zwierzęce na głowę ludności jest dziś znacznie jeszcze gorsze niż by wynikało z różnicy cyfr absolutnych. Chruszczew poświęca też sporo uwagi sprawie deficytu kartofli i jarzyn, a także sprawie ziarna i roślin przemysłowych, stwierdzając, że ziemia jest zatorywana a zasiewy dokonywane z niedopuszczalnym opóźnieniem, że zbiory traktowane są niedbałe itd., itd.

Z rzeczy, które najtrudniej chyba wyszły z ust sowieckiego premiera, należy przytoczyć uznanie przezeń konieczności istnienia prywatnych działek ziemi gdyż potrzeby chłopów „nie mogą jak dotąd być w pełni zaspokojone przez kolektywne gospodarstwa rolne". Podobne twierdzenia uchodziły do niedawna za myślenie kategoriami kontr-rewolucji burżuazyjnej.

Mówiąc o konsumencie sowieckim, Malenkov zwrócił uwagę bliższą cyfrową charakterystykę konsumpcji na głowę ludności, tak bardzo drażliwą w kraju, w którym przez całe dekady rozbrzmiewał slogan o niezwykle wysokim poziomie życia pracujących. Natomiast sprawa jakości dóbr konsumpcyjnych w Z.S.S.R. została potraktowana przez sowieckiego premiera w sposób tak otwarty i prawdziwy, że można to uważać za prawdziwą sensację. Malenkov dał wprost druzgoczącą ocenę tej jakości. W dotychczasowej gwarze sowieckiej obowiązywała sztanca: „u nas wszystko jest”, a to, co jest, jest najlepsze na świecie.

Tak oto wyłaniają się z przemówień Malenkowa i Chruszczewa dwie postacie ekonomiczne, krańcowo do wczoraj upośledzone w Z.S.S.R.: rolnik, którego pozycja w hierarchii społecznej jest niewspółmiernie niska w zestawieniu z jego naturalnym zadaniem gospodarczym i konsument, który w zakresie przekraczającym jego fizyczną reprodukcję, w ogóle się nie liczy. Przynęły więc miraż 19-go Kongresu sprzed roku, kiedy to tenże Malenkov kategorycznie twierdził, że problem ziarna zbożowego został w Z.S.S.R. „na zawsze” rozwiązany i kiedy sto razy powtórzono sakramentalną formułę, że sowieckie rolnictwo, ten „najwspanialszy system rolniczy świata”, spoczywa na potężnej bazie przemysłowej. Życie pokazało, że jest wręcz na odwrót: to potężny przemysł spoczywa — w danych warunkach polityczno-gospodarczych — na słabej bazie rolniczej.

KAPITALISTYCZNA TERAPIA

W opisanym stanie rzeczy Malenkov stwierdza dziś, że punkt ciężkości polityki gospodarczej zostanie przesunięty z rozwoju ciężkiego przemysłu do produkcji dóbr konsumpcyjnych. Chruszczew jeszcze bardziej stanowczo podkreśla, że „ostre podniesienie wszystkich działów rolnictwa, wielkie powiększenie w ciągu dwóch-trzech lat ilości wytwarzanej żywności, zapewnienie wysokiego poziomu dobrobytu materialnego ogółowi kolektywnych gospodarstw rolnych” — stanowi odtąd zasadniczy cel sowieckiej polityki gospodarczej. Podniesienie wydajności rolnictwa ma się więc stać kluczem do dalszego rozwoju gospodarczego Z.S.S.R. Jak rząd sowiecki zamierza osiągnąć swój cel? Ogólnie mówiąc, przez zastosowanie całego szeregu drastycznych środków, które mają rolnika postawić na nogi.

Ideologicznie rzeczą najbardziej uderzającą jest hasło odbudowania „moralu” chłopstwa. Chłop ma odtąd mieć należne mu miejsce w społeczeństwie, chodzi o jego inicjatywę, o jego współdziałanie z państwem na podłożu uznania jego prywatnych interesów, które mają być zaspokojone. Jest to jakby ponury flirt z duchem kulaków, którzy w okresie *Sturm und Drang Periode* kolektywizacji zostali wyróżnieni. Równocześnie i równolegle z tym rozwija się kokietowanie konsumenta troską o jego dobro. Odpowiednio do tego można tu wyodrębnić dwie grupy chwytów polityczno-gospodarczych, które rząd sowiecki podejmuje:

a) Na terenie stosunku do rolnika. Zupełnie nowa, zdecydowana pro-rolnicza polityka podatkowa, obniżka podatków dla ludności rolniczej w stopniu wręcz fantastycznym — o 43%. Jest to połączone z umarzaniem podatków zaległych oraz z obniżeniem podatku na działkę prywatnej o 50%. Jednocześnie sygnalizowane są koncesje w zakresie nabywania „dobrowolnych” pożyczek państwowych. Stosunek handlowy pomiędzy państwem a kolektywem rolniczym też ulega zmianie, a mianowicie redukuje się przymusowe dostawy na rzecz państwa, zaś ceny za te dostawy, zwłaszcza nadkontyngentowe, zostają wydatnie podniesione. W niektórych wypadkach podwyżki dochodzą do 40% (jarzyny), w innych do 200% (masło i mleko), w jeszcze innych wypadkach, np. przy skupie bydła, ceny obecnie oferowane będą stanowiły 550% dotychczasowych. O ile rolnik nie ma krowy na swej działce prywatnej, zwalnia się go czasowo od podatków w ogóle, aby mu umożliwić nabycie jej itd. Fundamentalnym wyrazem szeroko reklamowanej troski o rolnictwo — jest zapowiedź dostarczenia mu pół miliona traktorów w okresie 1954-1957 oraz zwiększenia dopływu mechaników i innych specjalistów. Towarzyszy temu rzecz nader subtelna: odpolitycznienie zarządów kolchozowych.

b) Na terenie stosunku do konsumenta. Tutaj wchodzi w rachubę przede wszystkim zapowiedź Malenkowa co do istotnego

wzmoczenia inwestycji w przemyśle lekkim. Ma to kluczowe znaczenie dla całej tej sprawy, gdyż bez poważnych nakładów kapitałowych oraz bez równie poważnej zmiany przeznaczenia pewnych surowców przemysł lekki nie mógłby sprostać swemu nowemu zadaniu. Poza tym sowieccy ministrowie przyrzekli, że już w okresie 2—3 najbliższych lat — wyraźnie dwóch-trzech lat — nie dwóch-trzech piatilet — bardzo wielkie ilości wyrobów tekstylnych, cukru, masła itd. zostaną postawione do dyspozycji konsumenta, ale już w tym roku będzie pierwsza transza za jakieś 32 miliardy rubli. Rok 1955 ma przynieść o 65% więcej dóbr konsumpcyjnych niż było w 1950, z tym, że ta nadwyżka może stać się faktem już w roku bieżącym. Zaokrągla tę listę błogosławieństw dla wygłodzonego konsumenta Mikojan, rozstrząsając przed jego oczyma obraz wielkiego wzrostu produkcji maszyn do prania, odkurzaczy elektrycznych, lodówek itd. Podatek obrotowy od dóbr spożycia zostaje zredukowany. Krótko mówiąc: frontem do konsumenta.

Jeżeli rzucimy okiem na środki polityczno-gospodarcze podane wyżej pod a), to zauważymy, że wszystkie one są zaczerpnięte z repertuaru ekonomii „burżuazyjnej”. Podobnie w grupie (b).

PERSPEKTYWY

Lenin ongiś oświadczył, że jego N.E.P. jest rzeczą pomyślaną „wsierjóz i na dołgo”. Po tym, gdy N.E.P. spełnił swoje zadanie, został zaniechany, i to w najwcześniejszym możliwym terminie. Czy coś podobnego będzie i teraz?

Niektórzy znawcy spraw sowieckich uważają, że obecna nowa polityka jest odwrotem strategicznym, że to rzecz poważna, zamierzona na długi okres czasu, ostateczny koniec stalinowskiej polityki gospodarczej. Inni znawcy sądzą, że to tylko taktyka, chwilowy zwrot wywołany koniecznością gospodarczą, który potrwa tylko tak długo, jak długo będzie istniała ta konieczność. Prorocy z pierwszej kategorii podkreślają, że poza koniecznością gospodarczą, która sama przez się będzie rzeczą trwałą, istnieją też i inne oznaki długotrwałości nowego kursu. Niektórzy prorocy z drugiej kategorii opierają swoje zdanie na jakby zasadniczej niewierze w to, że „u bolszewików w ogóle cośkolwiek może się naprawdę polepszyć”. Żaden z tych dwóch punktów widzenia nie stoi na mocnych nogach, gdyż w gruncie rzeczy nikt nie zna intencji rządu sowieckiego, a gdyby nawet znał, na nic by się to nie zdało, gdyż jest rzeczą z góry pewną, że polityka gospodarcza będzie się zmieniała wraz ze zmianą sytuacji. Dlatego sądzymy, że należy nie tyle prorokować co będzie, ile raczej stwierdzić, od czego obiektywnie zależy to, co przyszłość przyniesie.

Przede wszystkim — sprawa analogii do czasów pierwszego N.E.P.'u. Na analogii tej nie należy budować żadnych stanów-

czych wniosków. Cała ówczesna sytuacja Z.S.S.R. była zupełnie inna niż dzisiejsza. Dziś to państwo, nasycone kapitałem przemysłowym, mające silną pozycję wojskową i polityczną, może — łatwiej i na dłużej niż wtedy — pozwolić sobie na poważne koncesje w stosunku do rolnika i konsumenta. Ponieważ zaś istotnie potrzebuje naprawy swego rolnictwa, ponieważ istotnie musi wreszcie zatroszczyć się o swego konsumenta, przytłoczonego ciężarem kilku pięcioletek — to „konieczność” nowego kursu zbiega się z jego obiektywną „możliwością”. Do tego dochodzi doświadczenie ćwierćwiecza, które w takiej czy innej mierze dzisiejsi władcy sowieccy zapewne zechcą wykorzystać dla własnego sukcesu politycznego, zwłaszcza, że po śmierci Stalina mają rozwiązane ręce. Można więc sądzić, że w zasadzie sytuacja dzisiejsza bardziej sprzyja długotrwałości nowego kursu niż w dniach Lenina.

Ale i dziś istnieje pewna granica poza którą te koncesje nie pójda. Tą granicą jest zachowanie zasadniczej struktury kolektywnego ustroju agrarnego, bez którego istnienie Sowietów jest nie do pomyślenia choćby nawet było oczywiście, że wydajność ich systemu rolnego leży poniżej produktywności prywatnego rolnictwa. Kolchozy stały się bowiem organiczną rzeczywistością gospodarczą Rosji — to jest fakt bezsporny. I ktokolwiek chciałby je usunąć, spowodowałby jedynie, że zamiast dzisiejszego w Z.S.S.R. ubóstwa konsumpcyjnego przyszedłby powszechny i elementarny głód(*). Taki sam albo — ze względu na powiększenie się ludności — jeszcze gorszy od tego, który panował w okresie gwałtownego przestawiania prywatnej gospodarki rolnej na gospodarkę kolektywną. Polityczny aspekt tej sprawy jest tym ważniejszy dlatego, że koncesje typu prywatno-kapitalistycznego, udzielane ludności rolniczej i utrwalające się w ustroju ekonomicznym, mogą w pewnej fazie spowodować dojście momentów kapitalistyczno-gospodarczych do roli nadmiernej z punktu widzenia tych, którzy budują komunizm i którzy w żadnym wypadku nie zrezygnują z dalszego budowania go. Wtedy N.E.P. trzaśnie i rozpocznie się odwrót od obecnego odwrótu choćby nawet obecne zamiary Malenkowa i Chruszczewa były istotnie „wsierjóz i na dołgo”. Może też się zdarzyć, czego nie można przewidzieć, że ludność rolnicza Z.S.S.R., po obfitych bolesnych doświadczeniach ostatniego ćwierćwiecza, nie zaufa polityce rządowej, a w takim razie nowe hasła ekonomiczne spalą na pańewce albo przyniosą rezultaty nader ograniczone.

Z drugiej strony istnieje tu bardzo doniosły problem natury gospodarczo-finansowej. Finansowanie nowego kursu gospodar-

(*) Słysz się często opinię, że Hitler „przez głupotę” nie przywrócił prywatnej własności rolnej w okupowanych przez siebie częściach Rosji, że wypuścił z ręki atut polityczny w stosunku do ludności rosyjskiej. Sądzę że w danym wypadku nie głupota była czynnikiem rozstrzygającym lecz praktyczne wyczucie, że gwałtowne przestawienie dźwigni ustroju rolnego musiałoby spowodować głód, niepożądany dla okupanta.

czego, rozumiane przede wszystkim jako finansowanie inwestycji w lekkim przemyśle, będzie *musiało* zmienić sposób krącenia ogólnosowieckiego „bochenka inwestycyjnego”, będzie *musiało* zmniejszyć nakłady kapitałowe w ciężkim przemyśle, zwłaszcza, że jak wynika z oświadczeń sowieckich ministrów zwrócą oni baczną uwagę na produkcję trwałych dóbr konsumpcyjnych, która to produkcja wymaga stosunkowo dużych kapitałów dla przemysłu lekkiego. A i samo rolnictwo będzie wymagało silnie zwiększonych inwestycji, aby podnieść stopień jego zmechanizowania, które dotychczas przedstawia się o wiele gorzej niż to się powszechnie sądzi. Co w tych warunkach będzie z dalszą rozbudową ciężkiego przemysłu? Politycy sowieccy nie zrezygnują z tej dalszej rozbudowy, jak to dobitnie wynika z ich oświadczeń — nawet z tych, w których proklamowali nowy kurs. Przypuszczalnie również armia nie dopuści w praktyce do jakiegś bardzo istotnej obniżki swych wydatków mimo, że bieżący budżet państwowy ma barwę raczej pokojową. Wytwarza się więc dylemat polityczno-gospodarczy w dziedzinie globalnego określenia stosunku wydatków konsumpcyjnych do nie-konsumpcyjnych, którego rozstrzygnięcia nie możemy odgadnąć, nie mamy bowiem żadnej podstawy do stwierdzenia, gdzie będzie przebiegała linia koniecznego kompromisu w tej sprawie. A od tego w znacznej mierze zależą losy nowej polityki. Jej realizacja łączy się ponadto z wielorakimi trudnościami organizacyjnymi, związanymi z przestawianiem całej gospodarki na nowy tor: nie wiadomo, czy i w jakiej mierze trudności te zostaną pokonane. Jednakże mimo tych wszystkich „ale” uważamy, że w zasadzie ten N.E.P., podobnie jak i jego poprzednik, może osiągnąć zamierzony cel. To jest pierwszy nasz wniosek.

Drugi wniosek, który z powyższych wywodów można wyciągnąć, polega na tym, że bez względu na przyszły przebieg nowej polityki, już sam fakt jej proklamowania świadczy o tym, że rząd sowiecki nie przewiduje wojny w bliskim czasie.

Natomiast jest inny wniosek, którego nie należy wyciągać, a do wyciągania którego skłonni są ludzie, identyfikujący politykę z tabliczką mnożenia. Oto, mając przed oczyma dotychczasową dynamikę i obecny stan rolnictwa sowieckiego, sądzą oni pochopnie, że siła państwa sowieckiego będzie musiała wykazywać w przyszłości tendencję malejącą. Tak jednak bynajmniej być nie musi. Nie musi tak być (1.) dlatego, że przy odpowiednio trwałej i dostatecznie intensywnej polityce pro-rolniczej rolnictwo to według wszelkiego prawdopodobieństwa stanie się produktywniejsze, (2.) dlatego, że — nawet w braku stałej, intensywnej pro-rolniczej polityki — pozostaje dla rządu sowieckiego otwarte pole do pewnego rodzaju „plodozmianu” polityczno-gospodarczego, w jednym okresie bardziej faworyzującego rolnictwo, w drugim — przemysł, (3.) dlatego, że polityka pro-rolnicza i pro-konsumpcyjna może stworzyć nieistniejący dotąd element zadowolenia wśród ludności Z.S.S.R., pozytywny dla państwa sowieckiego w sensie politycznym i wojskowym i zwiększający ogólną

jego siłę. Dalej, (4) należy pamiętać, że w Rosji istnieje pewne ogólne podłoże polityczne, sprzyjające zachowaniu siły państwa nawet w ciężkich warunkach gospodarczych: rząd sowiecki ma szczególnie jasną świadomość swych celów *pozytywnych*, podczas gdy rządy po naszej stronie barykady wiedzą dokładnie raczej tylko to, czego nie chcą. Jest zaś pewnikiem, że polityka czerpie swą siłę przede wszystkim z konkretnej wizji celów. I wreszcie (5) demokracja zachodnia jest od wewnątrz osłabiona przez dwie kategorie rzekomych swych obrońców. Do pierwszej kategorii należą ci, którzy nie doceniają stopnia niebezpieczeństwa sowieckiego i chcą je oddalić metodą niepokalanie liberalną. Do drugiej kategorii należą ci, którzy wobec wielkich zagadnień naszego stulecia wykazują postawę żandarmską, chcą je „rozwiązywać” metodą czysto policyjną. Obie kategorie tych pseudo-demokratów premiuja Sowiety i powiększają ich siłę w stosunku do Zachodu.

Stanisław ZARZEWSKI

POLSKIE SŁOWO NA OBCYZYŃNIE

Największa na emigracji

KSIEGARNIA
POLSKA

ORBIS

38, Knightsbridge, S.W.1.
LONDON, Gt. Britain

WSZELKIE NOWOŚCI WYDAWNICZE
W JĘZYKU POLSKIM

Wydane gdziekolwiek na świecie
Na składzie zawsze ponad 3.000 tytułów

KSIAŻKI ANGIELSKIE:

Polonica, zagadnienia środkowo-wschodnio-europejskie,
współczesne problemy wojny i pokoju.

Polecamy również:

POLSKIE PŁYTY PATEFONOWE

wiele nowych własnych nagrań.

Płyty wysyłamy zagranicę w przesyłkach
specjalnie opakowanych i ubezpieczonych.

KATALOG KSIĄŻEK I PŁYT NA ŻĄDANIE BEZPŁATNIE.

Archiwum polityczne

Przeglądając Słownik sowiecki

Leżący przede mną w drugim wydaniu *Słownik języka rosyjskiego* jest publikacją Państwowego Wydawnictwa obcych i narodowych słowników i nosi datę: Moskwa 1952. Na karcie tytułowej figurują S. I. Ożegow jako autor i członek Akademii Nauk, S. P. Obnorski jako ogólny redaktor. Na odwrotnej stronie widnieją nazwiska pięciu innych odpowiedzialnych redaktorów, a mianowicie: prof. G. O. Winokur, W. A. Petrosian, kandydat nauk filozoficznych N. I. Szwedowa, I. W. Lechin i kandydat nauk filologicznych R. M. Cejlin. Z przedmowy dowiadujemy się, że w pracy nad słownikiem brały nadto udział trzy specjalistki od leksykografii, Instytut językoznawczy Akademii Nauk i W. W. Winogradow, członek tejże Akademii. Skądinąd wiadomo, że owoc tej zbiorowej pracy, dokonanej pod auspicjami oficjalnych autorytetów naukowych, jest najbardziej rozpowszechnionym dziś w Rosji słownikiem mowy potocznej, spełniając tam rolę jaką w innych krajach spełniają le Petit Larousse, Petrocchi lub Der kleine Brockhaus. Nakład jego wynosi 150.000 egzemplarzy.

Słownik ten znany jest również poza granicami Związku sowieckiego. Postępują się nim mianowicie tłumacze urzędowej prozy sowieckiej. Mój egzemplarz kupiłem w genewskiej księgarni.

Przedmowa wyjaśnia, że Słownik języka rosyjskiego spełnia życzenie Lenina, który uważał za niezbędne opracowanie słownika języka rosyjskiego współczesnego, „masowego”. Język rosyjski — pisze S. I. Ożegow — jest obecnie językiem wodzów całej postępowej ludzkości i znaczenie międzynarodowe jego wzrasta w miarę zwycięstw i konsolidacji socjalizmu w Rosji. Dla ludów całego świata język rosyjski jest źródłem nowych pojęć i terminologii powstałej na gruncie kultury socjalistycznej.

Z powyższych słów widzimy, że słownik zwraca się nie tylko do obywateli R.S.F.S.R., ale także do narodów całego świata, zachęcając je do bliższego zapoznania się z pojęciami, termino-

logią i frazeologią sowiecką. Tym właśnie chcemy się zająć w niniejszej notatce.

Głównym staraniem autorów słownika było najwidoczniej jego uwspółcześnienie, dopasowanie do ustalonych pojęć i do rzeczywistości sowieckiej. W odróżnieniu od podobnych słowników innych języków, *Słownik języka rosyjskiego* nie zawiera żadnych wskazówek etymologicznych i — wśród tysięcy przykładów frazeologicznych — nie zawiera żadnych cytatów z autorów klasycznych. Jedyny cytat klasyczny, jaki udało mi się w nim znaleźć, jest to „*u łukomoria dub zielonyj*”, ale i ten nie wymienia autora. Mimo że dość kompletny — liczy 52.000 wyrazów — nie zawiera już wielu wyrazów używanych np. przez Sałtykowa-Szczedrina i notuje jako przestarzałe wyrazy, które w 1912 należały jeszcze do mowy potocznej.

Tendencja do uwspółcześnienia wyraża się oczywiście w definicjach niektórych pojęć, które w dawniejszych słownikach posiadały inne oblicze. Pod słowem *formalizm* np. czytamy: 1. Zachowywanie w czymś zewnętrznej formy kosztem istoty rzeczy. 2. Kierunek idealistyczny w sztuce, literaturze, literaturoznawstwie i innych naukach, przypisujący znaczenie tylko formie, w oderwaniu od rzeczywistości i ideologicznej treści utworu. *Formalizm jest właściwy rozkładającej się sztuce i nauce burżuazyjnej* (Przykłady frazeologiczne podaje tu za *Słownikiem kursywu*).

Pod słowem *kosmopolityzm* czytamy: Reakcyjny, antypatriotyczny i burżuazyjny pogląd, uznający obłudnie za ojczyznę cały świat i odrzucający wartość kultury narodowej, prawo narodów do samodzielnego istnienia, jak również myśl obrony ojczyzny i jej państwowej niezawisłości.

Oto parę innych, zmodernizowanych definicji:

Pacyfizm: Obłudna polityka burżuazyjna, wyrzekająca się wszelkich wojen, w tej liczbie narodowo-oswobodzicielskich, rewolucyjnych i innych wojen sprawiedliwych. *Pacyfizm jest narzędziem do przygotowywania nowych wojen pod płaszczykiem frazesów o pokoju*.

Katolicyzm: Wyznanie chrześcijańskie i organizacja kościelna, na której czele stoi papież. *Katolicyzm jest ostoją reakcji i ciemnoty*.

Dobroczynność: W społeczeństwach burżuazyjnych: prywatna pomoc materialna okazywana ubogim z litości obrażającej godność człowieka. *Dobroczynność prywatna jest jedną z mas ukrywających eksploatacką naturę mieszczaństwa*.

Ubrane w takie definicje, słowa przeglądają się w sowieckim zwierciadle i nie poznają samych siebie. Obiektywny opis ich ustalonego zwyczajowo znaczenia autorzy słownika odrzuca-

ją zapewne jako przesąd burżuazyjny. Słownik jest w ich pojęciu jednym z narzędzi walki z kapitalizmem. Wyrazy stoją w nim w alfabetycznych szeregach, ubrane w stosowne do ich zadań mundury.

Autorzy słownika obawiają się najwidoczniej stanąć otwarcie na takim stanowisku, bo piszą w przedmowie: Po wyjaśnieniu znaczenia słowa dodajemy w miarę potrzeby kursywą przykłady jego użycia, pozwalające zrozumieć bliżej jego znaczenie i zastosowania w mowie. Jako przykłady podajemy krótkie zdania zawierające najczęściej używane zestawienia danego słowa z innymi. Nieco niżej przedmowa zaznacza raz jeszcze, że podane w słowniku przykłady zawierają zdania „najbardziej typowe”. Słownik ma więc w swym założeniu być zwierciadłem sowieckiego *usage*. Po tym wyjaśnieniu bierzemy się z tym większym zainteresowaniem do przeglądania materiału frazeologicznego słownika jako domniemanego inwentarza nawyków myślowych i asocjacji budzących się na widok wyrazów w umyśle obywateli sowieckich.

Już na pierwszy rzut oka uderza w tych asocjacjach egzaltacja siły, potęgi, zamożności i wewnętrznego ładu „sowieckiej ojczyzny”. Co raz to staje mi przed oczyma postać profesora Pro....wicz ze słowami *Rossija silnaja* na ustach. Przy wymawianiu tych słów twarz jego przybierała taki wyraz jak gdyby zbliżał do ust czarkę słodkiego wina, wzruszenie spierało mu oddech, i między jednym wyrazem a drugim musiał połknąć trochę śliny.

Oto kilka przykładów tego stylu :

Sila w znaczeniu potęgi, wpływ, władza opatrzona jest następującymi przykładami : *Potężna sila bolszewickiego słowa. Niezwyciężona sila partyzantów pokoju.*

Potęga : Moc, siła. *Potęga sił zbrojnych sowieckiej ojczyzny.*

Potężny : Mocny, silny. *Potężna flota sowieckiego kraju. Nasz kraj jest potężną ostoją pokoju, demokracji i socjalizmu.*

Bogaty : Rozporządzający wielkim majątkiem i środkami pieniężnymi, bardzo zamożny. *Bogaty kolchoz.*

Kolchoz : Przedsięwzięcie typu socjalistycznego, grupujące chłopów w celu kolektywnego prowadzenia gospodarstwa rolnego. *Wzorowy kolchoz. Kolchoz-milioner.*

Należać : 1. Być w czyimś posiadaniu. *Wnętrze ziemi należy do państwa.* 2. Być komuś właściwym. *Do naszego kraju należy rozstrzygająca rola w walce o pokój.*

Zwycięzca : Ten kto zwyciężył, kto odniósł zwycięstwo. *Naród sowiecki jest narodem zwycięzcą.*

Powitanie : Zwrócony do kogoś wyraz uczucia osobistej przyjaźni lub społecznego uznania. *Płomienne powitanie obrońców ojczyzny.*

Niech : Oby. Używa się z czasownikami w czasie teraźniejszym i przyszłym. *Niech żyje sowiecka armia! Niech zginie wróg!*

Besprizornyj : 1. Pozbawiony pieczy. 2. Bezdomny, mieszkający na ulicy. *Bezdomne dziecko. W sowieckim kraju nie ma besprizornych.*

Tył : 1. Tylna część czegoś. 2. Teren za frontem. 3. Organizacje i oddziały wojskowe obsługujące armię, lecz nie znajdujące się w obrębie działań wojennych. 4. Cały kraj w przeciwstawieniu do frontu lub zagranicy. *Sowiecki tył jest zawsze silny.*

Ten ostatni, trochę nieoczekiwany przykład skrywa w sobie być może jakiś dyskretny panegiryk na cześć wybitnych osobistości sowieckich.

Równie bogaty jest materiał frazeologiczny wyrażający potępienie dla świata kapitalistycznego i obrzydzenie, jakie ten ostatni budzi u lojalnych obywateli.

Grabieżczy : Prowadzący do ruiny i ucisku mas. *Grabieżcza polityka kolonialna imperialistów. Grabieżcza wojna imperialistyczna.*

Rozbijać się : Zajmować się rozbojem, być rozbójnikiem. *Wypędziliśmy faszystowskich najeźdźców rozbijających się na rosyjskiej ziemi.*

Korupcja : W krajach burżuazyjnych : branie łapówek, sprzedajność urzędników i działaczy politycznych.

Rozpusta : 1. Rozwiązłość płciowa. 2. przen. upadek obyczajów, niski poziom moralny postępowania. *W społeczeństwie mieszczańskim panuje rozpusta.*

Falszowy : 1. Zawierający w sobie fałsz, oszukańczy, nieautentyczny. *Falszowy dokument. Falszowe włosy.* 2. Nienaturalny, nieodpowiedni. *Falszowa nuta.* 3. Nieszczery, obłudny. *Falszowy uśmiech. Falszowa demokracja mieszczańska.*

Faryzeuszowski. *Faryzeuszowskie frazesy pacyfistów o pokoju.*

Nacisk : 1. Siła działająca na powierzchnię ciała. Stopień prężności gazów i płynów. 2. przen. Przymus, gwałt zadany woli lub przekonaniom. *Wywrzeć na kogoś nacisk. Pod naciskiem okoliczności. Nacisk na wyborców, wywierany w krajach kapitalistycznych przez klasy posiadające.*

Totalitarny: Faszystowski, stosujący faszystowskie metody.

Głodować: Cierpieć głód przez dłuższy czas. Odżywiać się niedostatecznie. *Masy pracujące głodują w krajach kolonialnych.*

Od zimna cierpieć: ludność uboga cierpi od zimna w krajach kapitalistycznych.

Agent: 1. Osoba upoważniona przez kogoś do spełniania czynności służbowych lub zawodowych. *Agent aprowizacyjny, dyplomatyczny, tajny.* 2. Osoba działająca w czyichś interesach, służąca czyimś interesom. *Prawicowi socjaliści są agentami imperializmu.*

Itđ., itd. Każdy wyraz jest okazją do wypowiedzenia jakiegś pouczającego sądu o krajach „kapitalistycznych”. Doszedłszy do słowa *bezczelny*, czytelnik może już zgadnąć sam, że *bezczelny wróg* oznacza zapewne kapitalistę, a *bezczelne postępowanie* najlepiej charakteryzuje działalność prawicowych socjalistów.

Osobną grupę stanowią przykłady frazeologiczne egzaltujące czujność, sprawność sił zbrojnych Związku sowieckiego i pewność ostatecznego zwycięstwa nad otaczającymi go ze wszystkich stron wrogami. Jedyne reminiscencje historyczne nie zabarwione odcieniem lekceważenia dla przeszłości odnoszą się do dawnych zwycięstw oręża rosyjskiego.

Wojna: Walka zbrojna między państwami. *Sprawiedliwa wojna ludowa przeciw obcym najeźdźcom. Wielka wojna patriotyczna. Wojna zwycięska. Znajdować się z kimś w stanie wojny. Wypowiadać wojnę. Imperialiści podlegają do wojny.*

Wojenny: *Wojenny czas. Histeria wojenna w krajach kapitalistycznych.*

Totalny: Ogólny, obejmujący wszystkie dziedziny. *Imperialiści chcą rozpętać totalną wojnę.*

Ugodowiec: Oportunistą prowadzący w organizacjach robotniczych politykę zgody z burżuazją i zdrady klasy robotniczej. *Ugodowcy mieniszewiccy są najgorszymi wrogami dyktatury proletariatu.*

Bratać się: 1. Zawierać przyjaźń, nawiązywać braterskie stosunki. 2. Zawierać działania zbrojne i okazywać przyjazne uczucia wojskom przeciwnika (w warunkach niesprawiedliwej wojny imperialistycznej). Ten ostatni, trochę niejasny przykład nasuwa myśl, że podczas wojen „sprawiedliwych” o żadnym bratanii się mowy być nie może.

Zatem: Wskutek tego, z tej przyczyny. *Wróg nie poddaje się, a zatem powinien być zniszczony.*

Grabarz: 1. Robotnik kopiący mogiły na cmentarzu. 2. przen. Ten kto niszczy coś przeznaczonego na zagładę. *Proletariat jest grabarzem kapitalizmu.*

Itđ., itd.



Kurt Tucholsky ogłosił przed wielu laty w *Weltbuehne* szkic opisujący spotkanie z wiewiórką w kilku różnych stylizacjach: *Eichhoernchen national, Eichhoernchen mondain* itd. Wersja „narodowa” — cytuję z pamięci — brzmi mniej więcej tak: Niemieckimi oczami robię przegląd niemieckich lasów. W tym miejscu można ustawić karabin maszynowy. Z tego zagajnika wyprowadzimy kompanię szturmową. Ale co to? To wiewiórka. Zatrzymała się i patrzy na mnie z wyrzutem, jak gdyby chciała powiedzieć: „Jak długo jeszcze będziesz znosił hańbę dyktatu wersalskiego?”

Eichhoernchen national jest żartem z czasów, kiedy Tucholsky mógł jeszcze żartować z nazich, zanim odebrał sobie życie w Goeteborgu. Przypominający „wiewiórkę w stylu narodowym” *Słownik języka rosyjskiego* jest właściwie też żartem, ale żartem ponurym, wałkowanym *mit tierischem Ernst* (*), jak mówią Niemcy, przez całe kolegium barbarzyńców na 848 stronicach in quarto.

W intencji autorów słownik ich zwraca się do wszystkich ludów świata, niosąc im nowe pojęcia. Ale jakie? Obwieszcza im przede wszystkim przewagę Związku sowieckiego i jego nieuniknione zwycięstwo, wobec którego ludom tkwiącym w przesądach kapitalistycznych — i przez to samo skazanych na rolę wroga klasowego — nie pozostaje nic prócz kapitulacji. „Wróg nie poddaje się, a zatem powinien być zniszczony”. Liczącym na nowy „liberalizm” sowiecki i dobroczynne ożywienie stosunków handlowych między Wschodem i Zachodem *Słownik* nie zostawia wiele nadziei, jak można sądzić z następującego komentarza:

Nep: Skrót: nowa polityka ekonomiczna. Polityka podjęta w 1921, dopuszczająca tymczasowo czynniki kapitalistyczne — przy zachowaniu kierownictwa w rękach państwa proletariackiego — i obliczona na zwycięstwo socjalizmu nad kapitalizmem.

Nepman: pogardl. Przedsiębiorca prywatny, kupiec-spekulant z pierwszego okresu Nepu.

Rozgrywki tego rodzaju ze światem kapitalistycznym nie pociągają za sobą większego ryzyka, jak można wnosić z objaśnienia do następującego neologizmu.

(*) Ze zwierzęcą powagą.

Bezperspektywny: Pozbawiony jasnych perspektyw. *Bezperspektywna polityka ugodowców*.

Niniejsza notatka jest tylko próbą rozpoznania przedmiotu i nie wyczerpuje bynajmniej wniosków, jakie można by wysnuć z bardziej systematycznego zbadania *Słownika języka rosyjskiego* i mowy potocznej w Związku sowieckim.

Leon FURATYK

Polityka wyzwolenia

Czytelnik zapyta zapewne: czy jeszcze takie pojęcie w ogóle istnieje? Odpowiem: tak.

Istnieje zarówno jako pojęcie polityczne, jako pewien program, jako pewien kierunek myślowy jak i jako konkretna koncepcja, nad którą warto pracować. Ale nie istnieje w pojęciu przyjętym przez emigrantów. Nie istnieje w sensie wojny prewencyjnej i nie istnieje — i pewno nigdy nie będzie istniało — jako recepta na wszelkie bolączki emigracyjnego życia. Jako lekarstwo po zażyciu którego Czeši pogodzą się z separatystami słowackimi, Polacy osiągną zjednoczenie emigracyjne, które szumnie nazywa się w nomenklaturze naszego nienormalnego bytowania, „zjednoczeniem narodowym”, a Rosjanie znajdują wspólną płaszczyznę pracy z Ukraińcami dążącymi do wielkiej i niepodległej Ukrainy.

Dwa powyższe stwierdzenia są konieczne dla ustawienia problemu polityki wyzwolenia we właściwej perspektywie. Bowiemy tak jak podczas obrad jałtańskich Churchill i Stalin operowali tymi samymi słowami rozumiejąc je zupełnie inaczej, tak samo dzisiaj inaczej rozumie „policy of liberation” John Foster Dulles, a zupełnie inaczej Władysław Anders czy Tomasz Arciszewski. Trzeba by dążyć do tego aby sprowadzić do wspólnego mianownika znaczenie pojęć politycznych. Bez takiego ściągnięcia w dół skazani są politycy polscy — i inni — na bujanie w obłokach.

Po tym wstępie mogę przejść do istoty sprawy: w jaki sposób polityka wyzwolenia daje o sobie znać na powierzchni amerykańskiego życia?

Po pierwsze idzie od góry. Kiedy wydano komunikat po konferencji na Bermudach znalazł się w nim ustęp o wolności krajów okupowanych przez Rosję. Komentatorzy radiowi i reporterzy dodali w tym miejscu, że to widoczny wpływ Dullesa, dając tym do zrozumienia, że Sekretarz Stanu w dalszym ciągu przekonany jest o słuszności swojej tezy, której hołduje od lat, iż

odrzucenie komunizmu do granic przedwojennych, jest warunkiem stabilizacji Europy. Rzecz jasna, że w komunikacie jest sakramentalna formułka, że tego rodzaju krok dokonany być powinien drogą pokojową. Ale jak — o tym komunikat milczy.

Po drugie wyczuwa się politykę wyzwolenia na szczeblach ustawodawczych. Specjalna komisja Kongresu, pod przewodnictwem posła Kerstena, znanego dobrze ze swoich poprzednich wystąpień w interesie narodów okupowanych, zajmuje się sprawą zaboru państw bałtyckich. W Waszyngtonie i w Nowym Jorku Kersten prowadzi publiczne i prywatne przesłuchanie świadków, których zadaniem jest naświetlenie warunków, w jakich odbył się zabór tych państw przez Rosję Sowiecką w latach 1939-1940. Prasa, opisując obrady komisji, przewiduje, że komisja wystąpi z wnioskiem by rząd Stanów Zjednoczonych zadeklarował bezprawność zaboru bałtyckich republik i zażądał wycofania się Sowietów z tych krajów.

Po trzecie wyczuwa się politykę wyzwolenia w inicjatywach prywatnych i imprezach organizowanych przez Amerykanów wraz z grupami narodowościowymi państw okupowanych.

Po czwarte pewne aspekty polityki wyzwolenia dostrzec można w inicjatywach Komitetu Wolnej Europy. Inicjatywy te nie zawsze szczęśliwe, nie zawsze dynamiczne i nie zawsze spotykające się z aprobatą kół uchodźczych, świadczą jednak, że prąd wyzwoleniowy jest w dalszym ciągu dość wartki.

Wreszcie o polityce wyzwolenia czytamy w prasie, słuchamy w radiu i w programach telewizyjnych. Słucha się o niej, kiedy z Narodów Zjednoczonych nadawane są obrady na temat obozów pracy przymusowej w Sowietach; czyta się o niej, kiedy prawicowe, popierające politykę senatora McCarthy, pismo „U. S. News and World Report” rozdziera szaty nad rzekomym porzuceniem owej polityki i nadchodzącym okresem polityki uspakajania za wszelką cenę, nawet za cenę zasad moralnych; widzi się ją kiedy na ekranie telewizyjnym ukazuje się obraz ucieczki rodzin czeskich, lotników polskich, czy rybaków estońskich do wolnego świata. Wszędzie nuta jest ta sama: ci ludzie szukają wolności; trzeba ją im oddać, trzeba ją dla nich odzyskać.

Ale — zaraz pada niezręczne, twarde, zakłopotane pytanie — jak to zrobić? Próbą odpowiedzi na to pytanie była konferencja zwołana do Waszyngtonu na dzień 4 i 5 grudnia 1953 i nazwana dość szumnie „The National Conference on Freedom and Peace through Liberation”. Organizatorem zebrania był O. K. Armstrong.

Konferencja waszyngtońska zasługuje na omówienie. Była bowiem wydarzeniem o poważnej wadze politycznej. Przede wszystkim wniosła nieco świeżego powietrza do zatechłej atmosfery emigracyjnego bytowania. Poza tym dała sposobność Amerykanom przysłuchania się głosom przedstawicieli narodów okupowanych, głosom niczym nie skrzepowanym i głosom często ostro wzajemnie się zwalczającym. Wreszcie w czasie tej konferencji zredagowano szereg rezolucji oraz depeszę do Prezydenta Eisen-

howera. W depeszy tej, która zrodziła się w głowach polskich uczestników konferencji, żądano by Eisenhower, licząc się z opinią 16 milionów Amerykanów obcego pochodzenia, postawił zagadnienie wyzwolenia ludów podbitych na pierwszym miejscu obrad. Nikt nie spodziewał się, że Eisenhower to zrobi. Ale tekst depeszy pozostaje jako dokument. Dokument raczej istotny zważywszy, że na konferencji rzeczywiście reprezentowana była większość, jeżeli nie wszystkie grupy narodowościowe amerykańskie. Wystarczy powiedzieć, że z jednej strony przemawiał Karol Rozmarek, prezes Kongresu Polonii, organizacji masowej, a z drugiej Ormianin i Turkmeńczyk.

Trzeba w tym miejscu wyraźnie zaznaczyć, że spotkanie waszyngtońskie, spotkanie uchodźców, Amerykanów i przedstawicieli grup narodowościowych amerykańskich nie było imprezą ani oficjalną, ani nawet pół-oficjalną. Wyraźnie odciął się od niej Departament Stanu, podczas kiedy Komitet Wolnej Europy oficjalnie o niej „nie był poinformowany”. Stąd wszelkie wnioski, dyskusje, wszelkie dalsze konsekwencje tego zebrania będą w dalszym ciągu obracały się tylko i wyłącznie w kołach sympatyków, entuzjastów, misjonarzy, działaczy i zaprzyjaźnionych pisarzy. Oficjalny świat amerykański będzie się zaś temu przyglądał, będzie notował, będzie pisał raporty i szufladkował to wszystko w rubryce: „Wschodnia Europa”, podpunkt „Wyzwolenie”, odnośnik „Przyszłość”. Kiedy ta przyszłość nastąpi — nie wie nawet sam prezydent, ani jego sekretarz stanu. Pewno kiedyś. Przy najmniej my tak myślimy i sądząc z tego co napisano po Bermudach — myślą podobnie wielkie mocarstwa.

O czym będą owe raporty mówić?

Trzeba przyznać, że tematów było dosyć i to tematów nie zawsze negatywnych.

Zaraz pierwszego dnia obrad wyłoniono cztery komisje, z których każda miała się zająć specjalnym aspektem polityki wyzwolenia. Pierwsza komisja wzięła na siebie zadanie sformułowania polityki wyzwolenia w ramach amerykańskiej polityki zagranicznej. Druga — z udziałem dwóch Polaków, Jana Karskiego i Jerzego Lerskiego — obradowała pod hasłem: „Polityka wyzwolenia jako czynnik anty-wojenny”. W ramach tego tytułu zamykała się chęć zmieszczenia pod jednym dachem dążeń emigrantów politycznych (wyzwolenie faktyczne) i wiary amerykańskiej, że można to osiągnąć bez kataklizmu wojennego (wyzwolenie deklaracyjne). Trzecia komisja debatowała nad prądami społecznymi, religijnymi i narodowymi, na których proces wyzwolenia powinien się oprzeć. Mówiono więc o roli świata pracy i związków zawodowych (Arthur G. McDowel, członek związku zawodowego tapicerów z Philadelphii) o roli kościoła, zadaniach inicjatywy prywatnej i wreszcie o nacjonalizmach. Ten ostatni temat znalazł się w rękach doskonałego mówcy i człowieka, który nacjonalizmem żyje i oddycha: Lwa Dobriansky'ego, profesora uniwersytetu Georgetown w Waszyngtonie, Ukraińca, działacza Kongresu Ukraińskiego w Ameryce i jednej z głównych

sprężyn za kulisami całej imprezy tej konferencji. Wreszcie komisja czwarta zajmowała się emigrantami: jak widzą oni zarys, wykonanie, zadania i możliwości tego co nazwano polityką wyzwolenia. Skład tej komisji był najliczniejszy: przewodniczył sam Armstrong (jakkolwiek wydawało się, że temat to chyba najmniej ciekawy i najbardziej oderwany od rzeczywistości), a oprócz niego do komisji weszli przedstawiciele: austriacki, łotewski, litewski, rumuński, chiński, białoruski i turkiestański. I zaraz po wstępnych przemówieniach temperatura obrad skoczyła do punktu wrzenia.

Protestowali jedni: — Jak to, będziemy wyzwalać nasze cierpiące kraje, zanim tutaj z góry nie ustalimy jak te kraje będą po wyzwoleniu wyglądać? Jakie będą ich granice? Czyż nie lepiej najpierw wyzwolić, a potem dopiero — urządzać? — wołali inni.

Nie lepiej, po stokroć nie lepiej — wołały emigracyjne głosy. Taką samą zasadę forsowano w latach czterdziestych i tak samo mówiliście, że najpierw wyzwolenie, a potem planowanie. Po czym posłaliście do Moskwy Benesza, Mikołajczyka, wepchnęliście Jugosławię w orbitę sowiecką, pozwoliliście Wyszyńskiemu wygnać Michała rumuńskiego i tyle było z „wyzwolenia”. Już drugi raz nie damy się nabrać.

Oto w taki sposób obradowano nad polityką wolnościową. Aż w komisji pierwszej podniósł się profesor Wilmoore Kendall, wykładający nauki polityczne na uniwersytecie Yale, i oświadczył, że oto on, Amerykanin, przyjaciel wschodnio-Europejczyków, uczestnik konferencji jest przeciwny polityce wyzwolenia.

Zapanowała cisza. Ustały spory. Profesor Kendall jest Amerykaninem z krwi i kości, bez powiązań wschodnio-europejskich. Mówił spokojnie, mówił dlaczego jest przeciwnikiem polityki wyzwolenia: bo jest to polityka tchórzliwa, polityka chowania głowy w piasek, polityka niezręcznych taktyków, którzy dla gry dyplomatycznej, dla efektu na zewnątrz przemilczają prawdę. A prawda — zdaniem profesora — to niemożność osiągnięcia wolności bez wstrząsu wojny światowej.

Sluchacze emigracyjni zaskrzepli w bezruchu.

Profesor nie wierzy w ruchy podziemne. Profesor nie wierzy w wyzwolenie, które mogłoby przyjść od wewnątrz. Profesor śmieje się z teorii że nadejdzie dzień w którym świat obudzi się i dowie się z gazet i z rozentuzjasmowanego radia, że oto Związek Sowietów rozpadł się w kawałki i że kraje okupowane w braterskim zryw z narodem rosyjskim zrywają okowy niewoli. Profesor nie uznaje półśłówek i niedopowiedzeń emigracyjnych polityków. Profesor chce widzieć narodzenie się nowej partii, partii, która nazywać się będzie „Stronnictwem Wojny”. Której credo polityczne będzie walka o wyzwolenie od strachu, od zbrojeń, od psychozy niebezpieczeństwa. Nie znaczy to, że owe nowe stronnictwo gotowe będzie wysłać ultimatum do Rosji i rozpocząć jutro działania wojenne. Nie, wcale nie. Tylko winno być psychicznie gotowe do aktu zbrojnego, o ile Sowiety nadal będą

postępować w sposób dotychczasowy. O ile nadal będą paraliżować prace Narodów Zjednoczonych, działać podstępem i rozbić, o ile nadal będą się zbroić w tempie szybszym niż reszta świata, o ile będą zagrażać Zachodowi rozbudową swojej produkcji przemysłowej. Innymi słowy profesor wymaga od tych, którzy dzisiaj stanowią trzon tego co nazywa się obozem wolnościowym, aby byli odważni. Aby powiedzieli wszem wobec, że Stany Zjednoczone gotowe są rzucić na szalę wypadków swoją potęgę wojskową, swoją potęgę atomową o ile uznają, że tylko w ten sposób można zatrzymać pochód komunistycznej agresji wojskowej, politycznej, psychologicznej.

Ze środka sali, z głębi zamyślenia emigranckiego któremu nagle nie-emigrant, nie-partyzant, nie-polityk, nie-zawodowiec anty-komunistyczny, obnażył to wszystko co skrzętnie chowano w myślach, na dnie duszy, na samym końcu „zimnego”, „obiektywnego” rozumowania, padło nagle zatrważające pytanie:

— A co na to powiedzą Amerykanie?

Profesor utknął przenikliwe spojrzenie w twarzy pytającego. Amerykanie? powtórzył. Będą tak samo zadowoleni, tak samo chętni, tak samo spokojni i tak samo gotowi przyznać wam rację, jak wy jesteście gotowi przyznać mnie rację w tej chwili. Nic bowiem mocniej nie chwytą, nic mocniej nie przemawia do umysłów tłumu jak czyste, proste zagadnienie, jak idea która nie ukrywa swojej myśli przewodniej.

A wasza dzisiejsza polityka wyzwolenia — powiedział profesor, ukrywa właśnie prawdę. Zamiast wyjaśniać — gmatwa; zamiast przekonać — odstrasza. Bowiem cóż oznacza formułka „wyzwolenie drogą pokojową”? Po pierwsze oznacza polityczną naiwność. Bo skoro ta droga nie pośkutkuje, to wtedy co? Albo *status quo*, albo wojna. Wojny niedopowiedzianej, wojny o wolność nieznanym ludom, wojny tylko i wyłącznie o zasady, Amerykanin się boi i nie chce. Trzeba go przekonać, że musi się dzisiaj, zaraz, bić o własną wolność.

— Dlatego, zakończył profesor, powinna powstać w Ameryce partia wojny — „War Party”.

Zaskoczono i przestraszone twarze emigrantów rozjaśniły się szerokim uśmiechem, kiedy profesor Kendall oświadczył, że książka nad którą w tej chwili pracuje nazywać się będzie „Spowiedź amerykańskiego burżuazji i reakcjonisty”. Właśnie w tej „spowiedzi” ma on zamiar swój plan i swoje myśli w pełni wyłożyć.

I z tym uśmiechem grono uczestników konferencji przeniosło się na plenum zebrania.

Na plenum dyskutowano konkretny plan wprowadzenia w życie, rozpoczęcia akcji wyzwoleniczej — w Ameryce i na Zachodzie.

Myśl, pomysł, zasada w niczym nie była nowa. Nowe było sformułowanie. Pewnym elementem nowości było także to, że plan spotkał się z ogólną, prawie jednolitą aprobatą.

Cechą charakterystyczną tego planu było nie branie w rachubę w stopniu nawet najmniejszym ruchów podziemnych. Cechą drugą było żądanie skierowane pod adresem Zachodu, aby przygotowano atmosferę, w której polityka wyzwolenia może dojrzeć. Nie wystarczy bowiem komunikat prasowy z konferencji na Bermudach, w której jeden paragraf poświęcony zostaje owej polityce. Nie wystarczy o niej mówić, nie wystarczy stawianie sobie celów tak długo, jak długo nie ma mocnej podstawy do egzekwowania planów działania. Cały proces wyzwoleniczy musi się oprzeć na dwóch szczeblach — zewnętrznym i wewnętrznym. Ten pierwszy jest dzisiaj elementem zasadniczym. Od zewnątrz musi przyjść uznanie „status quo” za stan przejściowy. A tak długo, jak na forum Narodów Zjednoczonych (Robert Schuman) i parlamentów zachodnich (Winston Churchill) padać będą propozycje nowego Locarna, jak długo dyskutować się będzie o możliwości współżycia poświęcając ofiary, które Sowiety trzymają w zębach, tak długo Polacy w Polsce, Rumuni w Rumunii i wszyscy inni — nie uwierzą w szczerą intencję wyzwoleniową.

Wprowadzanie w życie polityki wyzwolenia, w planie omawianym w Waszyngtonie wyglądało prosto. Przede wszystkim stworzenie oddziałów wojskowych, symbolicznych jednostek złożonych z grup narodowościowych uchodźców zza żelaznej kurtyny. Jednostki te włączone byłyby do NATO i podlegałyby międzynarodowemu dowództwu.

Armia uchodźcza, bez względu na swoje wartości bojowe, byłaby wydarzeniem politycznym dużej wagi. Jej stworzenie mogłoby — kto wie — zmienić nastawienie francuskie do armii europejskiej. Uchodźcy nie wystawią dwunastu dywizji, aby „przeciwwstawić się” Niemcom, ale mogą wystawić takich dywizji sześć bez większych trudności. Kompanie wartownicze, o których dzisiaj marzy każdy chłopak-uchodźca, mogą się zaopatrzyć w inny typ rekruta. Zamiast tego, powstałyby szeregi polskie, czechosłowackie, węgierskie — stwarzając poważny element siły (politycznie) dając podstawy realnego istnienia działaczom emigracyjnym i zmieniając obraz przyszłej armii europejskiej.

Być może, że projekt ten jest za śmiały, za mało realny. W NATO bowiem głos ma nie tylko Ameryka, ale także i Anglia i Francja. Czy państwa te zgodzą się na taki zryw, na taką śmiałą rękawicę rzuconą Rosji? Na tworzenie zaczątków armii narodowych krajów, do których dzisiaj Sowiety roszczą sobie pełne pretensje?

Należy wątpić, aby tego rodzaju śmiałość polityczną można było wykrzesać z polityków francuskich. Tym niemniej postawienie zagadnienia w ramach NATO jest chyba jedyną formą, jedyną podstawą na której można będzie rozpocząć na ten temat rozmowy. Natomiast w chwili kiedy takie negocjacje wejdą w sferę realną można będzie — w razie konieczności znaleźć jakiś kompromis organizacyjno-nomenklaturowy. Powstać mogłyby np. Brygady Międzynarodowe mające w swoich szeregach element uchodźczy, Brygady podzielone na narodowe oddziały,

ale pozostające pod wspólnym wschodnio-europejskim sztandarem. Byłoby to miniaturowe NATO, od swego potężnego patrona formalnie niezależne. Decyzja użycia oddziałów tych brygad międzynarodowych musiałaby leżeć w rękach reprezentacji politycznej krajów okupowanych. O tym piszę poniżej. Decyzja taka, rzecz jasna, musiałaby być uzgodniona z dowództwem wojsk sprzymierzonych. Być może, że brygady te używane byłyby na peryferiach naszych bezpośrednich zainteresowań. Być może, że narażone byłyby nawet na jakieś San Domingo — czemu przeszkodzić by właśnie musiała reprezentacja polityczna. Ale istnienie takich brygad, wytrącenie z ręki propagandy sowieckiej argumentu, że tylko oni dysponują „wolnymi” siłami polskimi, czeskimi i innymi, atut polityczny jaki by się uzyskało, byłoby czymś znacznie przerastającym ujemne strony takiej imprezy. Przy tym brygady te skanalizowałyby element uchodźczy, idący na służbę obcą — ochotników na Korei, Indochin i innych wojen. Uchodźcy idą tam w pojedynkę, znikają, giną i nikt nie wie o tym, że współudział środkowo-europejczyków jest nadal znaczący na wszystkich frontach świata.

Prócz tego armia uchodźcza to magnes dla takich Jareckich i Jaźwińskich. To cel marzeń i snów tysięcy młodzieży w krajach okupowanych. To cel, prosty, jasny i jakże bliski dla uciekającego przez granice.

W tym miejscu wchodzi drugi człon planu, członek czysto polityczny. Obok bowiem oddziałów wojskowych, winna na szczeblu doradczym powstać Rada Wschodnio-Europejska. Rada ta, złożona z wybitnych emigrantów, dobranych według zasług personalnych, a nie przynależności politycznych, winna być ciałem doradczym przy NATO, przy Radzie Europejskiej i wszelkich innych organizacjach międzynarodowych do których nie wchodzi Rosja.

Rada taka spełniać by musiała zadanie alianta wschodnio-europejskiego, czyli postawić się w roli, do jakiej pretendują narody okupowane. Sprzymierzeniec ów — wschodnia Europa — winien być wprzagniety w ramy strategii obronnej i odgrywać rolę proporcjonalną do możliwości emigracyjnych. Należy bowiem pamiętać, że emigracja — jako całość — reprezentuje pokazy szmat świata, dzisiaj uprzemysłowionego i przywiązanego do ideałów, których bronią demokracje zachodnie. Sprzymierzeniec ów winien także być włączony w ramy ofensywy politycznej — o ile taka przyjdzie.

Dzisiaj takiego sprzymierzenia nie ma. Jest tylko wschodnio-europejski nieprzyjaciel. Brakuje partnera, który by — choćby symbolicznie — reprezentował ludy w niewoli. Są wprawdzie komitety i rady, są związki i stowarzyszenia, są chłopcy i socjaliści, są ruchy narodowe i federacje międzynarodowe, ale gros czasu, energii i wysiłków tych ciał pochłaniają spory wewnętrzne. Partnera do rozmów, do negocjacji nie ma. Jak taka Rada powinna wyglądać?

Winna być rzeczywistą reprezentacją polityczną emigracji. Jak to osiągnąć? Można iść drogą głosowania powszechnego, co zalecają pewne koła, ale to zadanie niezmiernie trudne i chyba w praktyce niewykonalne. Można oprzeć się na wyborze takiego ciała przez istniejące ugrupowania polityczne, dając ultimatum w postaci terminu wyboru a przez to zredukowanie szans na kłótnie personalne. Można wreszcie zarzucić i pierwszy i drugi projekt i ściągnąć ludzi należących dzisiaj do różnych organizacji międzynarodowych — Radę Europejską, Wolne Związki Zawodowe itp. aby oni stanowili trzon reprezentacji i z kolei dobrali sobie współtowarzyszy. Wszystkie te metody są półśrodkami, ale jaka pozostaje alternatywa? Partie polityczne? Jeżeli partie to — jakie? Czy te emigracyjne, czy te których szczątki pozostały w Kraju? Czy może nowe grupy powstałe już po wojnie? Każda z nich twierdzi, że reprezentuje kraj, ale nikt tego nie jest w stanie udowodnić. Niechaj więc przynajmniej będzie prawdziwa reprezentacja emigracji, wyłoniona drogą bezpośrednich wyborów.

Bowiem musimy sobie po raz setny zadać pytanie: kogo emigracja reprezentują w Kraju? Chłopów? Robotników? Inteligentów, którzy gromadnie służą komunistom? Młodzież? Myślę, że nie. Raczej jestem skłonny zgodzić się z tymi, którzy powiadają, że emigracja jako całość reprezentuje swój kraj ojczysty jako całość. Taką wersję przywiózł — jeżeli chodzi o Polskę — najpierw Jarecki, młody chłopak, lotnik, bez żadnego politycznego przygotowania. Przytaknął mu jego kolega Jaźwiński. Po paru miesiącach identyczną wersję wyniósł ze sobą na Zachód Marek Korowicz, profesor uniwersytetu, inteligent, idealista i marzyciel, który sam do tej emigracji w którą wierzył jako w jedność, przygarnął się pierwszej nocy swojej ucieczki. Do tej trójki dołączył Hajdukiewicz, który wolność wybrał w dalekiej Korei.

Czy można głosy te — bagatelizować? Czy można, planując wyzwolenie, planując przyszłość w imieniu, dla i za własne narody, odsunąć te opinie precz i przejść nad nimi do porządku? Wracam do spraw polskich, jako mi najbliższych: „Jarecki, powiedział jeden polityk emigracyjny, to prymityw”. „Jaźwiński, zgodził się drugi, to dzieciak”. Korowicz — powierchowny. Hajdukiewicz — niedojrzały. I emigranci nadal obradują, nadal plawią się we własnym sosie zagadnień, spraw, problemów, które dla nikogo, oprócz nich samych, nie przedstawiają żadnej wartości. I razem z tymi debatami na falach długich kłótni i zawitych przemówień splota niespostrzeżenie polityka wyzwolenia, owe przysłowiowe dziecko, które wylewa się razem z kąpielą.

Rada Wschodnio-Europejska, czynnik powagi i czynnik niezależnej, związanej z Zachodem polityki zagranicznej w połączeniu z oddziałami wojskowymi jednostek narodowo-emigracyjnych to są warunki atmosfery jaka musi być stworzona po to, aby zarówno nasi sojusznicy — Amerykanie i inni — jak i nasi rodacy w krajach okupowanych, uwierzyli, że poza polityką wy-

zwolenia kryje się coś konkretnego. Że to są nie tylko słowa, ale, że istnieje także i treść.

Dopiero wtedy będzie można pomyśleć o rozszerzeniu tych dwóch punktów na punkt trzeci i o połączeniu liniami, które staną się trójkątem. Tym punktem trzecim są drżące dzisiaj siły oporu w narodach podbitych.

Gdyż wbrew twierdzeniom rosyjskich NTS-owców wszelkie akty sabotażu, akty walki podziemnej, wszelkie bandy i nieorganizowane wybuchy, to woda na młyn sowieckiej polityki w państwach satelickich. To pretekst do aresztowań, likwidacji, deportacji, to jeszcze jeden argument dla ministerstwa bezpieczeństwa aby podwyższać budżet i rozszerzać sieć agentów. Zryw — w rodzaju berlińskiego w czerwcu ubiegłego roku — to akty wielkiej odwagi i wielkiej rozpacz, wielkiej wiary i wielkiej lekkomyślności. Kiedy Berlińczycy zaczęli palić czerwone flagi podniosły się w całym niewolniczym imperium głowy — w wielkiej nadziei. Tylko, że Berlińczyków ujarzmiły sowieckie czołgi szybko i skutecznie, podczas kiedy na pomoc manifestantom z Zachodu przyjechały baterie aparatów telewizyjnych i filmowych. Głowy opadły. Łuna berlińska zgasała. Opór krajów okupowanych osłabił. Bo niby po co i niby jak — zapytywano powszechnie? Przecież do nas — nawet nie dojechałyby aparaty telewizyjne. Za daleko...

A zatem raz jeszcze to samo — wyzwolenie musi przyjść z zewnątrz. Posuwać się ono musi powoli, skutecznie, iść od jednego przystanku do drugiego zostawiając za sobą balast emigracyjnych, nieuleczalnych i nieuniknionych chorób. Tymi pierwszymi dwoma przystankami może być — o ile plan zarysowany w Waszyngtonie kiedykolwiek wejdzie w życie — wojskowy i polityczny współudział w NATO.

Uczestnicy konferencji waszyngtońskiej rozjechali się z poczuciem zadowolenia — uchwalwszy normalny i z góry przewidziany tom rezolucji.

Zadowolenie tej gromady ludzkiej wynikało przede wszystkim z poczucia, że poprzez takie konferencje, takie zebrania krzepnie Obóz Wolnościowy. Poprzez takie zebrania ukazują się szersze perspektywy, na chwilę rozchylają się mury emigranckiego ghett. Poprzez takie zebrania wreszcie polityka wyzwolenia, rekwizyt jeszcze bardzo z grubsza ciosany, bardzo trudny w opierowaniu i czasami bardzo niewygodny, wychodzi na szpalty amerykańskich pism, dochodzi do świadomości kongresmanów.

Zygmunt NAGÓRSKI, jr.

Kronika angielska

POLITYKA „WIELKIEJ CZWÓRKI”

O wyborach mówi się na emigracji dokładnie od czterech lat. Projekt dekretu o ordynacji wyborczej noszący datę 10 maja 1950 roku przewidywał w art. 1., że połowa ustawowego składu Rady Narodowej obejmować będzie radnych pochodzących z wyborów. Ale w gruncie rzeczy koalicja rządowa uważała, że jest wygodniej dysponować funduszami Skarbu Narodowego w oparciu o Radę Narodową wywodzącą się z nominacji. Ponieważ partie opozycji, zrzeszone w Radzie Politycznej, odnosiły się niechętnie do koncepcji wyborów — rząd nie realizował powziętych obietnic wyborczych, wysuwając argument, że wybory utrudniłyby ewentualne porozumienie z opozycją.

Obecnie stało się jasne, że rząd nie kierował się troską o dojście do porozumienia z opozycją i z nagle rozbudzoną i zdwojoną energią przystąpił do planów wyborów dopiero wówczas gdy wykalkulowano, że wybory nadają się doskonale do stordedowania akcji zjednoczeniowej.

Kiedy pierwsza i druga misje mediacyjne (obie w przeciwieństwie do misji generała Sosnkowskiego prowadzone w ścisłej tajemnicy) zakończyły się fiaskiem, rząd winien był zdać sobie sprawę, że koncepcji politycznej, wypracowanej przez opozycję, trzeba przeciwstawić własną koncepcję. „Kultura” od początku powstania Skarbu Narodowego reprezentowała pogląd, że Skarb i wybory są związane ze sobą funkcjonalnie. Najelementarniej pojęte zasady demokracji wymagają bowiem aby płatnicy na Skarb Narodowy zapewniony mieli wpływ i kontrolę w odniesieniu do poczynąń rządu finansowanych z ich kieszeni.

Od zakończenia misji generała Kukiela minęło w listopadzie ubiegłego roku dwa lata. Było dość czasu na zorganizowanie wyborów. W kołach rządowych uważano jednak, że nie potrzeba ani wyborów, ani koncepcji, ani polityki ponieważ legalizm jest magiczną formułą, która zastępuje wszystko.

Na podjęcie akcji wyborczej zdecydowano się dopiero teraz w nadziei, że na tej drodze powiedzie się stworzyć fakty dokonane, które obrócą w niwecz wysiłki generała Sosnkowskiego.

Członkowie tak obecnego jak i poprzedniego rządu nigdy nie interesowali się opinią i nastrojami społeczeństwa emigracyjnego. Gdyby pp. Rusinek i Hryniewski realnie oceniali sytuację, do przesilenia rządowego nigdy by nie doszło. Hasło wyborów było niewątpliwie bardzo popularne i w moim przekonaniu — wybory przeprowadzone dwa lata temu mogły całkowicie zmienić równowagę sił politycznych na emigracji i niezmiennie wzmocnić pozycję rządu. Lecz w grudniu, ubiegłego roku, kiedy nastąpiło „wyborcze” przesilenie rządowe — uwaga i zainteresowanie szerokich kół emigracyjnych skupione były całkowicie na osobie generała Sosnkowskiego i jego planie zjednoczenia a nie na wyborach. Rząd nawet przez legalistów oceniany był jako przejściowy, który automatycznie ustąpi w chwili podpisania aktu zjednoczenia. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że znakomita większość Polaków na emigracji pragnie w pierwszym rządzie zjednoczenia. Nikt natomiast nie chce takich wyborów, które mają być kłódą celowo i rozmyślnie rzuconą pod nogi generała Sosnkowskiego. Tylko ludzie przebywający na księżycu

mogliby pod tym względem mieć jakiekolwiek wątpliwości. Wybory tak — ale nie za cenę utracenia misji zjednoczeniowej — to jest opinia szerokich kół społeczeństwa emigracyjnego.

Niemniej nasza „wielka czwórka” (pp. Kuncewicz, Modrzewski, Prągier, St. Mackiewicz) oceniała sytuację inaczej. W drugiej połowie listopada ubiegłego roku Rada Narodowa powzięła szereg uchwał, które w wielu punktach były całkowicie sprzeczne z układem przyjętym za podstawę przyszłego porozumienia politycznego. W oświadczeniu złożonym londyńskiemu „Dziennikowi Polskiemu” (z dnia 27. 1. 1954) generał Sosnkowski podkreślił z naciskiem, że „uchwalony projekt o zmianie dekretu powołującego Radę Narodową — oraz projekt ustawy o ordynacji wyborczej — są zupełnie sprzeczne z punktem 8 akceptowanego układu zjednoczenia”.

Sytuacja została w pewnej mierze uratowana przez Ligę Niepodległości na której wniosek powzięto dodatkową uchwałę iż „rząd ułatwi zakończenie rozmów zjednoczeniowych — nawet gdyby to wymagało zmian ustawodawstwa o sposobie powoływania Rady”.

Według słów gen. Sosnkowskiego — gdyby nie powyższa inicjatywa Ligi Niepodległości nie mógłby on prowadzić dalej swojej akcji zjednoczeniowej.

Grudniowe przesilenie rządowe, którego autorzy są ministrami w obecnym rządzie — zostało przez gen. Sosnkowskiego napiętnowane publicznie jako gorszące i świadomie wywołane.

Na tym tle specjalnej wymowy nabiera dekret Prezydenta z dnia 25 stycznia br., który odracza powołanie Rady Rzeczypospolitej o dni 30 czyli do 30 kwietnia. Dekret przedłuża również „okres przewidziany dla zgłoszenia przez stronnictwa i ugrupowania polityczne gotowości do wzięcia udziału w Radzie Rzeczypospolitej do dnia 14 lutego br.

Nie mogą przynajmniej słuszności tym komentatorom politycznym, którzy w ogłoszeniu powyższego dekretu dopatrują się gestu ustępliwości Prezydenta i rządu w stosunku do generała Sosnkowskiego. Faktem jest bowiem, że generał Sosnkowski ów dekret o ordynacji wyborczej określił jako sprzeczny z aktem zjednoczenia. Warto również podkreślić, że gen. Sosnkowski mówi stale o Radzie Jedności Narodowej natomiast dekret Prezydenta i oświadczenie rządu mówią uparcie o Radzie Rzeczypospolitej, tak jakby projekt aktu zjednoczenia już dawno był pogrzebany.

Powyższy dekret z jednej strony ma charakter ultimatum, z drugiej strony wzmacnia niepomiarne stanowisko „grudniowych rokoszan”. Dekret wyznacza generałowi Sosnkowskiemu termin do ukończenia jego misji. Jeżeli do 30 kwietnia Generałowi nie powiedzie się pogodzić p. Kuncewicz z p. Korbońskim — Rada Rzeczypospolitej zostanie powołana, wybory rozpisane i z wyjątkiem nowej nazwy wszystko pozostanie po dawnemu. W sumie wystarczy by „wielka czwórka” wytrwała w swej obecnej bezkompromisowej postawie do 30 kwietnia. Ponieważ „wielka czwórka” od samego początku odnosi się do misji gen. Sosnkowskiego negatywnie, przyjdzie zapewne tym panom bez trudu trwać w swej niezłomności jeszcze przez następne dwa miesiące. W ten sposób dekret Prezydenta z 25 stycznia br. chroni tę grupę, która wywołała przesilenie i zapewnia jej utrzymanie nadal kluczowej pozycji w koalicji rządowej, pod warunkiem, że do zjednoczenia nie dojdzie.

Jest rzeczą oczywistą ponad wszelką wątpliwość, że Rada Polityczna nie weźmie udziału w Radzie Rzeczypospolitej.

Plan zjednoczeniowy gen. Sosnkowskiego jest pierwszą na emigracji formułą kompromisową, która zarówno obejmuje stronnictwa polityczne jak i nie przekreśla idei wyborów. Gdyby plan ten został zrealizowany powstałaby — zamiast dwóch konkurencyjnych rad — jedna Rada Jedności Narodowej w której reprezentowane byłyby wszystkie główne partie poli-

tyczne na emigracji. I dlatego myśl przewodnia gen. Sosnkowskiego : najpierw zjednoczenie polityczne a później sprawa wyborów — jest stuprocentowo słuszna.

W chwili gdy piszę te słowa (pierwsza dekada lutego) wszczęte zostały rozmowy pomiędzy przedstawicielami obu Rad. Pozostały do uzgodnienia dwa punkty : tak zwana sprawa jałtańczyków i sprawa składu Rady Jedności Narodowej.

Najwięcej pola do demagogicznych popisów dawał ów słynny punkt 5 Aktu Zjednoczenia. W gruncie rzeczy nikt nie jest ani za Jaltą, ani za jałtańczykami. Jeżeli do zjednoczenia nie dojdzie to tylko dlatego, że przeciwnicy Jalty i jałtańczyków spod znaku Rady Politycznej nie zdołają porozumieć się z przeciwnikami Jalty i jałtańczyków spod znaku Rady Narodowej w sprawie sformułowania punktu, który by potępił Jaltę i jałtańczyków... Jedni chcą się odciać — drudzy chcą potępić i wykluczyć. Byłoby nie tylko paradoksem ale przykładem wprost niewiarygodnej niedojrzałości politycznej, gdyby anty-jałtańczycy z Rady Politycznej i Rady Narodowej mieli zbурzyć dzieło gen. Sosnkowskiego z powodu Jalty, którą zgodnie potępiają.

Jeżeli misja zjednoczeniowa gen. Sosnkowskiego skończyłaby się fiaszem — Prezydent powołałby Radę Rzeczypospolitą a rząd przystąpiłby do zorganizowania wyborów. Obawiać się należy, że tego rodzaju fakty dokonane przekreśliłyby raz na zawsze możliwość porozumienia z opozycją. Albowiem koncepcja „państwa na emigracji” opartego o „sejm” emigracyjny różni się fundamentalnie od koncepcji Rady Jedności Narodowej zarówno w interpretacji Rady Politycznej jak i Aktu Zjednoczenia gen. Sosnkowskiego. Plan zjednoczeniowy w sposób kompromisowy jednoczy owe dwie koncepcje nie odrzuca bowiem idei wyborów na emigracji. Punkt 8 Aktu Zjednoczenia przewiduje bowiem przedłożenie przez rząd przyszłej Radzie Jedności Narodowej projektu ustawy o wprowadzeniu do Rady osób powołanych w drodze wyborów.

Polityka emigracyjna uęgotycznia się coraz bardziej. Znajomość tego przedmiotu staje się coraz rzadszą i niepopłatną specjalnością. Spośród 140 tysięcy Polaków przebywających na wyspach brytyjskich wątpię czy znalazłoby się stu, którzy umieliby wymienić nazwiska ministrów polskiego rządu w Londynie. Ten stan rzeczy odzwierciedla się w prasie. Polityką emigracyjną zajmują się niemal wyłącznie pisma partyjne, które mają minimalne nakłady i minimalny zasięg. Londyński „Dziennik Polski”, który jest redagowany w oparciu o bardzo realistyczną ocenę rynku czytelniczego — polityce emigracyjnej poświęca znikomą ilość miejsca. Sądzę, że artykuły wstępne poświęcone polskiej polityce emigracyjnej nie stanowią nawet 1 procentu ogółu artykułów wstępnych ogłaszanych na łamach tego pisma. Społeczeństwo emigracyjne w tym splocie spraw i personalii nie orientuje się. W pewnej mierze to są objawy naturalne. Z drugiej jednak strony fakt ten utrudnia, a właściwie uniemożliwia aktywną mobilizację opinii społecznej. Wszyscy są za zjednoczeniem ale ci „wszyscy” nie mają nic do powiedzenia i wskutek tego nad opinią „wszystkich” można spokojnie przejść do porządku dziennego.

Gdyby dziesiątki tysięcy płatników na Skarb Narodowy miało wolę i możliwość wywarcia nacisku na rząd i pro-rządową „wielką czwórkę” w kierunku zjednoczenia — ryzyko spadku wpływów do kas Skarbu zmogłoby wydatnie nastroje ugodowe. Bo wprawdzie rząd zawsze podkreśla, że Skarb Narodowy jest nie tylko dla tego rządu ale dla każdego przyszłego legalnego rządu — tak się jednak składa, że w tym każdym innym przysz-

łym rządzie zasiadają ci sami panowie. Jeżeli chodzi o organizację Skarbu Narodowego panowie ci położyli niewątpliwie wielkie zasługi. Ale ich dziwna niechęć podzielenia się z kimkolwiek wpływem na tę instytucję — jest również niewątpliwa.

MONTE CARLO

Dostaliśmy kilka listów od czytelników krytykujących inicjatywę F. E., która w bieżącym roku wystawiła własną ekipę na raid do Monte Carlo. W składzie załogi samochodu radiostacji F. E. znalazł się redaktor Trojanowski, którego osobiście uważam za asa polskich reporterów radiowych.

W pierwszej chwili reakcja naszych czytelników wydała mi się przesadna a argumenty nie przekonywające. Po namyśle doszedłem jednak do wniosku, że ci którzy trwają „z uchem przy Kraju” mają rację.

Dzięki Mniszchówniej, „Dziejom Grzechu” i całej gamie pośledniejszych powieści — Monte Carlo było i jest w Polsce symbolem burżuazyjnego dekadentyzmu — symbolem minionego świata arcyksiążąt, między-narodowych kokot i błękitno-krwistych utracjuszków. W jakim celu polska ekipa radiostacji F. E. brała udział w tym zjeździe? Oczywiście by nagrać reportaż i nadać go w ramach audycji przeznaczonych dla Kraju.

Nie wydaje się by słuchacz w Polsce był szczególnie nastrojony do słuchania *...story of Monte Carlo*. Tu nie chodzi o płaczliwe żałobnictwo ale o wyczucie nastroju. W momencie wzmożonej walki z Kościołem, w chwili gdy życiodajne paczki z zagranicy obłożono drakońskimi cłami, w chwili gdy w samej Warszawie zapada na grype tysiąc ludzi dziennie a półki w aptekach świecą pustkami — opowiadanie ludziom o zjeździe samochodowym do Monte Carlo nie wydaje się ani celowe ani taktowne. Jeżeli ktoś, po lichej kolacji w źle ogrzonym mieszkaniu, po dniu który przysporzył więcej trosk i obaw niż radości, otworzy radio i posłucha reportażu z raidu do Monte Carlo to może nie obroni się przed gorzką refleksją że jednak... jest niezmiernie daleko z Warszawy do Monachium. Znacznie dalej niżby to wykazywała mapa.

LONDYŃCZYK

Adres londyńskiego biura Redakcji „Kultury” jest następujący:

Juliusz Mieroszewski,

11, Gainsborough Road,

London, W.4., Tel.: CH15wick 1860

Sprawy i Troski

Robotnik polski w Anglii

Przedewszystkim pragnę uprzedzić, że są to raczej moje wrażenia niż rezultaty systematycznych badań, których nad tym tematem nie prowadziłem. Przez siedem ostatnich lat przeprowadzałem studia społeczne nad robotnikiem brytyjskim w różnych działach pracy, życia jego i wywczasów. Rezultaty tych badań ukazały się w pięciu studiach (1). W toku tych prac stykałem się bardzo często z robotnikami polskimi. Gdy na przykład przeprowadzałem badania w górnictwie węglowym, często rozmawiałem z górnikami polskimi bądź na „kulfasie”, jak oni to nazywali (coalface) albo w *trainingu*. Gdy przeprowadzałem badania w przemyśle bawełnianym, zetknąłem się z pracującymi tam Polakami, głównie z tak zwanymi „wolontariuszami europejskimi”, itd. I muszę tu stwierdzić, że kontakty z robotnikami polskimi były dla mnie nie tylko miłe i odświeżające, gdy byłem w otoczeniu czysto brytyjskim na moich rozjazdach, ale zawsze dawały mi dużo informacji i wiadomości dotyczących mojego właściwego przedmiotu badań. Oni byli naturalnymi, codziennymi obserwatorami, łaknącymi jak najwięcej wiadomości o życiu i pracy swoich towarzyszy w fabrykach czy kopalniach, a więc mogli uzupełnić moje własne obserwacje od wewnątrz, ze źródła swoich własnych doświadczeń. Co prawda doświadczenia te były często zabarwione osobistymi przeżyciami, a często przesadami i uprzedzeniami, ale zawsze były one wartościowe, bo z pierwszej ręki.

Często z robotnikami polskimi kontaktowali mnie dyrektorzy fabryki. *You are a Pole, aren't you? Perhaps you would like to see your countrymen? We have here a man whose name ends on „ski”, an unpronounceable name.* Czasem okazało się, że to był Ukrainiec albo Czech, ale często był to rzeczywiście Polak.

(1) 1. *Labour, Life and Poverty*, Gollancz 1948; 2. *Men in the Pits*; 3. *Productivity and Trade Unions*, Blackwell 1951; 4. *Women's Life and Labour*, Gollancz 1952; 5. *The British Worker*, Penguin 1952.

Muszę tu stwierdzić, że ilekroć dyrektor przedstawił mnie robotnikowi polskiemu, zawsze ten odnosił się do mnie z pewną nieufnością i podejrzliwością. Co ja tu robię, po co tu przychodzę. Czy przypadkiem nie mam zamiaru czegoś wyspiegować. Twierdzenia, że prowadzę badania nad robotnikiem brytyjskim, że piszę książki o robotnikach angielskich dla Anglików, wydawały się im zbyt fantastyczne, żeby zasługiwały na wiarę. Dlatego nie bardzo zależało mi na wprowadzaniu przez dyrektorów. Najlepsze stosunki miałem z tymi robotnikami, z którymi stykałem się przypadkowo, i kiedy traktowali mnie jako jednego ze swoich, może szukającego pracy.

Muszę tu pochwalić się, że w tłumie bardzo często potrafiłem rozróżnić robotnika polskiego od innych, a właściwie sam dotychczas nie wiem po czym. Są to elementy nieuchwytne, imponderabilia, które wielokrotnie chciałem rozbić na jakieś konkretne i bardziej uchwytnie pierwiastki, jak wyraz twarzy, typ fizyczny, gestykulacja, sposób mówienia itd. Ale nigdy mi się to nie udało, co dla obserwatora społecznego, za jakiego uchodziłem, było raczej przygnębiające.

Na ogół biorąc, z moich rozmów z robotnikami polskimi odnosiłem wrażenie, że są oni nie tylko w stosunku do obcych, ale także w stosunku do swoich, daleko więcej podejrzliwi niż robotnicy angielscy. Jest to zresztą zrozumiałe i tłumaczy się doświadczeniami przeszłości. Przedsiębiorcy, a także sekretarze związków zawodowych, twierdzili, że częste są podejrzenia o szpiegostwo, które Polacy rzucają jeden na drugiego.

A teraz zanim przejdę do charakterystyki sytuacji i typu robotnika polskiego, chciałbym podać parę cyfr ogólnych, dotyczących liczby i rozmieszczenia robotników polskich na terenie Wielkiej Brytanii. Właściwie śmiało można mówić zamiast o robotnikach polskich w Wielkiej Brytanii, o Polakach w Wielkiej Brytanii, bo poza robotnikami, innych kategorii jest stosunkowo niewiele. Techników i inżynierów, pracujących głównie jako rysownicy, jest około 1.000. Bardzo niewiele inteligencji utrzymuje się z pracy pośród Polonii, także niewielu ulokowało się w wolnych zawodach i biurach angielskich. Samodzielnych, w własnych sklepach i warsztatach, jest około tysiąca, z tego w samym Londynie jest około 400 polskich warsztatów, poza sklepami lotnymi i poza domkami będącymi głównym źródłem utrzymania. Spora liczba ludzi starych lub niezdolnych do pracy jest na utrzymaniu Assistance Board. W ogóle rejestrowanych inwalidów jest około 8.000, w tym około 5.200 ma rentę ze Skarbu Brytyjskiego, z tej liczby około 3.000 jest w stu procentach niezdolnych do pracy.

Ale stosunkowo wszystkie te powyżej wymienione kategorie nie stanowią wielkich liczb. Emigracja w 80-90 % zarabia na życie pracą fizyczną.

Statystyki oficjalnej robotników polskich nie ma, są tylko szacunki. Szacunki polskie podają cyfrę robotników polskich na z górą 90.000, szacunki brytyjskie na 80.000. Najbardziej kon-

kretnie są cyfry ogłoszone przez Brytyjskie Ministerstwo Pracy o rozmieszczeniu członków Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia (Polish Resettlement Corps) za rok 1947 i 1948. W tych latach rozmieszczonych zostało 78.000 ludzi w różnych przemysłach, z tego najwięcej w budownictwie (11.754), w rolnictwie i leśnictwie (8.028), w górnictwie węglowym (7.261), w przemyśle tekstylnym (około 4.000), w cegielniach i przemyśle mineralnym (około 2.585), w hotelach i restauracjach (3.100), itd. W roku 1949 pozostało jeszcze z P.K.P.R. około 14.000 osób, w tym przeważnie oficerowie i inteligenci, oraz ludzie niezdolni do pracy, to jest ci, których Anglicy nazywali *hard core* (twardy rdzeń).

Pomiędzy nimi, jak Anglicy twierdzą, byli także tacy, którzy nie chcieli się deklasować, to jest chcieli przyjąć tylko pracę odpowiadającą ich kwalifikacji lub godności, oczywiście, dopóki bieda nie zmusiła ich do przystosowania się do zmienionych warunków. Część z nich następnie została również wchłonięta przez przemysł brytyjski, ale nie mamy cyfr szczegółowych co do ich rozmieszczenia.

A więc z P.K.P.R. rozmieszczono ogółem po przemysłach brytyjskich od 80-90.000 ludzi. Dodam, że był to przeważnie element wiejski i to głównie z Kresów Wschodnich. Oczywiście, była także pewna liczba Polaków poza Korpusem, głównie ex-urzędnicy Rządu Polskiego w Londynie i inne pomniejsze grupy.

Potem przyszła druga fala wychodźstwa polskiego, a mianowicie tak zwani wolontariusze europejscy, rekrutowani przeważnie spośród DiPisów w obozach poniemieckich, którzy przybyli do pracy głównie w kopalniach, włókiennictwie itd., w roku 1948, częściowo w 1949 roku. Ogółem z górą 20.000 ludzi, z czego 1/4 stanowiły kobiety. Był to element bardzo mieszany, przeważnie miejski.

Trzecia fala przybyła z wiosną 1950 roku z Libanu i Afryki, głównie z Ugandy, Keni, Tanganyiki, Południowej i Północnej Rodezji. Byli to ci, których rząd brytyjski, na podstawie umów z odnośnymi lokalnymi rządami, zobowiązał się ewakuować po wojnie. Grupa ta liczyła około 2.000 ludzi, w większości kobiety (dużo wdów) z dziećmi.

Od tego jednakże odliczyć należy emigrację Polaków z Wielkiej Brytanii, która jest i była dość poważna. Ministry of Labour w swoim roczniku za rok 1952 podaje, że łączna subsydiowana emigracja Polaków (za opłaconym przejazdem) wyniosła około 14.000 ludzi, z czego do Stanów Zjednoczonych 7.528, do Kanady 3.042, do Argentyny 1.915, do Australii 307, itd. Emigracja indywidualna i emigracja za dwa ostatnie lata była również znaczna; w roku 1950-1951 z przyznanej kwoty 18.000 wyemigrowało do Stanów Zjednoczonych około 11.000 Polaków, byłych kombatantów. Szacunkowo opuściło ogółem Wielką Brytanię co najmniej około 25.000 Polaków. Muszę tu stwierdzić, że co drugi robotnik polski, z którym rozmawiałem, mówił mi o swoich planach emigracji zamorskiej.

W ten sposób licząc nabytki i ubytki wychodźstwa polskiego w Wielkiej Brytanii, doszlibyśmy do początkowej liczby 80-90.000 robotników, która została rozmieszczona przez P.K.P.R. Cyfra 80-90.000 zatrudnionych jest bardzo wysoka w stosunku do całości Polonii, którą oblicza się na 130.000 do 135.000 osób. Przypisać to należy temu, że liczba dzieci polskich jest bardzo mała, a także liczba kobiet wynosi szacunkowo tylko około 25 procent całości Polonii, co samo przez się stanowi wielki problem społeczny i psychologiczny dla uchodźstwa polskiego. (W P.K. P.R. było około 8.000 kobiet, około 8-9.000 przybyło w dwóch dalszych falach).

Muszę tu dodać, że większość rodzin polskich nastawiona jest na dorabianie się, wskutek czego kobiety polskie pracują zawodowo w wielkim procencie, zapewne w wyższym niż kobiety brytyjskie.

Podam wyżej przybliżone cyfry rozmieszczenia Polaków w różnych przemysłach, do których, przynajmniej początkowo, skierowano ich. Jeśli przyjrzymy się liście tych przemysłów, uderzy nas przede wszystkim ich charakter: odczuwa się w nich brak siły roboczej, to znaczy nie mają one pełnej załogi (tzw. *undermanned industries*). Są to tak zwane ciężkie i podstawowe przemysły, jak górnictwo, budownictwo, rolnictwo (rolnictwo traktowane tu jest jako przemysł *sui generis*), ceglarnictwo i przemysł mineralny. Przemysł włókienniczy także do niedawna cierpiał na brak siły roboczej. A więc Polaków skierowano siłą rzeczy tam, gdzie robotnik angielski niechętnie idzie, czy to z powodu warunków pracy czy płacy.

Ale nie wynika z tego, że robotnik polski skierowany do jakiegoś przemysłu, pozostał w nim. Robotnik polski z P.K.P.R. a także europejski wolontariusz po trzech latach traktowany jest tak jak każdy inny robotnik w tym kraju, to jest może znaleźć pracę gdzie mu się podoba, ograniczony jest obecnie tylko kontrolą Giełdy Pracy „Labour Exchange”, z ustawy „Notification of vacancies Order”, tak samo jak robotnik brytyjski. Faktem jest, że „Labour Exchange” daje w regule swoje zezwolenie na zmianę zatrudnienia z wyjątkiem tylko nielicznych kategorii fachowców, którzy mogą być potrzebni do pewnych podstawowych dziedzin przemysłu, zwłaszcza zbrojeniowego. Z moich doświadczeń wiem, że robotnicy polscy długo miejsca w tym samym warsztacie pracy nie zagrzewają, starając się polepszyć swe warunki pracy i płacy. Na ogół nie mają trudności w zdobywaniu pracy wobec pełnego zatrudnienia w przemyśle brytyjskim. Tylko nieliczni przedsiębiorcy nie przyjmują robotników polskich i to przeważnie nie z powodu własnych zastrzeżeń, ale z powodu zastrzeżeń członków niektórych związków zawodowych.

Początkowo do służby publicznej nie przyjmowano Polaków, ale i to zmieniło się z czasem. Spotkałem Polaków konduktorów tramwajowych w Manchesterze, w kolejce podziemnej w Londynie, na poczcie itd. Także coraz więcej Polaków idzie do urzędów.

Oczywiście, młodzież polska, tu wychowana, nie ma żadnych trudności w dostaniu się do urzędów.

A teraz parę słów o terytorialnym rozmieszczeniu robotników polskich. I tu także dała się odczuć pewna ruchliwość elementu polskiego. Początkowo robotnicy polscy głównie byli skoncentrowani na północy, albo w Midlandzie. Z czasem nastąpiło stałe przesunięcie do Londynu, gdzie teraz jest największe skupisko, szacunkowo około 30-40.000. W Midlandzie emigracja polska szacowana jest na 25.000, głównie w samym Manchesterze 8.000, w Birmingham 4.000. Około 12.000 jest w Yorkshire, głównie w Leeds i w Bradford.

W Szkocji pozostało tylko szacunkowo 12-14.000 Polaków, a to głównie w Glasgow. W Walii pozostało nie więcej ponad 2.000 Polaków, głównie w górnictwie i na roli; w Gloucestershire 3-4.000 Polaków. Na południu od Londynu, w Surrey, Kent 3-4.000. A więc mniej więcej jest jak powiedział śp. Ernest Bevin: *This blessing will be evenly spread all over the country*. Ale uderza jedna rzecz: koncentracja w wielkich miastach, a głównie w Londynie, Birmingham, w Manchesterze. Zwłaszcza Londyn i Birmingham stale zwiększają swoją ludność polską. Uderza ucieczka z rolnictwa i wsi, ze względu na warunki pracy i ze względu na osamotnienie. (Z 8.000 ludzi skierowanych z P.K.-P.R. do rolnictwa pozostało tam zaledwie paręset osób).

Wielkie miasta zawsze przyciągają obcokrajowców, bo tu mogą wytworzyć większe skupiska, być mniej na oku tubylców, i tworzyć własne ośrodki. Niewątpliwie, robotnicy polscy wykazują tendencję do tworzenia skupisk. Od razu powstaje klub polski, czytelnia i restauracja i wreszcie pełne życie. Tendencja ta zamiast słabnąć, w istocie wzmacnia się z biegiem czasu. Z początku była silna tendencja wejścia w społeczeństwo brytyjskie i odsunięcia się od życia polskiego. Ale po jakimś czasie nastąpiło znów łaknięcie słowa polskiego i kontaktu z Polonią. A więc tendencja do tworzenia skupisk jeszcze ostatnio uległa wzmocnieniu. Na ogół Anglicy z którymi rozmawiałem twierdzą, że zdolność asymilacyjna Polaków jest np. niższa od zdolności asymilacyjnej Czechów. Może także ze względu na większą liczbę Polaków.

Wśród robotników polskich należy rozróżnić cztery zasadnicze typy socjalne, odpowiednio do formacji socjalnych, z których pochodzą. Struktura zawodowa armii polskiej i uchodźstwa polskiego była swoista jakoż element kresowy i rolniczy przeważał (zwłaszcza w II. Korpusie), z drugiej strony silny był także element urzędniczy i oficerski (zwłaszcza w I. Korpusie).

W każdym razie większość robotników polskich, z którymi rozmawiałem, to byli włościanie, i to przeważnie z Kresów. A więc jak powiedziałem, mamy cztery typy: włościanin-robotnik, który należy do przeważającej większości, inteligent-robotnik, rzemieślnik-robotnik, to jest taki, który przed wojną miał jakieś rzemiosło, był majstrem, takich jest w gruncie rzeczy niewielu, wreszcie robotnik, który także w Polsce czy we Francji był ro-

botnikiem przemysłowym czy górnikiem, a ci także należą do mniejszości.

Najbardziej zadowolony jest oczywiście typ włościanina-robotnika. Jest on zachwycony ogromnym podniesieniem stopy życia w porównaniu z Polską, a specjalnie w porównaniu z Kresami Wschodnimi. Nie przepracowuje się, ma swe godziny, ma przerwy w pracy, może się dorabiać, bo ma niskie stosunkowo wymagania.

Także do zadowolonych należy były robotnik przemysłowy, bo i on stwierdza znaczną poprawę warunków życia i pracy. Imponują mu nowe maszyny i urządzenia, które w Polsce były mu niedostępne.

Rzemieślnik-majster na ogół nie należy do zadowolonych, bo z powodu ograniczeń związków zawodowych, pracuje przeważnie jako wyrobnik lub na wpół wykwalifikowany.

Czwartym typem jest inteligent, były oficer, były urzędnik, który tu musi pracować jako zwyczajny robotnik. Kapitan czyszczący ustępy w fabryce, podpułkownik pracujący jako windziarz, generał jako magazynier, były starosta jako portier, były poseł jako pomywacz w kuchni, były aktor pracujący w piekarni — to nie są zjawiska odosobnione. Ci ludzie czują się, oczywiście, zdeklasowani, ale wielu z nich znosi swój los z pokorą, godnością, podziwu godnym stoicyzmem i z pogodą ducha. Są dumni, że nie są dla nikogo ciężarem, że są materialnie niezależni. Niektórzy przyjmują to jako pokutę za winy swoje lub obce, starając się podtrzymać słabnące siły intelektualne, nadwyreżone nadmiernym wysiłkiem fizycznym, zwłaszcza że większość z nich nie jest już pierwszej młodości. Godność własną utrzymują chodząc do bibliotek, lub na odczyty, otaczając się pamiątkami przeszłości, wszystkim tym co może ich podnieść i dodać wiary w sens życia i lepszą przyszłość.

Ta ostatnia grupa nie jest bardzo popularna wśród przedsiębiorców brytyjskich, ani też w związkach zawodowych. Pamiętam, jak jeden z sekretarzy Związku Zawodowego skarżył się, że ta grupa wymaga „od nas utrzymania ich przywilejów klasowych, domaga się by im przyznano lepszą pracę, a my tego, oczywiście, zrobić nie możemy”. Jeden z dyrektorów opowiadał mi jak odmówił przyjęcia do pracy byłego generała polskiego, który zgłosił się na tragarza podwórzowego. Gdy pytałem dlaczego, odpowiedział mi: *It wouldn't be fair on such a man*. Generał miał do niego pretensję, twierdząc, że musi z czegoś żyć, a on woli to niż żyć z zasiłków Assistance Board.

Niektórzy z inteligentów, którzy obecnie pracują jako robotnicy, stworzyli specjalny system pracy i życia, ograniczając swoje potrzeby do minimum i pracując tylko tyle ile niezbędnie potrzeba im do życia. Na przykład jeden z oficerów czyszczących klozety pracuje tylko sporadycznie. Żyje tak oszczędnie, że gdy pracuje jeden tydzień, może z tego wyżyć dwa tygodnie, a gdy uzbiera trochę pieniędzy, chodzi do bibliotek i kształci się, zamiast czyścić ustępy.

Z porównania tych czterech typów wynika, że robotnik polski, który w 80 czy 85 % rekrutuje się z włościanstwa i robotników, jest w swej większości zadowolony z warunków pracy i płacy. Włościański przeważnie charakter robotnika polskiego daje mu również jego solidność, oszczędność i pracowitość, bo trzeba uwzględnić, że i inne kategorie społeczne, jak robotnicy i rzemieślnicy a także i inteligencja, mają jeszcze świeże węzły z rolnictwem.

Stosunek przedsiębiorców i foreman'ów do robotników polskich jest bardzo pozytywny. Słyszałem dużo o solidności, wytrwałości i pracowitości robotnika polskiego. Nie można porównać robotnika polskiego np. z irlandzkim — mówili mi często dyrektorzy kopalń. Polak ima się najcięższej pracy z pewną dumą i zaciętością. Toteż na wiosnę 1952 roku, gdy wybuchł przejściowy kryzys we wókiennictwie w Lancashire było stosunkowo mało bezrobotnych Polaków, bo zaledwie 1.000 wobec pół miliona Anglików, co stanowi o wiele niższą relację procentową. Bezrobocie wśród Polaków jest bardzo małe, ogranicza się przeważnie do ludzi starszych lub inteligencji, która nie może lub też nie chce podjąć się pracy fizycznej.

Pracowitość robotników polskich sprawiała, że wielu z nich popadało w kolizję ze swymi kolegami brytyjskimi. Robotnik polski zapalający się w kopalni czy w fabryce myślał, że jeśli będzie ciężko pracował, znajdzie mir i uznanie w warsztacie. Ale wkrótce przekonywał się, że jest zgoła inaczej. Robotnik angielski wytworzył w pracy pewne normy produkcji, których w ciągu dnia roboczego nie przekracza. Są to normy, które pozwalają mu na stałą pracę w dłuższym okresie czasu bez nadmiernego wysiłku. Gdy zjawił się robotnik polski, który z łatwością normy te przekraczał, robotnik angielski poczuł się zagrożony w swoich prawach i zwyczajach. Toteż robotnik polski z początku był bardzo niepopularny wśród swoich towarzyszy pracy, dopóki nie nauczył się zważać na zwyczajowe normy pracy i na poszanowanie wielu innych zwyczajów i tradycji, zawartych w niepisanym, ale niemniej obowiązującym nieformalnym kodeksie pracy, wytworzonym przez robotników brytyjskich.

W ogóle nastawienie robotnika polskiego do pracy jest zasadniczo inne niż nastawienie robotnika brytyjskiego. Robotnik polski bierze swoją pracę daleko bardziej serio, daleko bardziej emocjonalnie. W jego życiu praca przedstawia daleko większy ciężar gatunkowy, wypełnia daleko więcej miejsca, niż w życiu robotnika angielskiego. Robotnik angielski przeprowadza zasadniczy podział pomiędzy pracą a życiem. Praca to tylko środek do życia, to zarobkowanie w ścisłym tego słowa znaczeniu. Jego *pendant*, przeciwwagą i wartością wyrównawczą jest to co nazywa *hobby*. Robotnik angielski wyżywa się w swoim *hobby* a nie w swojej pracy. Robotnik polski nie zna pojęcia *hobby*, w daleko wyższej mierze chciałby wyżywać się w swojej pracy. Na tym tle zrozumiemy także koncepcję tzw. *restrictive practices*, czyli tzw. norm pracy, o których już wspominałem, a które dla

robotnika polskiego są obce. Jeśli mogą zrobić więcej bez wysiłku, dlaczego tego nie uczynić? Robotnik polski czuje się więc najlepiej przy pracy akordowej, żąda tej pracy, bo może przy niej użyć całej swej energii, choć i tu także osiąganie rekordów jest niemiłe widziane, bo psuje szanse innych.

Także i rytm pracy jest inny. Robotnik angielski pracuje metodycznie i z flegmą. Rzadko się spieszy, rytm jego jest miarowy i długo-falowy. Natomiast robotnik polski zrywa się, spieszy i potem opada. Jego fala wysiłku wykazuje daleko większe nierówności i zrywy.

Stosunek do maszyny jest także daleko bardziej emocjonalny, aniżeli u robotnika angielskiego. Robotnik angielski uważa ją za coś codziennego, zwyczajnego, z czym zrosł się całkowicie — nie wyobraża sobie po prostu świata bez maszyn. Dla robotnika polskiego maszyna, zwłaszcza nowoczesna, skomplikowana, wielka, jest czymś niezwykłym, niemal magicznym. Jest dumny, że może przy niej pracować. Często opowiada o niej kolegom, chwaliąc się z nowoczesnych urządzeń, którymi posługuje się przy pracy. Jest często dumny ze swego przedsiębiorstwa i czasem się z nim utożsamia.

Łączy się z tym zasadniczo inne nastawienie robotnika polskiego do swoich przedsiębiorców. Robotnik polski, przyjęty do pracy przez dyrekcję fabryki czy kopalni, sądził, że najważniejszą rzeczą jest zadowolić wymagania zarządu. Często był przyjmowany wbrew robotnikom angielskim, albo za ich niechętnie udzieloną zgodą, a więc tym więcej było powodów by przede wszystkim myśleć o aprobachie zarządu, tym bardziej, że z innymi towarzyszami pracy właściwie niewiele go łączyło. Nastawienie robotnika angielskiego jest diametralnie inne. On jest członkiem całej grupy, członkiem związku zawodowego. Aprobata jego grupy, jego towarzyszy, znaczy dla niego bez porównania więcej niż aprobata przełożonych. Nigdy nie robi nic takiego, co by mogło być krytykowane przez towarzyszy, choćby miał się narazić przełożonemu, gdyż ten nie mógłby mu nic pomóc gdyby koledzy uważali go za lizusa (*blackleg*). Szukanie u przełożonego jakichś wyróżnień jest surowo krytykowane. Solidarność wśród robotników angielskich jest niesłychanie silna, stąd niechęć do robotników zagranicznych, którzy tej solidarności mogą zagrażać. I tu także robotnik polski z czasem zorientował się w sytuacji, zwłaszcza gdy nauczył się języka i zmienił swoją orientację.

Toteż popularność robotnika polskiego wśród angielskich kolegów rośnie i w miarę upływu czasu opory przeciwko jego zatrudnieniu maleją. Robotnik angielski stosunkowo najpobłażliwiej odnosi się do robotników-uciekierów, albo byłych kombatanów, których wojna tutaj zastała, albo którzy nie mogli wrócić po wojnie do swego kraju. Natomiast największa jest opozycja w stosunku do robotnika sprowadzanego grupowo, np. ostatnio włoskiego, gdyż to, zdaniem robotników angielskich, skierowane jest przeciwko ich przywilejom i działa na ich nie-

korzystać. Z drugiej strony w jednej np. z odlewni żelaza i fabryce metalurgicznej — gdzie prowadziłem badania — i gdzie nie miało zastrzeżeń co do zatrudnienia Polaków, niemal nie doszło do strajku, gdy zarząd fabryki chciał Polaka mianować formanem. Protesty były także, gdy Polak miał zostać kierowcą kranu w odlewni. Lepsze zajęcia mają być zastrzeżone dla Anglików; są one tak nieliczne, że nie powinny dostać się w ręce obcych.

Na ogół łatwiej jest dostać promocję w urzędzie z dala od ludzi, niż w pracy nadzorczej, np. w hali fabrycznej, to jest łatwiej w pracy bardziej zindywidualizowanej, jak np. w pracy kreślarzy i inżynierów.

Przed wojną robotnik polski był w Wielkiej Brytanii nieznanym, tak samo jak nieznanym był robotnik zagraniczny w ogóle. Było to zrozumiałe w okresie gdy Anglia miała przeciętnie półtora do dwóch milionów bezrobotnych. Zabieranie chleba robotnikom angielskim było nie do pomyślenia, byłoby uważane przez wszystkich jako akt anty-społeczny.

Dziś, w okresie pełnego zatrudnienia, robotnik cudzoziemski jest mile widziany, ale tylko w tych przemysłach i zawodach, w których brak jest siły roboczej, do których Anglicy sami się nie garną, głównie tam gdzie praca fizyczna jest ciężka albo brudna, albo ma charakter czysto wyrobniczy. Działy pracy wyższej, gdzie wymagana jest biegłość, odpowiedzialność, przodownictwo, są rezerwowane dla tubylców. Tłumaczone to jest nieznajomością przez cudzoziemców języka, zwyczajów angielskich i oporami z dołu; ale wypływa przede wszystkim z faktu, że w Anglii podaż dobra, które nazywa się biegłość (*skill*), jest dostateczna, jeśli nie w nadmiarze, natomiast podaż surowej siły roboczej jest w zaniku, głównie z powodu owocnych rezultatów szkolnictwa ludowego. Toteż sprowadza się robotników z Irlandii, Włoch, itd. do ciężkiej pracy na drogach, w kopalniach, odlewniach żelaza, czy w budownictwie. Wkład robotnika polskiego w gospodarstwo angielskie jest z tego powodu bardzo cenny, równie cenny jak wkład żołnierza polskiego w czasie wojny.

Wspominałem już o stosunku Związków Zawodowych do robotnika polskiego. Brytyjskie Związki Zawodowe były tradycyjnie nastawione raczej nieprzychylnie do kwestii zatrudnienia robotników obcych. Są to uprzedzenia nie narodowo-rasowe, ale raczej klasowo-socjalne, zwłaszcza na tle masowego bezrobocia, które było stałym zjawiskiem w okresie międzywojennym. Uprzedzenia te obecnie zwolna ulegają zmniejszeniu, ale nikt nie mógłby twierdzić, że znikły one całkowicie.

Związki Zawodowe Brytyjskie można podzielić na dwie wielkie grupy. Do jednej należą będą związki robotników fachowych, rzemieślników i majstrów wszelkiego rodzaju, to jest wszystkich tych, którzy służyli w terminie. Do drugiej grupy należą wszystkie inne związki bądź wyrobników, bądź mieszane i tzw. omnibusowe, to jest „General and Transport Union” albo „General and Municipal Workers Union”. Otóż związki ręk-

dzielnicze fachowe na ogół zamknęły swoje wrota, podczas gdy związki ogólne, z małymi wyjątkami, otworzyły je dla Polaków pod warunkiem, że staną się członkami związków i pobierać będą stawki związkowe. Największa liczba Polaków znajduje się w Zawodowych Związkach, tzw. omnibuśowych. W „General and Transport Union” i „General and Municipal Workers Union” jest w samym tylko Rejonie I-ym (Londyn w wielkim zasięgu) około 6.000 robotników polskich. Zarząd Związku chwali ich jako czynnych członków; niektórzy zostali delegatami i sekretarzami lokalnymi także w oddziałach angielskich.

Ogólnie mówiąc istnieje ogromna różnorodność i wielka rozpiętość w ustosunkowaniu się Związków Zawodowych do robotnika polskiego. Np. w przemyśle budowlanym na ogół Polacy mogą pracować jako wyrobownicy, a nie jako robotnicy kwalifikowani, i tylko pod warunkiem, że brak jest robotników angielskich. Każdy związek miejscowy sam stwierdza, czy tak jest, czy nie. W przemyśle włókienniczym ustalono maksymalną kwotę robotników zagranicznych, zarówno Polaków jak „E.W. Workers” na 10 %, ale z tym zastrzeżeniem, że w razie braku pracy, zagraniczni robotnicy mają być pierwsi zwolnieni. Faktycznie większość robotników zagranicznych pracuje w przędzalnictwie, gdzie warunki są cięższe, a w mniejszym stopniu w tkactwie.

W przemyśle żelaznym i stalowym robotnicy zostali dopuszczeni tylko do stopni niewykształconych lub pół-wykształconych, a nie do stopni rzemieślniczych, przy czym użyto ogólnego argumentu, że związki nie mają możliwości stwierdzić, czy dany robotnik wysłużył swe lata w terminie, i że poziom wykształcenia jest w każdym kraju odmienny. To samo mniej więcej odnosi się do związku drukarzy. Na ogół z czasem ograniczenia odpadają. Należy stwierdzić, że te ograniczenia przeciwko rzemieślnikom są bolesne tylko indywidualnie, ale nie zbiorowo, bo rzemieślników polskich, jak już mówiłem, jest stosunkowo mało. Dodam także, że Polski Związek Rękodzielników i Robotników w Londynie, który liczy około 3.100 członków, obecnie coraz częściej zatwierdza kwalifikacje swych członków rzemieślników, dla Związków Brytyjskich.

W sytuacji robotnika polskiego na ogół najgorzej przedstawia się sprawa awansu społecznego. Robotnik polski może z pracy niewykształconej, z prostego wyrobownika przejść do pracy na pół bieglej, ale na tym zasadniczo kariera jego się kończy. Tylko w wyjątkowych wypadkach może iść dalej i to tylko w niewiązkowych warsztatach pracy. Ale sytuacja jego właściwie biorąc nie jest o wiele gorsza niż sytuacja robotnika angielskiego, dla którego awans społeczny ma również tylko charakter wyjątkowy. Zasadniczo w Wielkiej Brytanii czeladnictwo jest dostępne jedynie dla młodzieży w wieku do 18 lat najwyżej, a awans na foremana z natury rzeczy nie jest częsty, a poza tym raczej mało popularny wśród robotników angielskich. Foreman w Anglii nie zarabia więcej od robotnika wykształconego, a czasem od na wpół wykształconego, niekiedy nawet zarabia mniej, toteż wielu

robotników angielskich odmawia przyjęcia stanowiska foremana. Premia za biegłość (skill) jest w Anglii bardzo mała i ciągle ulega zmniejszeniu (obecnie wynosi około 20 %) i na tle pełnego zatrudnienia i na tle masowej podaży rąk robotników wyszkolonych. Niewykształcony robotnik angielski przeważnie nie bardzo myśli o nabyciu jakiegoś fachu, jakieś biegłości.

Mimo to sędzę, że zarobki Polaków, biorąc przeciętnie, nie tylko znajdują się na poziomie angielskim, ale nawet go przewyższają. Oczywiście, to jest tylko szacunek, ale oparty na następujących faktach. Po pierwsze dużo Polaków pracuje w przemyśle ciężkich, jak górnictwo, budownictwo, odlewnie żelaza, przy pracach żmudnych i ciężkich, gdzie stawki płac są wysokie. W innych przemysłach lżejszych, jak włókiennictwo, przemysł odzieżowy, metalurgiczny, dużo Polaków pracuje na akord, gdzie mogą zużyć pełnię swej energii i żywotności, jak np. w odlewni żelaza, w której spędziłem na badaniach trzy miesiące. Jeden z nich na „shotblaste” (rozbijaniu odlewów), pracy nawet dość niebezpiecznej, przy której trzeba być bardzo ostrożnym, zarabiał razem z nadliczbowymi godzinami do £ 18 tygodniowo. Polacy bardzo chętnie podejmują się pracy w godzinach nadliczbowych, zwłaszcza gdy są samotni, bo często nie wiedzą co mają ze sobą robić z końcem tygodnia. Wielu Polaków pracuje w fabrykach niezwiązkowych, gdzie wynagrodzenie zwykle jest lepsze, ale gdzie więcej wymaga się od robotnika.

W ogóle styl życia robotnika polskiego jest daleko wyższy od robotnika angielskiego. Tu i ówdzie słyszałem wprawdzie o pijatykach i bójkach po knajpach, ale są to, według mojej obserwacji, raczej wyjątki. W większości Polacy dbają o siebie, i swój wygląd i zachowanie, są oszczędni i myślą o przyszłości. Robotnik polski odbija się od angielskiego lepszym ubiorem i po tym łatwo go poznać (1). „Muszę trzymać fason, powiadają, pokazać, że Polak to nie dziad”. Nałogów stosunkowo ma niewiele. Z nałogów angielskich przyjęta została bardzo szeroko gra w tzw. „poole”. Gra w pieski czy konie jest daleko mniej popularna. Polonia jest na ogół zmotoryzowana i zadomowiona. Na zebraniach polskich uderza liczba motocyklów i tanich aut, nabytych przeważnie z drugiej ręki. Marzeniem każdego Polaka jest nabyć domek na własność. Oblicza się, że w Leeds na 2.000 Polaków, 300 posiada domki (a są one tam bardzo tanie, £ 300). W Londynie liczbę domków polskich szacuje się na co najmniej 1.500-2.000 (2). Co miesiąc 22.000 paczek odchodzi do Kraju.

Liczba hosteli, w których Polacy początkowo mieszkali gromadzą, ciągle się zmniejsza, ale wciąż jeszcze jest duża, gromadzi około 9.000 osób, poza hostelami utrzymywanymi przez Assistance Board. W Polish Housing Estates jest jeszcze około 5.500 osób, w Industrial Hostels — 3.100. Jak ta liczba się zmniejsza, dadzą

(1) Niektórzy mają masę nowych garniturów.

(2) Jedno z pism londyńskich podało liczbę domków w rękach polskich w Londynie na 5.000, ale jest to cyfra niezmiernie wygórowana.

nam obraz następujące cyfry. Jeszcze w 1950 roku było 5.600 Polaków w hostelach przemysłowych; w 1951 r. liczba ta zmniejszała się do 4.100, a w roku 1952 do 3.100. W ubiegłym roku było tylko 5 hostelów przemysłowych wyłącznie polskich, a poza tym szereg Polaków mieszkało w hostelach ogólnych. Wyłącznie polskie hostele, niestety, nie były pierwszej klasy, należały do tzw. *sub-standard*, gdzie płacono się tylko 35 sh. dla mężczyzny, a 30 sh. dla kobiety z pełnym utrzymaniem. Niektórzy trzymają się hostelów tylko dla polskiego towarzystwa i stylu życia; inni dlatego, że są tanie — pozostają w nich do czasu kupienia sobie domku.

Należy stwierdzić, że przedsiębiorcy angielscy musieli gruntownie zrewidować poglądy swoje o robotnikach polskich, których przed wojną nie znali. Dochodziły ich tylko słuchy o narodowym charakterze Polski.

Siyszełi, że to naród romantyczny, o niewielkiej solidności gospodarczej, a tymczasem widzą robotnika pracowitego, oszczędnego, solidnego, o regularnym trybie życia. Robotnik polski niewątpliwie wytrzymuje w pełni porównanie z robotnikiem angielskim, a, jak powiedziałem, styl jego życia jest często wyższy. Tłumaczy się to po pierwsze tym, że robotnik polski wie że jest obserwowany przez obcych, którzy mogą generalizować sąd o Polakach na podstawie tego co widzą u niego. Ambicja indywidualna i zbiorowa są niemalym bodźcem w jego pracy i życiu. Chce pokazać się, zaimponować, dokonać czegoś.

Poza tym robotnik polski w większości przeszedł ciężkie doświadczenia, zaznał ubóstwa i w dalszym ciągu nie jest pewny jutra. Wie przy tym, że jak przyjdzie kryzys on pierwszy padnie ofiarą bezrobocia, co zresztą zastrzeżone jest w wielu umowach ze związkami zawodowymi. Wie, że nie jest u siebie i że być może zechce wyjechać. W tym wszystkim, jak się przekonał, pieniądź może mu być niesłychanie potrzebny.

Ale to jeszcze nie wszystko. Moim zdaniem, robotnik polski dlatego występuje w korzystniejszym świetle w porównaniu z robotnikiem angielskim, gdyż selekcja mas robotnika polskiego i angielskiego, odbyła się na innych podstawach. Podczas gdy masy robotnika angielskiego mają normalny przekrój jednej, całej klasy społecznej, wytworzonej tradycyjnie w długim procesie historycznym, to masy robotnika polskiego to przeważnie byli żołnierze, uchodźcy polityczni czy byli emigranci francuscy — ludzie o wyższym cenzusie oświatowym, na ogół bardziej energiczni, odważni i przedsiębiorczy, aniżeli normalny przekrój społeczny robotników polskich. Jest to materiał niereprezentacyjny. Robotnicy angielscy i robotnicy polscy są to masy zasadniczo ze sobą nieporównywalne. Porównać moglibyśmy jedynie normalny przekrój klasy robotniczej polskiej z normalnym przekrojem angielskiej klasy robotniczej.

W istocie trudno mówić o robotniku polskim w Anglii, jako o odrębnej formacji społecznej, o skryształizowanej postaci społeczno-psychologicznej. Robotnik polski jest jeszcze tworem nie-

ustalonym, jest to typ przeważnie włościanina (lub człowieka, który niedawno opuścił rolę) w procesie przemiany na robotnika przemysłowego. Może w najwyższej mierze nadaje się on do warunków życia gospodarczego w Wielkiej Brytanii, bo w większości stanowi typ robotnika niewykwalifikowanego, takiego jakiego właśnie potrzeba w tym kraju.

Mimo korzystnych warunków pracy i płacy, wielu robotników polskich myśli o wyjeździe z Anglii. Wielu nie odpowiada styl życia angielskiego, a wielu (zwłaszcza nieżonatym) dolega samotność. Potrzeba życia zbiorowego jest dla Polaka daleko silniejsza i realniejsza niż dla Anglika, który jest w wyższym stopniu indywidualistą. Pomimo upływu lat, robotnik polski czuje się wciąż na marginesie życia angielskiego. Od swoich towarzyszy angielskich otrzymuje uśmiech i kiwnięcie głową, ale to właściwie jest wszystko. Robotnik polski długi czas łudził się nadzieją, że jak opanuje język angielski, to z czasem wejdzie w angielską społeczność nie tylko zawodowo ale towarzysko i społecznie. Oczekiwania te okazały się jednak zawodne, a robotnik angielski, jeśli mu się mówi o osamotnieniu jego kolegi-Polaka, w ogóle nie może tego zrozumieć. Sam bowiem ma te same warunki, prowadzi ten sam tryb życia i to mu całkowicie wystarcza.

Zdaje sobie sprawę, że obraz jaki powyżej przedstawiłem jest fragmentaryczny, często niestwierdzony metodycznym badaniem i wiarogodnym źródłowym materiałem, i wymaga uzupełnienia i pogłębienia. Ale źródeł i materiałów nie ma. Badań systematycznych nad robotnikiem polskim nikt nie przeprowadzał. A to szkoda z wielu punktów widzenia. Jest to materiał kulturalnie, społecznie i ekonomicznie ważny, a naukowo ciekawy. Materiał ten wkrótce zniknie lub ulegnie głębokiej transformacji.

Ferdynand ZWEIG

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w strefie amerykańskiej Niemiec

Ukazuje się trzy razy tygodniowo.

W każdą niedzielę dodatek.

Korespondenci: we Francji, Wielkiej Brytanii, Włoszech, Kanadzie, St. Zjednoczonych, Wenezueli, Argentynie, Australii i Nowej Zelandii.

Ogłoszenia: 1 cm. 1 łam. — 4,20 DM (1 dol.).

Za słowo w ogł. drobnych 0,20 DM (5 ct. am.).

Redakcja, administracja, drukarnia.

17a, MANNHEIM-SANDHOFEN, 4094 LSC Schoenau
US Zone, Germany

Najnowsza historia Polski

Rumunia a Wrzesień 1939

Kiedy w dniu 1 września 1939 rozpoczęły się działania wojenne trudno nam było powziąć jakąkolwiek natychmiastową decyzję gdyż traktat rumuńsko-polski nie przewidywał wypadku agresji niemieckiej. Praktycznie, udzielenie Polsce efektywnej pomocy było niemożliwe ponieważ nie mieliśmy z Niemcami wspólnej granicy, zresztą nikt od nas nie żądał wejścia w tym momencie do wojny. Zdecydowaliśmy natomiast od pierwszej chwili, że zrobimy absolutnie wszystko co będzie w naszej mocy, aby Polsce pomóc — unikając naturalnie dania Niemcom powodu do napaści na nas samych.

Dnia 31 sierpnia, w przeddzień agresji, rząd berliński — starając się wykorzystać wszystkie atuty — polecił swemu ministrowi w Bukareszcie podanie nam do wiadomości w sposób kategoriyczny, że każde udzielenie zezwolenia na tranzyt materiałów wojennych do Polski uznane będzie za działalność wrogą. W związku z tym premier Armand Calinescu oświadczył zdecydowanie Fabriziousowi — i powtórzył mu to samo w dniu 4-ym września kiedy ten powrócił do tej sprawy — że Rumunia nie może sprzeciwić się tranzytowi do Polski, gdyż działając w ten sposób zmuszona byłaby, przez analogię, wstrzymać całkowicie wywóz nafty do Niemiec.

Odpowiedź Calinescu nie przeszkodziła jednak Poselstwu Rzeszy poruszenia tej sprawy ponownie w dniu 8 września, w nocy niepozbawionej pogroźek, stwierdzającej, że jeżeli będziemy nadal udzielali zezwolenia na tranzyt amunicji do Polski:

„terytorium rumuńskie stanie się bazą działań skierowanych przeciwko Niemcom — na co rząd Rzeszy nie mógłby się zgodzić”.

Notę tę pozostawiliśmy bez odpowiedzi podtrzymując nasze poprzednie stanowisko.

Materiały drukowane w tym dziale są zamieszczane na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

To było zresztą wszystko czego w tym momencie żądała od nas Polska. Ambasador polski w Bukareszcie przekazał nam w dniu 4 września wyrazy wdzięczności w następujących słowach:

„Z polecenia mojego Rządu mam zaszczyt przekazać podziękowanie Rządu Polskiego Rządowi Rumuńskiemu za jego stanowisko w stosunku do Polski w chwili rozpoczęcia wojny przez Niemców. To stanowisko Rumunii będzie miało wpływ na rozwój przyszłych stosunków między obu naszymi krajami”.

Na podziękowanie Polaków zasłużyliśmy. Nienawidząc Niemiec hitlerowskich z całego serca, Armand Calinescu poszedłby o wiele dalej gdyby był chociażby cień nadziei oparcia konkretnej działalności rumuńskiej na realnych i skutecznych możliwościach. Ale — od pierwszej chwili wszystko wskazywało na to, że bohaterska Polska będzie zdana wyłącznie na własne siły.

Przypadek otworzył oczy Calinescu na wahania pewnego wybitnego członka rządów sprzymierzonych z Polską. Mianowicie, 1 września po południu, tajny podsłuch międzynarodowych rozmów telefonicznych zakomunikował mu treść zlecenia nadanego przed chwilą na linii Paryż-Bukareszt. Minister spraw zagranicznych, Georges Bonnet, wezwał ambasadora francuskiego w Bukareszcie i — ponieważ połączenie telefoniczne Paryż-Warszawa było już zerwane — polecił mu jak najszybciej przekazać bardzo ważny meldunek Leonowi Noelowi, ambasadorowi francuskiemu w Polsce. Bonnet za pośrednictwem swego reprezentanta informował Becka, że Mussolini zgłosił gotowość zwołania konferencji dla rozstrzygnięcia nieporozumienia niemiecko-polskiego. Z największym naciskiem dodał, że trzeba nalegać, aby rząd polski potraktował tę propozycję z największą uwagą. Innymi słowy Bonnet proponował nowe Monachium z tą obciążającą różnicą, że napaść niemiecka była już faktem dokonanym.

Apel Georges Bonneta zagłuszył huk bomb, spadających od świtu na Warszawę, ale incydent był symptomatyczny. Tak samo, nazajutrz, brak synchronizacji pomiędzy wypowiedzeniem wojny przez Anglię i Francję oraz francuskie opóźnienie mogły już dać wiele do myślenia. Rozpoczęła się „drôle de guerre”.

Już od pierwszego dnia Niemcy wywierali silną presję, aby Rumunia ogłosiła wyraźną neutralność. Armand Calinescu odpowiedział wymijająco i usiłował tego uniknąć posługując się ogólnikową formułą. W komunikacie ogłoszonym 4 września na otwarcie Rady Ministrów uniknięto użycia słowa „neutralność” ograniczając się do oświadczenia, że Rumunia zdecydowała się „na utrzymanie swojej pokojowej postawy”.

Deklaracja o neutralności, ogłoszona dnia 5 września przez Jugosławię, dostarczyła Niemcom potężnego argumentu do żądania abyśmy sprecyzowali nasze stanowisko.

Rada królewska postanowiła w dniu 6 września, że Rumunia „w stosunku do stron biorących udział w obecnym konflikcie będzie ściśle przestrzegała zasad neutralności, ustalonych przez Konwencje Międzynarodowe”.

Armand Calinescu upierał się przy tej redakcji, która umożliwiała mu odwoływanie się w sprawach neutralności do Konwencji Haskiej za każdym razem gdy zjawiały się nowe żądania niemieckie. Otóż Konwencja ta wyraźnie autoryzowała tranzyt sprzętu wojennego, przeznaczonego dla kraju będącego w stanie wojny. I to pozwalało nam utrzymać naszą pierwotną decyzję korzystną dla Polski.

Ograniczając naszą neutralność do „aktualnego konfliktu” Rada chciała podkreślić, że sojusz zawarty z Polską pozostaje w mocy w przedmiocie dla którego został zawarty, to znaczy w stosunku do Rosji.

Tymczasem hordy niemieckie posuwały się coraz dalej w głąb terytorium Polski. Codziennie stawały przed nami nowe zagadnienia. Chodziło o to, aby rozwiązywać je w ramach naszej przyjaźni dla narodu polskiego — ofiary ohydneho napadu, nie wystawiając siebie jednocześnie na cel następnego natarcia pancernych dywizji niemieckich, zbliżających się do naszych granic.

W paru wypadkach musieliśmy jednak zdecydować się na poważne ryzyko.

Kiedy Rząd polski poprosił nas o zabezpieczenie tranzytu zapasu złota Banku Polskiego — nie wahaliśmy się ani chwili; uczyniliśmy zadość prośbie i zapewniliśmy ochronę podczas przejazdu przez nasz kraj. Lokomotywy wysłane na granicę polską przewiozły bez incydentu wagony ze złotem aż do Constanzy. Złoto zostało tam załadowane na specjalnie przysłany statek angielski, który bez zwłoki odpłynął wraz ze swym cennym ładunkiem.

Usiłowaliśmy zachować w tej sprawie jak największą tajemnicę. Przekroczenie granicy i załadowanie w Constanzy odbyły się w nocy. Trzeba było przy tym zapewnić znaczne środki bezpieczeństwa i zbrojną ochronę w czasie transportu. Liczni szpiegzy niemieccy znajdujący się w północnej Bukowinie zaalarmowali postać niemieckiego, który bez trudu odgadł jaki ładunek zawierały tajemnicze wagony, otoczone karabinami maszynowymi. Fabrizius pobiegł natychmiast do ministra spraw zagranicznych, Gafencu, i z pianą na ustach mówił o jawnym pogwałceniu neutralności grożąc zbombardowaniem pociągów ze złotem przez Luftwaffe.

Na szczęście pociągi te dawno już przejechały. Ale w sierpniu 1940 roku, zagarniając połowę Transylwanii dla Węgier, Hitler przytoczył tranzyt polskiego złota jako jeden z wrogich aktów, popełnionych w stosunku do Niemiec, za które winniśmy ponieść karę.

Wszystko zresztą wskazywało na to, że wkrótce stanie przed nami problem zupełnie innego rodzaju tranzytu. 5-go września rząd polski z towarzyszącym mu korpusem dyplomatycznym zmuszony został do opuszczenia Warszawy. Udał się do Krzemieńca, który następnie opuścił 14 września instalując się w Kutach, na naszej granicy.

Od pierwszych dni wojny cywilni uciekinierzy przekraczali naszą granicę. Były to najpierw krople, które wkrótce przeszły w olbrzymie strumień. Ale Rząd Polski uważał za punkt honoru do ostatniej chwili nie dopuszczać nawet hipotezy, że będzie zmuszony prosić nas o przejazd czy azyl. Zresztą od chwili gdy dywizje niemieckie zbliżały się do terenów górzystych ich postępy na południu były mniej szybkie.

Grom z jasnego nieba uderzył o świcie 17 września: armie sowieckie zajęły terytorium Polski. Stalin stał się w ten sposób bezpośrednim partnerem Hitlera w zbrodni.

O godzinie 9 rano, nasz poseł w Moskwie zakomunikował nam przez telefon tekst noty, którą właśnie otrzymał z Narkomindielu. Do noty dołączona była kopia cynicznej deklaracji, skierowanej przez Mołotowa do ambasadora Polski w Moskwie. Rząd sowiecki zapewnił nas przy tej okazji, że zdecydował się prowadzić „politykę neutralności w stosunkach z Rumunią”.

Naturalnie nie szło tutaj o neutralność sowiecką, ogłaszaną z taką gorliwością, ale o naszą własną postawę. Czy mogliśmy wypełnić obowiązki wypływające z sojuszu?

Nawet rząd polski nie wymagał tego od nas. Zadowolili się po prostu zawiadomieniem nas, że stał się przedmiotem agresji ze strony Związku Sowieckiego. Beck zresztą natychmiast oświadczył naszemu ambasadorowi, że nie chce, abyśmy bezużytecznie pchali się w konflikt.

„Polska — powiedział — rozumie trudne położenie Rumunii i nie żąda wypełnienia warunków, płynących z sojuszu. Rezerwuje sobie jedynie to prawo na wypadek takiej zmiany sytuacji, w której wejście Rumunii do wojny mogłoby stworzyć realne szanse powodzenia”.

Tegoż samego dnia, 17 września, nasz ambasador w Paryżu poinformował nas przez telefon, że rząd francuski — nie myśląc o zareagowaniu w jakikolwiek sposób na napaść sowiecką na swego alianta — przyjął do wiadomości deklarację o „neutralności” Rosji.

Nie czekaliśmy długo na wiadomość że i rząd brytyjski zajął takie samo stanowisko.

W takich warunkach, gdy wielkie potęgi sprzymierzone z Polską wstrzymywały się od jakiegokolwiek akcji — coż pozostawało nam do zrobienia?

Ponadto zdarzył się ważny fakt, który wpłynął na naszą decyzję: 17 września o godzinie 11 rano, Georges Grigorcea, nasz ambasador w Polsce, zatelefonował nam z Kut, że Prezydent Rzeczypospolitej i członkowie rządu polskiego proszą o zezwolenie na wejście na nasze terytorium celem przejazdu zagranicę. W dwie godziny później Gafencu zakomunikował, również przez telefon, następującą odpowiedź:

„W związku z prośbą p. Becka, skierowaną do Pana, proszę o zawiadomienie go, że Rząd Rumuński zgadza się na udzielenie Prezydentowi Mościckiemu i członkom Rządu Polskiego gościny na terytorium Rumunii, względnie tranzytu do jednego z krajów neutralnych, ale nie w ich charakterze oficjalnym”.

O godzinie jedenastej wieczorem powiadomiono nas, że Prezydent Rzeczypospolitej i Rząd Polski znajdują się na terytorium Rumunii. Przekroczenie granicy nastąpiło „in corpore”. Sznur samochodów z chorągiewkami, z eskortą wojskową. Nic w postawie Głowy Państwa ani członków rządu nie wskazywało ani w tym momencie, ani wtedy gdy znaleźli się na naszym terytorium, by mieli zamiar poddać się postawionemu im warunkowi, aby nie przybywali w charakterze urzędowym.

Zdarzył się ponadto wypadek, który sprawił rządowi rumuńskiemu dużo kłopotu, mianowicie Prezydent Mościcki polecił nadać w urzędzie pocztowym w Czerniowcach, celem przekazania do Londynu i Paryża, apel skierowany do narodu polskiego, w którym mówił między innymi:

„...zdecydowałem przenieść siedzibę Prezydenta Rzeczypospolitej i władz centralnych Państwa do jednego z krajów alianckich. Z tego nowego miejsca, w warunkach zapewniających pełną niezależność, będziemy mogli strzec interesów Rzeczypospolitej i prowadzić dalej wojnę u boku naszych Aliantów”.

Apel ten został powtórzony przez dzienniki i radio krajów sprzymierzonych i neutralnych. Poselstwo niemieckie natychmiast to podchwyciło stwierdzając, że każde zezwolenie udzielone Mościckiemu i jego Rządowi na kontynuowanie podróży oznaczać będzie jawne pogwałcenie neutralności przez Rumunię, gdyż w ten sposób udzielimy pomocy celem umożliwienia wykonania ogłoszonego zamiaru, to jest „dalszego prowadzenia wojny”.

Chcąc ominąć powstałe trudności Gafencu prosił Becka o nadesłanie mu indywidualnych deklaracji Prezydenta Rzeczypospolitej i członków Rządu stwierdzających, że schronili się na terytorium Rumunii w charakterze czysto prywatnym i że zrzekają się wszelkich uprawnień konstytucyjnych, politycznych i administracyjnych. Po spełnieniu tego warunku będą mogli bez trudu kontynuować podróż zagranicę, nawet w wypadku niemieckich sprzeciwów. Ale Beck odmówił.

W tym stanie rzeczy król Karol zdecydował oddać swój pałac w Bicz do dyspozycji Prezydenta Rzeczypospolitej oraz hotel w letniskowej miejscowości Mołdawii dla członków Rządu, ale nie mógł pominąć quasi ultimatum niemieckiego w momencie kiedy wejście do akcji armii sowieckiej stwarzało zupełnie nową sytuację grożącą wielkimi niebezpieczeństwami. Wybrał więc rozwiązanie nieinternowania członków rządu polskiego, ale przeszkodzenia im — do nowego zarządzenia — kontynuowania podróży zagranicę.

Decyzja Króla powzięta została pod wpływem ministra Dworu, Urdariano, i wbrew stanowisku Calinescu i Gafencu. Rozwój wypadków zmniejszył jednak wydatnie wagę królewskiej decyzji. Radca Ambasady Polskiej w Bukareszcie, Poniński, zjawił się u Gafencu w dniu 20 września, w chwili gdy ambasador znajdował się u Prezydenta Rzeczypospolitej w Bicz i złożył następujące uroczyste oświadczenie:

„L'Ambassade de Pologne en Roumanie, qui seule a le droit d'y représenter la Pologne éternelle, tient à exprimer ses remerciements au Gouvernement Roumain pour l'hospitalité amicale dont il a fait preuve à l'égard de tous les réfugiés polonais et se déclare complètement d'accord avec toutes les mesures prises par le Gouvernement Roumain”.

(Ambasada Polska w Rumunii, posiadająca wyłączne prawo reprezentowania wiecznej Polski, pragnie wyrazić podziękowanie Rządowi Rumuńskiemu za przyjazną gościnę, udzieloną wszystkim polskim uchodźcom, i oświadcza, że całkowicie zgadza się ze wszystkimi środkami powziętymi przez Rząd Rumuński.)

Niezależnie od tego byliśmy zaskoczeni faktem, że protesty nadesłane przez przedstawicieli rządów Francji i Wielkiej Brytanii miały raczej charakter zdawkowy i czysto formalny. Wytłumaczenie nie dało na siebie długo czekać: znaleziono rozwiązanie, które bardzo zręcznie omijało powstałe trudności, umożliwiając w sposób legalny zmianę rządów tzw. „Pułkowników”. Zgodnie z polską Konstytucją prezydent Mościcki przekazał swoje uprawnienia nowemu Prezydentowi, ten zaś z chwilą gdy znalazł się na ziemi francuskiej powołał nowy rząd, reprezentowany przez wszystkie polskie partie polityczne.

Ponieważ Becka nie łączyły nigdy przyjacielskie i pełne zaufania stosunki z rządami Francji i Wielkiej Brytanii więc zaistniała sytuacja całkowicie tym rządowi odpowiadała. I to było powodem, że powstrzymały się od wszczęcia u króla Karola stanowczych kroków, które mogłyby go skłonić do zlekceważenia pogroźek Hitlera i zezwolenia Beckowi i jego kolegom na wyjazd zagranicę.

Armand Calinescu zdecydowany był zresztą prosić Króla o zmianę decyzji z chwilą gdy sytuacja nieco się uspokoi. I udało mu się to na pewno, gdyby dożył. Niezależnie od tego król Karol obiecał Mościckiemu, że zgodzi się na jego wyjazd przed

końcem roku. Obietnicy dotrzymał i dawny prezydent pojechał w końcu grudnia do Szwajcarii co zresztą naraziło Gafencu na prawdziwy atak szału ze strony Fabriziusa, który był tym bardziej wściekły, że nic o tej całej sprawie nie wiedział aż do chwili kiedy ex-prezydent znajdował się już w Szwajcarii. Było to o tyle godne uwagi, że dowodziło jak doskonale dochowano tajemnicy mimo że należało otrzymać zezwolenie Jugosławii i Włoch na przejazd specjalnego wagonu prezydenta.

4 stycznia 1940 roku Mościcki napisał do Gafencu, przesyłając mu najserdeczniejsze podziękowania i prosząc go o „przekazanie J.W. Królowi wyrazów wdzięczności za przyjęcie, jakiego doznałem w Waszym pięknym kraju”.

Był jeszcze i inny powód dla którego Ambasada Polska i przedstawiciele rządów Wielkiej Brytanii i Francji okazali wyrozumienie dla zarządzenia króla Karola w stosunku do członków rządu polskiego. Aliantów najbardziej interesowało pomyślenie załatwienie losu żołnierzy polskich, zmuszonych do szukania schronienia na naszym terytorium. To, że jako kraj neutralny, w myśl formalnych przepisów Konwencji Haskiej musieliśmy rozbroić i internować wszystkich tych żołnierzy — niezależnie od ich stopni — nie podlegało nawet dyskusji. Ale czyż nie było możliwości złagodzenia nadzoru i umożliwienia w ten sposób ucieczki do Francji tym, którzy chcieli dalej walczyć? Zaaprobawaliśmy całkowicie ten punkt widzenia. Masowy wyjazd żołnierzy i oficerów polskich, zorganizowany przez attachés wojskowych państw sprzymierzonych na przedce ale skutecznie, miał takie nasilenie, że z 24.000 oficerów i żołnierzy, internowanych we wrześniu, pozostało zaledwie 8.000 w dniu 1-ym stycznia 1940 roku, a 5.000 latem tegoż roku.

Cyfry te dotyczyły zresztą jedynie żołnierzy polskich, naprawdę internowanych. Ogromna ilość wojskowych, którzy przeszli naszą granicę i od razu zmienili mundury na cywilne ubrania, ani przez chwilę nie była internowana i mogła bez przeszkód kontynuować podróż na Zachód. Do tej grupy należeli między innymi polscy lotnicy. Już pod koniec pierwszego tygodnia działał wojenny Ambasada Polska w Bukareszcie, poinformowała nas, że przewaga lotnictwa niemieckiego jest tak miażdżąca, że polski Wódz Naczelny zdecydował zaniechanie dalszych nierównych walk, w których lotnicy mogli tylko heroicznie, ale bezużytecznie ginąć. To byli pierwsi żołnierze dla których poproszono nas o tranzyt. Zgodziliśmy się natychmiast. Wszyscy ci lotnicy okryli się w rok później nieśmiertelną sławą w „Bitwie o Anglię”.

Wszystkie te sprawy wywoływały gwałtowne protesty niemieckie. Nie było w owym czasie dnia, w którym by Poseł Niemiecki nie składał wizyty Gafencu lub mnie. Przynosił nam szereg informacji na temat napływania do Istambułu, Grecji, Włoch

i Jugosławii setek i tysięcy żołnierzy polskich, przybywających tam z Rumunii. Jego sieć szpiegowska w Rumunii nie miała zresztą wiele kłopotu w odkrywaniu faktów, które działy się całkowicie w świetle dziennym. Ze względu na pośpiech i olbrzymią ilość osób, które trzeba było ewakuować, nie sposób było dostarczyć wszystkim oficerom i żołnierzom kompletnych ubrań cywilnych. Wskutek tego ulice Bukaresztu i główne porty załadowcze przepełnione były osobnikami o wojskowej postawie ubranymi w sposób dość dziwaczny: myśliwskie czapki, peleryny, fantazyjne krótkie palta spod których wyglądały wspaniałe buty wojskowe, niekiedy zaopatrzone w ostrogi.

Przypadkowo z licznych not jakie składali nam codziennie Poseł Niemiecki względnie Radca Poselstwa, zachowałem jedną, z dnia 27 października 1939. Oto jej treść:

„Z rozkazu swego Rządu Poselstwo Niemieckie ma zaszczyt ponownie zwrócić uwagę Królewskiemu Ministerstwu Spraw Zagranicznych na poważne konsekwencje jakie dla stosunków niemiecko-rumuńskich może mieć pogwałcenie zasad neutralności. Otrzymaliśmy wiadomość z jak najbardziej wiarygodnego źródła że w dniu 15 października z portu w Balciu wypłynął statek pod flagą grecką, mający na pokładzie 500 osób, które rozpoznano zupełnie wyraźnie jako oficerów i żołnierzy polskich w przebraniu cywilnym. Potwierdził to fakt, że polski urzędnik konsularny przybył na pokład i przemawiał do nich przed odjazdem. Powiedział przy tym, że ich celem jest dalsza walka o Polskę we Francji i że nic jeszcze nie jest stracone.

Najpoważniejszym zaś obciążeniem jest fakt, że mer Balciu był obecny podczas całej tej uroczystości”.

Ale po trochu Niemcy uspokoiли się. Zdali sobie sprawę z tego jak bardzo Polacy są popularni w naszym kraju i jak ich do nas zbliżyła podwójna napaść, której stali się ofiarą, a która obecnie groziła tak samo i nam. Ponieważ nie nadszedł jeszcze dla Niemców dzień zagrania w otwarte karty z Rumunią — przestali naciskać. Ale dobrze sobie zanotowali naszą postawę i przypomnieli nam to później.

Od 13 września otrzymywaliśmy wiadomości z Berlina pozwalające przypuszczać, że napaść sowiecka na Polskę jest nieunikniona. Obawialiśmy się tego od chwili zawarcia sojuszu niemiecko-sowieckiego, ale chcieliśmy wierzyć w bardziej zwiększone zastosowanie paktu Ribbentrop-Mołotow. Wydawało nam się zbyt jaskrawą niesprawiedliwością, aby Polska, która wielokrotnie — a ostatnio w dniu 21 marca 1939 — odmówiła zawarcia sojuszu z Niemcami przeciwko Związkowi Sowieckiemu, mogła obecnie otrzymać uderzenie noża w plecy od tych, których sama oszczędziła. Musieliśmy się jeszcze nauczyć jak doskonale można zastosować do Związku Sowieckiego rumuńskie przysło-

wie, które mówi: „Ten komu nie pozwolisz umrzeć — nie pozwoli ci żyć”.

Mobilizacja armii czerwonej i jej zgrupowanie wzdłuż naszej północnej granicy postawiły nas w obliczu nowego niebezpieczeństwa niezależnie od grożącego nam już ze strony Hitlera. Mołotow — pomimo deklaracji o „neutralności” w stosunku do nas — zachował się niezwykle nieprzyjemnie w rozmowie z naszym Posłem w Moskwie. 20 września zapytał go tonem pełnym gróźb co ma oznaczać azyl udzielony Rządowi Polskiemu, jego sztabowi wojskowemu i żołnierzom. Poseł Dianu usiłował powołać się na przepisy prawa o neutralności, ale Mołotow z uporem powrócił do ataku:

„Dlaczego daliście im ten życzliwy azyl? Dlaczego ci wszyscy polscy dowódcy wojskowi znajdują się u was w pobliżu naszej granicy? Czy nie grozi nam to przykrymi następstwami?”

Niepokoił nas poza tym fakt, że wojskowi dowódcy sowieccy, znajdujący się na naszej granicy, z którymi nasi dowódcy usiłowali nawiązać kontakt — pozwalali sobie również na bardzo nieprzyjemny ton. Kładli taki sam nacisk na azyl udzielony Polakom i pytali dlaczego tolerujemy te „zbrojne bandy”. Użycie tego określenia było dla nas szczególnie niepokojącym ostrzeżeniem. Mianowicie pakt o nieagresji jaki zawarliśmy z Sowietami w 1933 roku, wyliczał w art. 11 wszystkie wypadki agresji; za jeden z nich, zgodnie z punktem 5., uznano „pomoc udzielaną bandom zbrojnym”.

Nacisk z jakim wojskowi dowódcy sowieccy mówili o „zbrojnych bandach” polskich — mimo iż doskonale wiedzieli że wszystkie oddziały polskie były rozbrajane w momencie przekraczania granicy — mógł oznaczać jedynie chęć stworzenia sobie „casus belli” z rzekomego pogwałcenia Konwencji z roku 1933.

W tej niepokojącej sytuacji zdarzył się groźny wypadek wewnątrz kraju. 22 września Armand Calinescu padł od kul morderców z Żelaznej Gwardii.

Posel niemiecki przybył w galowym mundurze na pogrzeb Calinescu i teatralnym gestem złożył na jego trumnie ogromny wieniec, uroczysto salutując nazistowskim gestem. Nikt jednak nie wątpił, że zamach ukartowano w Niemczech. Horia Sima, jeden z wybitniejszych członków Żelaznej Gwardii, który w ubiegłym roku, w momencie represji, uciekł do Niemiec, wrócił teraz potajemnie i wszystko wskazywało, że to on właśnie w najdrobniejszych szczegółach zorganizował zamach. Udało mu się uciec jeszcze raz i ponownie znalazł schronienie w Niemczech.

Zabójcy Calinescu również przybyli z Niemiec. Mieli tyle odwagi, że po popełnieniu zbrodni udali się do radiostacji, opanowali ją pod groźbą rewolwerów i wygłaszali podniecające do buntu przemówienia do chwili aresztowania ich przez policję. Przy czym szef bandy krzyknął beczelnie do policjanta, który

go potrafił: „Jak śmiesz mnie ruszać? Cóż powiesz, gdy dowiesz się wieczorem, że zostałem premierem?”

Postawa ta dowodziła, że zamach był tylko częścią bardziej rozgąłżonego planu. Mieliśmy powody podejrzewać, że rząd hitlerowski chciał rzeczywiście sprowokować powstanie, kierowane przez Żelazną Gwardię. Wybrano dzień 22 września dlatego, że wojska niemieckie rzucone w pościg za Polakami w Małopolsce Wschodniej, miały tego dnia osiągnąć granicę rumuńską. Groźba ich obecności na naszej granicy wydawała się wystarczającą do takiego osłabienia autorytetu króla i rządu, by zamach się udał. To było również powodem, że zabójcy otrzymali rozkaz nie uciekania (co by im się łatwo udało), ale udania się do radiostacji i dania sygnału rewolucji.

Wojska niemieckie miały wejść do Rumunii celem „zaprowadzenia ładu”.

Ale tymczasem ruszyły wojska sowieckie i posuwały się szybciej niż można było przypuszczać. Trzeba było oddać im Małopolskę Wschodnią aby nie zakłócić wykonania paktu Mołotow-Ribbentrop. Wojska niemieckie, które przeszły już poza Lwów musiały cofnąć się aby Rosjanie mogli posunąć się naprzód. W tych warunkach Niemcy na razie zrezygnowali z projektu zajęcia Rumunii we wrześniu 1939 i odwołali wszystkie zarządzenia — wszystkie z wyjątkiem zamordowania Calinescu. Wyznaczeni sprawcy tej zbrodni opuścili bowiem Niemcy na początku września i ukrywali się w Rumunii, w lasach otaczających Ploesti. Ponieważ nie zostali na czas uprzedzeni rozpoczęli akcję według pierwotnego planu.

Zamordowanie Calinescu uwolniło Hitlera od jednego z najbardziej energicznych przeciwników w Rumunii. Ale szybkość marszu sowieckiego nakazała mu odłożyć na później zawładnięcie Rumunią.

Alexandre CRETZIANU

(Tłumaczyła Zofia HERTZ)

Przyczynek do biografii Rokossowskiego

Nawet w środowiskach hiszpańskich niewiele osób orientuje się, że marszałek Rokossowski odegrał bardzo poważną i tajemniczą rolę w czasie wojny cywilnej w Hiszpanii.

Na kilka miesięcy przed niełaską i egzekucją Tuchaczewskiego Rokossowski aresztowano i zesłano na Syberię w okolice pomiędzy Karagandą a Mołotowem. Spełniał tam funkcje kierownika „lagru” i doradcy zwierzchnika wszystkich obozów koncentracyjnych, znajdujących się w tym rejonie. Tam zastał go wybuch wojny w Hiszpanii i stamtąd wysłał go Stalin, zlecając mu bardzo konkretną misję. Konkretną i tajemniczą.

Pierwszym zadaniem Rokossowskiego było zorganizowanie sieci szpiegowskiej w obozie Franco; posłużył się do tego celu zarówno elementem hiszpańskim jak i cudzoziemskim. Moskwy interesowali najbardziej wojskowi Niemcy, ich taktyka, strategia, samoloty i broń. Te zagadnienia pochłaniały całkowicie Stalina od chwili dojścia Hitlera do władzy, a zwłaszcza od podpisania paktu antykominternowskiego. Rokossowski w krótkim czasie uruchomił tajny aparat policyjny hiszpańskiej partii komunistycznej, używając do tego celu przede wszystkim cudzoziemców, których był pewny. Aparat ten wykonywał tajne egzekucje, przygotowywał prowokacje i sprzysiężenia, usprawiedliwiając w ten sposób nieustanne represje i stopniową likwidację policyjnych i syndykalnych organizacji hiszpańskich, które nie chciały podporządkować się komunistom. Rokossowski rozpoczął również likwidację członków Brygad Międzynarodowych, przeciwnych komunizmowi, oraz likwidację potencjalnej opozycji i tych ludzi, którzy wiedzieli zbyt dużo i którzy pewnego dnia mogli ujawnić całą prawdę. Poza tym zorganizował tajne komórki wewnątrz jednostek czołgów, artylerii i lotnictwa. Jego misja zmierzała do wyeliminowania w ostatniej fazie wojny cywilnej wszystkich elementów wojskowych zarówno hiszpańskich jak i cudzoziemskich, które przeciwstawiały się dyktaturze stalinowskiej oraz do likwidacji licznych komunistów „letnich” i rozczerawianych, to jest tych wszystkich, którzy mogli wyrządzić szkodę komunizmowi przez sam fakt, że znali prawdziwe powody interwencji Kremla w Hiszpanii oraz potworne zbrodnie popełniane przez jego agentów. Rokossowski miewał częste spotkania: z generałem Walterem, którego prawdziwe nazwisko brzmiało Świerczewski (zginął później z rąk członków Polskiego Podziemia); z majorem Orłowem (*), specjalnym wysłannikiem Stalina i N.K.W.D. w Madrycie; generałem Gomezem (prawdziwe nazwisko Wilhelm Zeisser, szef służby bezpieczeństwa w Niemczech Wschodnich, który padł w niełaskę); z majorem Carlos J. Contreras, starym agentem i zawodowym mordercą N.K.W.D. (prawdziwe nazwisko Vittorio Vidali — obecny szef komunistów w Trieście i współpracownik Palmiro Togliatti w walce przeciw Jugosławii Tita); z „Alfredo” (Palmiro Togliatti), Gallo (Luigi Longo, wojskowy dowódca komunistów włoskich), André Marty (ponury i na wpół szalony „rzeźnik z Albacety”) oraz z Franzem Dalhem (jeden z głównych przywódców komunistów niemieckich). Wszyscy oni mogliby dużo powiedzieć o bezmiernych zbrodniach jakie zostały popełnione.

Mniej więcej w dwa miesiące po przybyciu do Związku sowieckiego spotkałem Rokossowskiego na ulicy w Moskwie. Zobaczył mnie pierwszy, podszedł do mnie z wielką uprzejmością i powiedział, że odpoczywa obecnie w stolicy, czekając na nowe zadanie, jakie mu będzie powierzono. To był jednocześnie ostatni raz kiedy go widziałem. O wiele później dowiedziałem się, że przebywał w wielu obozach koncentracyjnych na Uralu, w okolicach Mołotowa w Kazachstanie jako zesłaniec a jednocześnie organizator obozów. Wydawało się, że to była jego prawdziwa specjalność.

W niedługim czasie po rozpoczęciu inwazji niemieckiej na Związek Sowiecki, w chwili gdy Moskwa była zagrożona, Rokossowski napisał bezpośrednio do Stalina zaofiarowując mu, że zorganizuje wojskowo zesłańców politycznych, znajdujących się w obozach koncentracyjnych. Dyktator z miejsca przyjął tę propozycję. Z dnia na dzień we wszystkich obozach koncentracyjnych, w których znajdowali się więźniowie polityczni, pojawiły

(*) To był ten sam Orłow, który z sadyzmem dręczył w siedzibie swojej „czeka” w Alcalá de Henares, André Nin, lidera P.O.U.M. i wobec odmowy „pokajania się”, zainscenizował porwanie i zamordował go. Ta zbrodnia wywołała oburzenie nie tylko w Hiszpanii, ale w całym świecie.

się fotografie Rokossowskiego, obsypanego orderami, oraz apele wzywające do zapisywania się na ochotnika do wojska w obronie zagrożonej przez najeżdżące ojczyzny (**).

Rokossowski, zesłaniec jak i oni — wzbudzał zaufanie. Do wojska przyjmowano jedynie tych więźniów, którzy byli przynajmniej jeden raz skazani z powodów politycznych. W ten sposób przyjęto również wielu zbrodniarzy i zwykłych przestępców. Warunki dla wступających do wojska były niezmiernie ciężkie: przyjęci nie mieli prawa komentować żadnego rozkazu wojskowego, ani cofać się przed wrogiem, ani zawahać się przed pójściem na pewną śmierć, jeżeli uważano że to było potrzebne. Ranni nie mieli prawa do pomocy czy zabierania ich z pola walki, w czasie jej trwania — co w zasadzie skazywało na śmierć tych nielicznych, którzy nie ginęli na miejscu. Na tyłach armii mogli korzystać z wolności, mieli swoje szpitale i swoją służbę zaopatrzenia, ale — pod karą surowych sankcji — w żadnym wypadku nie mieli prawa przyłączenia się do innych formacji wojskowych, spotkania się z nimi czy rozmawiania z ludnością cywilną na tematy polityczne i wojskowe. Niezależnie od tego wszyscy bez wyjątku więźniowie polityczni, nawet dawni oficerowie, przez pierwsze sześć miesięcy mieli walczyć w szeregach jako zwykli szeregowi; tym, którzy okres ten przeżyją, miały być przywrócone dawne stopnie wojskowe, jeżeli przez cały czas byli przykładem dla innych, to znaczy jeżeli wykonali wszystko to, czego od nich żądano. Obiecano im wzamian umorzenie po wojnie ich kar oraz — rzecz o wiele cenniejszą — skreślenie z ich dossiers wszelkich śladów przestępstw i wyroków. Miało to być wynagrodzenie za ich patriotyzm.

W czasie trwania wojny w oddziałach tych zginęło nie mniej niż 700 tysięcy ludzi — dawnych deportowanych i więźniów politycznych. Byli to najlepsi synowie Związku Sowieckiego przemieszczeni ze zwykłymi przestępcami: ci ostatni byli w mniejszości, ale zwykle traktowano ich lepiej. Bywały walki, w których brało udział po pięć dywizji, a każda składała się z 14.000 ludzi w chwili rozpoczęcia natarcia. Wracalo z tego pięciuset.

Biorąc pod uwagę specjalnie ciężkie warunki w jakich te oddziały musiały się bić, śmiertelność była przerażająca. Ci, którzy nie spełniali wszystkich warunków byli traceni przez oficerów lub towarzyszywo broni.

W dwa miesiące po zakończeniu działań wojennych Rokossowski, na polecenie przełożonych, przystąpił do demobilizacji swoich bohaterskich oddziałów. Liczyły one w tym momencie około 200.000 ludzi. Wszyscy spełnili postawione im warunki, ale dane im wzamian obietnice nie zostały dotzymane. Uznano ich za specjalnie niebezpiecznych. Do pewnego presztizja jakim cieszyli się jako więźniowie polityczni, doszła legenda bohaterstwa. Ponadto do znajomości warunków życia w obozach koncentracyjnych doszła, nabyta w czasie wojny, umiejętność obchodzenia się z nowocześnie bronią. Zesłano ich więc z powrotem do „łagrow”. Warunki ich obecnego zesłania są jeszcze gorsze niż przed wojną, gdyż nie mają już złudek, by mogli z obozów wyjść żywi.

Marszałek Rokossowski był uważany za człowieka bezgranicznie oddanego Stalinowi. „Demobilizację” wykonał sprawnie i dokładnie, bez najmniejszych względów dla oficerów czy dawnych towarzyszy, z których wielu zdobyło po kilkanaście odznaczeń bojowych. Nazwisko Rokossowskie

(**) Widziałem w Związku Sowieckim w czasie wojny wzmoczony patriotyzm. Wychwalano do przesady wszystkie wielkie postacie z okresu caratu, śpiewano carskie hymny, zwracano się o pomoc do kleru. Wszystko to w imię „wiecznej ojczyzny” i „wiecznej Rosji”. Czy tym samym Stalin nie przyznawał się do upadku Rewolucji?

go okryte jest hańbą w oczach wszystkich jego podkomendnych: uważają go za zdrajcę.

Rokossowski otrzymał dwadzieścia dwa odznaczenia: myślę, że jest on najbardziej „udekorowanym” żołnierzem Związku Sowieckiego. Ale — gdy wojna się skończyła — „Prawda” zamieszczała jedynie bardzo rzadko fotografie tego „dobrego syna sowieckiej ojczyzny”, wydawało się, że znowu nastąpił jego zmierzch. W roku 1946 wysłano go znów dla zorganizowania obozów koncentracyjnych w rejonie Mołotowa i Swierdłowska na Syberii.

Niewątpliwie wszyscy byli niezmiernie zaskoczeni, gdy w 1949 roku Rokossowski mianowany został naczelnym wodzem armii polskiej i ministrem wojny tego nieszczęsnego kraju. Po raz pierwszy Kreml postawił na czele państwa satelickiego prawdziwego rosyjskiego „Gauleitera”. Polska stanowiąc naturalny pomost między Związkiem Sowieckim a Niemcami jest kluczową pozycją strategiczną, polityczną i gospodarczą.

To tłumaczy wszystko. Na tym stanowisku wszystkie talenty Rokossowskiego mogą być przydatne.

Julian GORKIN

List do Redaktora

Drogi Panie Jerzy,

Czytając w numerze 12/74 „Kultury” dziennik p. Sokolnickiego pt. „W służbie Komendanta”, trafiłem w nim na passus, który wprowił mnie w wielkie zakłopotanie. Autor mówi w nim o spotkaniu — w styczniu 1919 w Paryżu — z delegacją litewską, o której wyraża najniepochlebniejsze mniemanie. „Wszyscy ci ludzie — pisze p. Sokolnicki — z wyjątkiem może Mostowskiego, to typy sprzedajne i do głębi przewrotne: Gabrys, znany dawny agent moskiewski, potem pruski; Olszewski — wyrafinowanie przebiegły ksiądz, kupiony w swoim czasie agent niemieckiej Taryby; Rozenbaum — parszywiec i łgarz”.

Powyższy ustęp znajduje się w dziale materiałów do najnowszej historii Polski, ogłaszanych na odpowiedzialność autorów. Wątpię jednak aby można było uznać za „dokument historyczny” tekst przygotowany do druku przez autora cieszącego się ku powszechnemu zadowoleniu najlepszym zdrowiem i dotyczący osób przebywających na emigracji i cieszących się również najlepszym zdrowiem. J. P. Gabrys np. gospodaruje w tej chwili na swej fermie szwajcarskiej. Jeżeli zaś chodzi o adwokata Rozenbauma, przypuszczam, że mowa jest o późniejszym ministrze rządu litewskiego. P. Rosenbaumas nie żyje, lecz zostawił — o ile wiem — syna i córkę żyjących na emigracji.

Trudności, na jakie od wielu lat natrafia publikacja dziennika Goncourt'ów, świadczą wymownie, jak śliską rzeczą jest, nawet w materii literackiej, ogłaszanie drukiem nieskrepowanych sądów o osobach żyjących lub posiadających wśród żywych bliską rodzinę. Tym większe wątpliwości budzić musi wypowiadanie drukiem o osobach żyjących sądów, zresztą bliżej nieumotywowanych, w wyrazach słusznym tytułem uchodzących za uwłaczające. Dziwnie zresztą brzmią wyrazy „agent niemiecki” — mające dziś, nawiasem mówiąc, wydźwięk bardziej obelżywy niż w 1919 — w ustach pełnomocnika Piłsudskiego, który tak niedawno jeszcze walczył był po stronie Niemiec.

Sądę, że wyrażę nie tylko moją własną, lecz także myśl wielu innych czytelników, wypowiadając przypuszczenie, że wyżej przytoczony passus

mógł się ukazać w „Kulturze” tylko dzięki podwójnemu przeoczeniu autora i wydawcy. Dodam tu życzenie, aby — dla dobrych obyczajów i dobrej sławy emigracji — memorialiści i publicyści polscy, pisząc o ministrach i politykach krajów bałtyckich — nawet jeżeli dla ważnych motywów nie mogą z nimi sympatyzować — nie używali wyrazów obelżywych. Jeżeli zaś żadną miarą nie potrafią się od tego powstrzymać, aby nie robili tego na łamach „Kultury”.

Razi mnie także sąsiedztwo słów „parszywiec” i „żydowski adwokat”. Żydów litewskich i polskich pozostała dziś niewielka garstka. W obliczu wielkiej mogiły, w której — razem z innymi ofiarami najazdu niemieckiego — pogrzebano kilka milionów Żydów litewskich, polskich, ukraińskich, węgierskich i rumuńskich, wydaje mi się, że nawet mówiąc o czasach dawniejszych wypada dziś zachować oględność języka.

Łączę najserdeczniejsze pozdrowienia

Paweł HOSTOWIEC.

P. S.: W rozmowie z delegatami Litwy p. Sokolnicki wypowiedział życzenie odnowienia unii polsko-litewskiej, życzenie wypowiadane wówczas i później przez wielu i idące po myśli większości Polaków, mających zresztą najczęściej o tego rodzaju paktach tylko niejasne pojęcie. Układy takie przypuszczają istnienie pewnego klimatu politycznego, jakiego ani wówczas, ani później nie było i jakiego — jak można wnosić — nie ma i teraz na emigracji. Wytworzenie jego musiałoby poprzedzić wszelkie poważne propozycje. Odtworzenie warunków, w jakich zawierano niegdyś pierwsze pakt polsko-litewskie, wymagałoby zapewne, aby p. Sokolnicki przyjął do swego herbu pp. Gabrysa i Rozenbauma lub zrobił pod ich adresem jakiś gest równoważny, bliższy pojęciom naszych czasów.

Jeżeli chodzi o klimat lat 1919-1920, obawa przed „polskim panowaniem” była uczuciem najbardziej rozpowszechnionym wśród ludu Litwy i Łotwy. Na wiadomość o „buncie” Żeligowskiego nawet chłopci łotewscy — nie mówiąc już o Litwie — zaczęli uciekać z pogranicza polskiego na północ, jak gdyby w przecuciu późniejszej pacyfikacji Galicji. Stąd również rozpowszechnione w tych krajach mniemanie, że niepodległość ich opiera się o równowagę sił między Niemcami, Polską i Rosją i próby sondowania intencji i możliwości tych trzech krajów. Sytuacja taka otwierała szerokie pole intrydy politycznej. Litwinów np., spotykając w swych podróżach mniej „wyrafinowane przebiegłych” Polaków, miał zwyczaj zaczynania z nimi rozmów o tym, że nie byłoby być może najgorzej podzielić kraje bałtyckie wzdłuż Dźwiny między Rosję i Polskę. Przypuszczać można, że nie mógł sobie odmówić przyjemności powtarzania później tych rozmów w Kownie. Nie przypominam sobie, aby podczas dwudziestoletniej niepodległości zrobiony został ze strony polskiej jakiś poważny wysiłek w celu naprawienia tej sytuacji.

Wracając do sprawy wytwarzania klimatu stosownego dla unii i federacji, chciałbym przytoczyć tu pewien dokument, który znalazłem przed paru miesiącami w argentyńskiej gazecie i który być może da do myślenia federalistom emigracyjnym. Okoliczności jego powstania są następujące. Generał Peron, prezydent Argentyny, propagujący obecnie myśl zbliżenia gospodarczego między krajami Ameryki łacińskiej, podpisał jesienią ubiegłego roku ramową umowę handlową i finansową z Paragwajem, chcąc zaś stworzyć pomyślny klimat dla konkretnych rokowań, ogłosił ludowi zgromadzonemu na plaza de Mayo, w dzień uroczystego obchodu rocznicy swego dojścia do władzy, rodzaj deklaracji noszącej nazwę „dziesięciu przykazań przyjaźni argentyńsko-paragwajskiej”. Poniższe tłumaczenie streszcza jedynie sens tego dokumentu, nie oddając uroczystej grandilowencji hiszpańskiego oryginału. Oto treść tego „dekalogu”:

Art. 1. Każdy Argentyńczyk wiedzieć powinien, że oba narody, zachowując swą suwerenność, są braćmi, wskutek czego każdy obywatel Argentyny powinien pracować dla sławy i dobrobytu Paragwaju z takim samym zapalem i oddaniem, jak robi to dla dobra własnego kraju.

Art. 2. Argentyńczycy mają od dziś uważać obywateli Paragwaju za rodaków. Uczucie to jest nakazem honoru narodowego.

Art. 3. Wszyscy Argentyńczycy zobowiązani są starać się, w granicach swych możliwości, o wzajemne zbliżenie obu narodów.

Art. 4. Rząd, państwo i naród argentyński użyją wszystkich swych środków, aby oprzeć na trwałych podstawach sprawiedliwość społeczną, niezależność gospodarczą i suwerenność narodową Paragwaju, jak gdyby chodziło o własny kraj.

Art. 5. Każdy wiedzieć powinien, że unia gospodarcza Argentyny i Paragwaju nie wyklucza przystąpienia do niej innych krajów południowo-amerykańskich, że nie jest skierowana przeciw nikomu i ma na celu jedynie sławę i dobrobyt obu narodów.

Art. 6. Organizacje społeczne, gospodarcze i polityczne Argentyny mają obowiązek nawiązania najściślejszych stosunków z takimiż organizacjami Paragwaju. Rząd postara się ułatwić im to zadanie.

Art. 7. Władze ustawodawcze Argentyny zaproszone są do współpracy nad urzeczywistnieniem unii gospodarczej obu krajów.

Art. 8. Władze administracyjne argentyńskie, federalne i prowincjonalne, zobowiązane są, zwłaszcza w okęgach pogranicznych, do lojalnej współpracy z takimiż władzami Paragwaju.

Art. 9. Każdy czyn mogący szkodzić wspólnym interesom Argentyny i Paragwaju będzie uważany za uchybienie godności narodowej.

Art. 10. Unię gospodarczą Argentyny i Paragwaju składamy w ręce obu narodów, oddając ją opiece Boga, będącego źródłem wszelkiej miłości i sprawiedliwości, aby nie uległa egoizmowi i obłudzie, lecz trwała wiecznie, na równi ze skromnością i umiarem obu narodów w ich wzajemnych stosunkach.

PREUVES

REVUE MENSUELLE LITTERAIRE ET POLITIQUE
MARS

ARTHUR KOESTLER : Petit guide des névroses politiques;
ALDOUS HUXLEY : La Foi, le Goût et l'Histoire; THIERRY
MAULNIER : La politique ou la pitié?; RAYMOND ARON :
La révolte asiatique connaît-elle ses limites?; ANDRE BERRY :
Poèmes. Présentation d'Yves Gandon

Et la nouvelle pièce de FRITZ HOCHWALDER
DONADIEU (Acte I)

Introduction de Jacques Lemarchand

CHRONIQUE : L'actualité politique, littéraire et artistique.

PREUVES : 23, rue de la Pépinière, Paris (8°).

Téléphone : EUROPE 55-15 à 17 — C.C.P. 17.800 Paris.

Le N° de 112 p. illustrées, France : 120 fr. — Etranger : 150 fr.

En vente dans les kiosques et dans les librairies.

Kronika kulturalna

"Jajeczniczka"

„Na szczęście, że ja nie odkryłem swojej manieri, jakżeby to mnie nudziło” — rzucił Degas na temat malarza, który swoją manierę znalazł.

D. ROUART o Degasie.

Ile razy wchodzę sam w malarstwo tyle razy postanawiam nie pisać o malarstwie, a w szczególności o aktualnościach malarzkich. Sam tkwiąc w tej robocie widzę jej trudności, osaczony jestem wątpliwościami; przy tym po co sobie jeszcze dodawać płaszczyzn tarcia z nielicznymi kolegami malarzami. Ale cóż kiedy PEKAM. Praca malarska stwarza pewne narastanie świadomości w tej dziedzinie i wtedy przemilczanie swoich wrażeń i wniosków fałszuje stosunki z ludźmi i nawet mąci stosunek do samej sztuki.

Na naszym emigracyjnym odcinku malarskim trafiłem na parę zdarzeń, które wymagają oceny w „Kulturze”, sam zaś nie chciałbym się wymigać milczeniem, albo tym co Stanisław Witkiewicz nazywał „karmelkami pobłażliwości”.

AKTUALNOŚĆ I RYSUNEK

Topolski to jedyny chyba współczesny malarz polski, który doszedł poza granicami kraju do takiego rozgłosu — jest on na terenie brytyjskim chyba pierwszym ilustratorem.

Oryginalność Topolskiego, jeszcze z czasów warszawskiego Ipsu, polegała na tym, że nigdy nie gardził aktualnością, nigdy nawet nie dotknął uważniej Cézanne'a, malarstwa czystego, abstrakcji czy nawet martwej natury. Za to rysunki z koronacji Jerzego VI w 1936 roku, które ukazały się wówczas w „Wiadomościach Literackich” były odkryciem stylu Topolskiego. Ilu-

stował on tematykę najbardziej poważną, nawet pompatyczną z werwą i humorem. Pamiętam z tamtych czasów stopy jego rysunków, gdzie nerwowa kreska, roztarty kleks, nagła kolorowa plama były na usługach rzadkiego zmysłu psychologicznego prawie zawsze na granicy karykatury.

Wojna, super-aktualność, stworzyła Topolskiemu sławę w Anglii. Tomy jego rysunków: Londyn w czasie bombardowania, Wojsko polskie, Rosja sowiecka, podróż naokoło świata, zawierają strony, które chyba *zostaną* jako artystyczna transpozycja tych lat. Rysunków tych było i jest niestety zbyt dużo, obok delikatnych, podkolorowych szlachetnie lavis (Tiepolo?), obok błyskawicznych rysunków piórkiem (czasami Daumier, czasami Delacroix przychodzili mi na myśl), ileż było rysunków niedbałych, chaotycznych, straszliwie wypadkowych; oglądanie ich nużyło do tego stopnia, że wprost obrzydzało sam styl Topolskiego. Ma on już dzisiaj wielu naśladowców i ta „topolszczyzna” nie służy jego sławie.

W ubiegłym roku Topolski wpadł na pomysł wydawania pisma ilustrowanego (wyłącznie rysunki artysty (*)). Pomysł świeży w okresie kiedy ogromny odłam malarzy tonie w malarstwie abstrakcyjnym, zaś fotografie i comics'y — a więc rysunki na najniższym poziomie — od których roją się pisma ilustrowane, zwiększyły mimo wszystko zapotrzebowanie na wrażenia wzrokowe. Topolski podjął próbę *ilustracji artystycznej* — aktualności.

Mam przed sobą dwanaście numerów *Topolski's Chronicle*. Co grozi i artyście i samemu pismu to *degradacja* stylu Topolskiego, już nie przez naśladowców, ale przez samego artystę. Trudno o większą różnorodność tematyki (Churchill i Ghandi, Pakistan i ruiny Warszawy, Ściana Płacu i Hiszpania, koniarze angielscy i Murzyni) i większą monotoność techniki. To ostatnie jest niekoniecznie zarzutem: Constantin Guysa, ilustratora niezrównanej subtelności, cechowała również monotoność techniki. Ale trudno także o większą *nierówność* klasy artystycznej.

Kiedy Delacroix był stary, jeden z jego przyjaciół chciał wystawić paręset jego rysunków, które zbierał przez całe życie. Delacroix zachnął się: „nie rób tego — za dużo jest tam rysunków *złych*”. Potem zastanowił się i dodał: „Wystaw je przecie, niech ludzie widzą co znaczy ta moja osławiona łatwość”. Stary Degas wszedł raz do swojej pracowni zawałonej tysiącami rysunków i powiedział: „*Parę* z tych rysunków zostanie”. Różnica między Delacroix, Degasem i Topolskim to jednak zupełnie inny poziom *żądania* od siebie.

Skąd ta względność wobec siebie Topolskiego? Czy to może haracz sławy, a może wprost brak rozeznania? Zalety kucharza bada się, zamawiając u niego potrawy najprostsze („jajeczniczkę”, jak mi powiedział pewien mistrz sztuki kuchennej, laureat nagrody Związku Literatów). Tą jajeczniczką dla artysty jest

(*) *Topolski's Chronicle*, 14, Hanover Terrace, London N.W.1.

zwyczajny rysunek, nie drzeworyt, nie miedzioryt, nawet nie olej: zwyczajny rysunek na zwyczajnym papierze. Topolski w rysunkach swoich obnaża przed nami także swoje wielkie braki. A przecie już to świadczy za Topolskim, że chcąc mu stawiać zarzuty porównujemy go do rysowników najlepszych.

Pisanello, cóż za czujność, ścisłość kreski i jej nasilenia; Rembrandt — spokojne rozłożenie brył, równowaga światła i cienia przy *pozornym* chaosie błyskawicznych kresek — niechybna kompozycja; bliżej w czasie: Daumier, który tak jak Topolski kładzie czasami dziesięć kresek zamiast jednej żeby narysować plecy czy ramię robotnika jedzącego zupę, a rysunki Degasa, które przerysowywał po osiem razy przez kalkę, lub coraz to wracał do przekomponowywania tego samego ruchu, tej samej kompozycji; Bonnard, gdzie nagle efekt migotliwy wody, ruchu pieszka na ulicy czy czarnej chmury jest wywołany aż dziecinnie prostym, nieoczekiwanym efektem kreski czy kropki i nigdy Bonnard nie powtarzał Bonnarda. Patrząc na te rysunki mistrzów coraz to nam się zdaje że to takie proste; zdaje się nam, że jesteśmy już, już blisko nich i potem znowu odczuwamy, że dzieli nas od nich *przestrzeń* nie tylko wyższej umiejętności, ale jakości samego przeżycia, jakiego ci artyści doznali i są w stanie wyrazić.

W *Topolski's Chronicle* mamy parę rysunków więcej niż efektownych, naprawdę dobrych: przede wszystkim głowy, kapitalne portrety Churchilla, Wellsa, Shawa i wielu innych — co za uchwyt psychologiczny tak rzadki dzisiaj u artystów; pejzaż Jerozolimy, która jakby ęmi w słońcu, czy mroczne postacie księży hiszpańskich w czarnych, płaskich kapeluszach i brutalne twarze dostojników. Ale obok tego, o ile słabsze od dawnych sprzed dwudziestu laty, rysunki ostatniej koronacji (a przecie do telewizji amerykańskiej dał Topolski z teje koronacji delikatne, kolorowane rysunki — uroczę), albo konfesonat w Sewilli, nie dbały i okropny (Nr 7), czy równie lichy: żołnierze na ulicach Madrytu (Nr 6), albo walki byków — na te ostatnie rysunki trudno patrzeć, jeżeli wspomnimy tę samą tematykę w ujęciu Goyi czy Picassa. Już nie mówię o kobiecie z bujnymi piersiami i końskim zadem (Nr 7), godnym „Muchy” czy „Bociana” sprzed 40-tu lat. Jeżeli Topolski chce żeby jego wydawnictwo przetrwało i aby coś po nim pozostało, musi więcej swoich rysunków rzucać do kosza.

RYSUNEK RELIGIJNY

Jeżeli Topolski jest już dziś malarzem angielskim, czy anglo-polskim i należy do społeczeństwa angielskiego, to Marian Bohusz-Szysko tkwi w samej miasteczce naszej emigracji. Swoją pasją sztuki potrafił zarazie oporny na plastykę światek polski, miał dosyć serca, uporę i autorytetu, by zgrupować koło siebie młody zespół malarzy i — co może jeszcze trudniej — wywalczyć dla nich w „Orle Białym” lokal w którym ci młodzi (wielu z nich

pracuje w fabrykach), w sobotę i niedzielę malują modela. Ten artysta ma za sobą wiele lat pracy malarskiej i pedagogicznej, a w obozach niemieckich zrobił setki portretów rysunkowych, które świadczyły, że operować umie przeróżnymi technikami rysunkowymi, wirtuozynie, i że naturę obserwuje z wielką ścisłością. Oficyna Gliwy na pewno wiele mu zawdzięcza. Nie wypadkowa jest dedykacja Bohuszowi-Szyszkowi najestetyczniej wydanych w Oficynie Gliwy „Strof o malarstwie” Przyłuskiego, hołdu poety dla malarzy od Fra Angelico, Filippo Lippi do Corota, Cézanne’a, Rouaulta (czyżby rzeczywiście Polacy, którzy — jak pisał Górnicki — „delicatum pelatum od niedawna mieć poczęli”, Polacy, którym Gombrowicz zaleca by sztukę traktowali „z góry po polsku” — zaczęli naprawdę interesować się sztuką?).

Dziś Oficyna Gliwy wypuściła luksusowo wydaną tekę 16-tu rysunków pędzlem, opatrzonych obszernym wstępem Stefani Zahorskiej z rozważaniami o sztuce religijnej, o „metafizycznej zadumie”, o Mehofferze, Bohuszu-Szyszkowi i o... Simone Weil(*).

Bohusz-Szyszko zrobił sobie złą przysługę wybierając te, a nie inne rysunki. Patrząc na nie pomyślałem znów o szybkości z jaką w czasie pewien styl, nawet najlepszy, ulega degradacji. Te rysunki machnięte grubym pędzlem to przecież czysty Matisse bez jego gry skrajnie świadomej i wyszukanej, pomimo prostoty. Miejscami myślimy znów o Rouault.

Matisse — jego wpływowi ulegaliśmy wszyscy — wprowadził ten rysunek syntetyczny, który wszyscy znamy z pięknych wydawnictw, jakie można oglądać w każdej już dziś kulturalnej księgarni na całej kuli ziemskiej. Ale nawet Matisse puszcza w świat i takie rysunki, które pokazania nie są warte. Jednak, gdy ostatecznie pomyślimy, że starzec zaważył na malarstwie światowym i dziś, nie opuszczając łóżka, bawi się tymi rysunkami i wycinankami — oglądamy je ze wzruszeniem nawet gdy są słabsze. Sam mam do tego typu rysunku pasję i wiem jak łatwo, najszczyrczej przeżywając, wpaść w banał, którego się nie ustrzeżł Bohusz-Szyszko.

Co wiąże te rysunki z Rouaultem? Tematyka religijna. Gdy spytano Cézanne’a, który był człowiekiem głęboko wierzącym, dlaczego nie maluje Chrystusa Ukrzyżowanego, odpowiedział: „Nie śmiem”. Bohusz-Szyszko ma śmiałość malować i rysować Chrystusa. Może to znak czasu. Czytamy w przepisach cechu lwowskiego malarzy z roku 1595 „pierwsza sztuka ma być krucyfiks z dwiema łotry i turbą żydowską, pod krzyżem zagęszczoną”. Tu znówu w naszych czasach przełamał opory uparty, przez lata zupełnie samotny Rouault. Jego płótna Chrystusa Umęczonego to data w historii nawrotu do tematyki religijnej, natchnionej nie przesłodzonymi obrazkami St. Sulpice, ale auten-

(1) Bohusz-Szyszko Marian, *Rysunki*. Zahorska Stefania, *Studium*. Teka, zawierająca 16 rysunków i 11 stron tekstu. Nakładem Społeczności Akademickiej U.S.B. w Londynie. Drukiem Oficyny Stanisława Gliwy, Londyn, 1953.

tycznym nurtem religijnym i witrażami średniowiecznymi. Najlepszy rysunek w tece Bohusza „Madonna” przypomina bardzo techniką Rouaulta. Obraz czy rysunek tematyczny musi być jednak sądzony inaczej niż dzieło sztuki, gdzie tematyka jest obojętna. Jeżeli mogę się cieszyć z siły gry czarno-białej na twarzy mężczyzny (rysunek nr 10), czy krytykować martwą naturę (rys. nr 13), gdzie kreski, bez powodu zawiadiackie i monotonne zarazem, deformują przedmioty, nie mogę sądzić wyłącznie pod kątem kreski rysunków ilustrujących najświętszą tematykę. Jak można było wydać rysunek zatytułowany „Ostatnia Wieczerza”, kiedy każdy widz nie uprzedzony, który nie zajrzy do spisu ani do wstępu może w tym widzieć równie dobrze posiedzenie Głównej Komisji Skarbu Narodowego albo zebranie towarzyskie w cukierni Dakowskiego. Widywałem wiele rysunków Bohusza, które bardziej zasługiwały na piękną szatę wydawniczą Oficyny Gliwy.

I Gliwa i Bohusz-Szyszko powinni pamiętać, że ten nakład pracy, ten smak graficzny — nie obronią na dalszą metę wydawnictw, jeżeli rysunki i teksty będą słabe.



Niech mi koledzy wybaczą moją szczerość, ale bądźmy dla siebie okrutniejsi — może to nam się tylko przydać. Zawsze wraca mi na myśl Degas, ten stary, ślepny król Lear rysunku, który pisał do przyjaciela de Valerne w 1890 roku: „Byłem i zdawałem się być twardy przez jakieś włożenie się w brutalność...powodem było wątplenie i zły humor. Czulem się tak lichy, tak źle uzbrojony, tak miękki wtedy gdy moje obliczenia w sztuce były tak wierne”.

Degasowi, gwałtownie surowemu, którego nigdy nie opuszczała świadomość własnych braków, zawdzięczamy najpiękniejsze rysunki XIX wieku, ale bo też miał on ciągle uwagę utkwioną w przyszłość.

„Nie warto by żyć — mówił w późnej już starości — gdybyśmy nie mieli wiary w to co zrobimy za dziesięć lat”.



W Nr 75/76 „Kultury” Torosiewicz orzekł proroczco że za sto lat nikt nie będzie w stanie oglądać obrazów Bonnarda. Nie rozumiem dlaczego dla swego dyskwalifikującego proroctwa wybrał właśnie Bonnarda, jednego z wielkich i chyba najskromniej, najautentyczniej, poetycznego artystę naszych czasów, który na przełomie XIX i XX wieku wśród walk hulaśliwych coraz to nowej awangardy nie uganiał się za żadnym rewolucjonizmem i był wierny swej tak intymnej i czulej wizji świata, górując nad innymi sam o tym nie myślał i jakby nie wiedział. Skąd nagle niechęć Torosiewicza właśnie do Bonnarda, który zresztą w sztuce swojej prowadzi dalej tę samą tradycję malarską co Boudin, którego znów z tajemniczych powodów Torosiewicz wyłącza ze swego druzgoczącego osądu malarstwa XIX wieku. Cóż winien Bonnard, starzec uśmiechnięty, który parę dziesiątków ostatnich lat przeżył na południu Francji, oderwany od świata, z ciężko chorą żoną, zakochany

w drzewach i kwiatach, malujący po raz nie wiem który stół przykryty kolorowym obrusem, kosze gdzie świeciły piękne owoce, lub rysował swego tłustego jamnika, którego nosił pod pachą wracając z pejzażu — aby się piesek znanadto nie zmęczył. Ileż radosnej kontemplacji, ile prawdy w tych obrazach, które nigdy nie są „bez powodu” i zawsze wyrażają przeżycie, nigdy zrzeczność.

Pomyślałem że w tej reakcji anty-bonnardowskiej wiele jest *naszej* winy, winy *mojej* generacji gdzie nie było malarza z prawdziwego zdarzenia, który by czegoś Bonnardowi nie zawdzięczał. Jak szybko pewna malarska wizja, pewien styl degradują się, dzięki epigonom, a w naszym okresie „przyspieszonej historii” degradują się jakby coraz szybciej. Ale sprawą krytyka jest rozróżnienie mistrza od naśladowców.

Przypominam sobie moją ostatnią rozmowę z Zygmuntem Waliszewskim w 1936 roku w Krakowie. Entuzjasta Bonnarda (wpływ Bonnarda sam przeżywał od lat) tłumaczył mi z namietnością jak ten artysta może być w Polsce szkodliwy. Przecież to malarstwo tak wyszukane, tak nawiastwione wyrasta z potężnej francuskiej tradycji malarskiej. Ludzie bez tej tradycji, bez tej kultury widzą w nim „smaczki”. To co u niego było koniecznością i naprawdę wyższą matematyką malarstwa, staje się u jego płytkich wyznawców tylko dekoracyjnością. U Bonnarda każda nowa harmonia barwna wyrastała z jedyne go przeżycia otaczającego świata i jedynej w swoim rodzaju wrażliwości i wiedzy o kolorze.

Reakcja przeciwko Bonnardowi jest reakcją przeciwko łatwiznie bonnardystów, którzy zaplatali nawet tak poważnie na malarstwo patrzącego krytyka jak Torosiewicz.

Józef CZAPSKI

Kongres poetów

„Dziennik Poetów” wydawany przy ulicy Księżyca (rue de la Lune 158 w Brukseli) a ściślej redaktor Pierre Louis Flouquet, wystąpił z inicjatywą dość księżycową: zwołania międzynarodowego kongresu poetów. Upór popłaca: inicjatywa stała się rzeczywistością. Pierwsze „Biennale Internationale de Poésie” odbyło się we wrześniu 1952 roku w miejscowości nadmorskiej Knokke-Le Zoute. Wzięło udział w tym zjeździe około dwustu poetów z 30-tu krajów.

Wyszła niedawno książka zawierająca teksty głównych prelekcji ogłoszonych na zjeździe (*). Tematem dyskusji były dzieje poezji w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat. Patronował jazdowi Jean Cassou. Poezja — stwierdzili w referacie wstępnym Flouquet i Verhesen — „jak to nauczyliśmy się w twórcze i w obliczu śmierci, oznacza najwyższą rację egzystencji ludzkiej. Beztroskie zabawy i rozrywki kapliczek wzajemnego nabożeństwa i kawiarni literackich są już śmiertelnie odległe od poezji naszego czasu, co nie znaczy że jest ona w niewoli przemijających wydarzeń, przeciwnie jest ona znakiem który uszlachetnia i środkiem wyrazu który zbliża do elementów wiecznych. Wierna zarazem światu i wieczności człowieka”. Rozpiętość jej zakresu symbolizują zapewne dwie postacie obecne w Knokke: Senegalczyk Leopold Sedar Sengor, który w znakomitym spr-

(*) *Témoignage sur la poésie du demi-siècle, Première Biennale Internationale de Poème, Knokke, sept. 1952.* (Editions de la Maison du Poète, Bruxelles, 1953, str. 190).

wzodaniu o poezji murzyńskiej cytował obficie potężne teksty pełne poczucia krzywdy i nienawiści do białych kolonizatorów — i Japonka Kikou Yamata, która opowiedziała o miesięczniku poetyckim „Kukufka” — wydawanym w Tokio bez przerwy od 1898 roku; pismo to co miesiąc otrzymuje 30 tysięcy poematów ze wszystkich zakątków Japonii i świata: ich autorzy „opiewają w 17-tu sylabach miłosne poddanie się człowiekowi naturze i porom roku”.

Przegląd nazwisk, kierunków, zdobyczy. Rok 1912 jako przełomowy dla poezji francuskiej (raport Flouquet-Verhesen). Pojawiają się Larbaud, Cendrars, Max Jacob, Saint-John Perse, Apollinaire. Odkrycie podróży, przygody kosmosu. Nowe spojrzenie na świat wewnętrzny, na cudowność, „merveilleux” — Laforgue, L. P. Fargue, Supervielle, Reverdy. Poezja religijna: Péguy, Oscar Miłosz, Claudel. Rewolucja surrealistyczna pod przewodnictwem André Breton. Miejsce szczególne: Paul Valéry. Tymi których dzieło zawiera esencję poezji współczesnej są, w porządku chronologicznym, Lautréamont, Rimbaud, Mallarmé, Jarry, Apollinaire, Roussel.

Półwiecze poezji w Ameryce Łacińskiej przedstawił Ekwadorczyk Jorge Carrera Andrade. Mówił o wpływach europejskich i o emancypacji literatury południowo-amerykańskich. Ten co torował nowe drogi: Ruben Dario. Rok 1930 jako data istotna. Wtedy ukazuje się konstelacja prawdziwych poetów. Cesar Vallejo, Vicente Huidobro, Pablo Neruda, Nicolas Guillen — ten ostatni czy nie Murzyn przede wszystkim, z tych samych Murzynów antyjskich których chwałę głosi Aimé Césaire cytowany przez Sengora: chwałę tych którzy „nic nigdy nie wynaleźli, nic nigdy nie odkryli, nic nigdy nie zbadali, nic nigdy nieposkromili, ale którzy powierzają się istocie każdej rzeczy, nie wiedząc nic o powierzchni, zachwyceni ruchem każdej rzeczy, bez troski o panowanie, ale grający w grę świata”.

Gottfried Benn wspominał zmarłych przyjaciół ze swego pokolenia: Georg Heym, Franz Werfel, Georg Trakl, Else Lasker-Schuler, August Stram. Bronił poematu, który zwraca się wyłącznie do Muzy, to jest do nikogo, to jest według niego do wszystkich, poezji najściślej egotycznej: „ja liryczne” jak Niemcy wiedzą od czasu Nietzschego nie potrzebuje celów moralnych, politycznych, pedagogicznych, bo sam proces twórczy jest najwyższym walorem pedagogicznym. W tym stanowisku Benna daje się odczuć pewna satysfakcja przekory.

Sytuację poezji w Stanach Zjednoczonych przedstawił Allain Bosquet. W roku 1942 wydano wybór wierszy Walta Whitmana dla żołnierzy w nakładzie 200 tysięcy egzemplarzy. Znany krytyk w przedmowie wspominał o wyniku ankiety wśród tysięcy żołnierzy którym zadano pytanie: kim był Walt Whitman. Odpowiadano: polityk, przemysłowiec, niemiecki mąż stanu, sportowiec, bokser, gangster. Tylko 130 odpowiedzi było trafnych. Podczas kiedy nakład tomu wierszy poety o średnio znanym nazwisku jest 600-800 egzemplarzy we Francji, 1.500 w Niemczech, w Stanach na 152 miliony ludności, jest 700-1.000. Ale ta liczba to, bardziej niż w Europie, entuzjaści, fanatycy niemal religijni. Bosquet dzieli poezję amerykańską na dwa główne nurty: intelektualny, o inspiracji europejskiej i klasycznej — Edgar Poe rozpoczyna tę dynastię, mają w niej swoje miejsce tak różne od siebie osobowości jak E. A. Robinson i Edgar Lee Masters. Robert Frost i Ezra Pound, Robinson Jeffers i Conrad Aiken czy Allen Tate. Najwybitniejszym żyjącym jej reprezentantem jest Wallace Stevens. Trudność: jak zaklasyfikować T. S. Eliota i W. H. Audena — Amerykanie czy Angli? Drugi nurt jest bardziej samorodny, wywodzący się z Whitmana: Carl Sandburg, Archibald Mac Leish, niezrównany majster piosenki murzyńskiej Langston Hughes. Osobno eksperymentatorzy językowi: E. E. Cummings, William Carlos Williams, Marianne Moore. Dwóch poetów młodych zaprzęta szczególnie uwagę Bosqueta: Karl Shapiro i Theodore Roethke.

Gerardo Diego w swoim raporcie o poezji hiszpańskiej pozwala na zastanowienie się nad kwestią wzajemnych zapożyczeń poprzez ocean: nowoczesne rzemiosło poetyckie wywodzi się z Rubena Dario którego Andrade uważa również za patrona; bądź też mądrym: czy Indianin Ruben Dario z Nicaragui jest więcej Amerykaninem czy Hiszpanem? Ci wybitni autorzy prawie nigdy nie byli tłumaczeni na polski: Antonio Machado, Juan Ramon Jimenez, Manuelu Altolaguirre, Pedro Salinas, Jorge Guillen, Damaso Alonso, Vincente Aleixandre, Luis Cernuda. Wyjątek stanowi Garcia Lorca i trochę Rafael Alberti (z powodów politycznych).

Raport o poezji greckiej przez Kostas Zaroukas przywołuje przede wszystkim olbrzymią postać neo-greckiego barda: Sikelianos. Długi odczyt o poezji holenderskiej zawstydzia nas: nie znamy ani jednego nazwiska. Lionello Fiumi zajmuje się przede wszystkim poezją we Włoszech po ostatniej wojnie — zwłaszcza „grupą ośmiu” reprezentującą „realizm liryczny” — odpowiednik realizmu Rosseliniego i De Sica w filmie włoskim.

Czyms bardziej specjalnym jest odczyt „Rimbaud i Alchemia” przez Misse Enid Starkie. „Niejasności” tego poety mają, zdaniem Angielki, klucz. Szukać go trzeba po prostu w popularnych książkach o alchemii które Rimbaud pochłaniał będąc młodym chłopcem. Kiedy się zna podstawowe pojęcia używane przez alchemików, rozumie się zwroty Rimbauda nad którymi łamali sobie głowę komentatorzy.

Z całej Europy Środkowej i Wschodniej, tylko Polska była obecna, w osobie Mariana Pankowskiego, który odczytał referat „Pięćdziesiąt lat poezji polskiej”, zakończony relacją o „przełomie” w okolicach roku 1950 kiedy to nastąpiła „likwidacja burżuazyjnego estetyzmu”.

Debaty, spory, praca w komisjach. W pewnym sensie księżycowa impreza, w pewnym natomiast najzupełniej trzeźwa. Trzeba odnotować życzliwą pomoc rządu belgijskiego.

K.

Nagroda Literacka „Kultury”

W związku z nagrodą literacką „Kultury”, ogłoszoną w numerze 1/75-2/76 wyjaśniamy dodatkowo, że ufundował ją Edward Berenbau i że jest ona nagrodą stałą.

Przypominamy, że nagroda za rok 1954 będzie przyznana z końcem br. i że ostatecznym terminem nadsyłania prac jest dzień 31 października 1954.

Książki

„La prise du pouvoir”

Na pół stroniczy szkolnego zeszytu można zmieścić wszystko to co człowiek wie na pewno; zasadnicze wiadomości z dziedziny fizyki dadzą się streścić na stronie, zaś doświadczenie — pod każdym względem fragmentaryczne — które zwiemy historią ludzkości — nie zajęłoby więcej niż dwadzieścia linijek. „Urodził się, żył i umarł” — wydaje się to zbyt krótkie aby określić życie. Ale wnet spostrzegamy że to jeszcze za dużo: pierwsza część zdania jest zbyteczna, gdyż zawiera ją już druga, a koniec zarazem wszystko mówi i wszystko unicestwia i wreszcie sam się rozplywa. Pojęcie tego co się przeżyło (kochało, działało, cierpiało) jest pozbawione sensu w oderwaniu od pamięci, która, poprzez rejestrację szczegółów, nadaje przeszłości prawo obywatelstwa w dniu dzisiejszym. Jedyna broń która zabija ostatecznie, a więc retrospektywnie, to zapomnienie — gdyby nie pamięć żywych, umarli straciliby nawet swe przeszłe istnienie. Literatura, której źródłem jest historia ludzkości, coś na kształt autobiografii dziecka które myśli że jest bardzo stare, jest częścią usiłowań dążących do podboju czasu, przekształcenia go w wieczną teraźniejszość.

Oto dlaczego sednem literatury wyobraźni nie jest przebieg wyobrażonych wypadków, ani splot charakterów, ani działanie „nadzwyczajności”, ale właśnie to „jak gdyby”, na mocy którego autor każe nam zapomnieć że chodzi o „przeszłość w przyszłym trybie”. Drugie „jak gdyby” literatury sprawia że nic nie jest nam obojętne, a raczej że wszystko czego literatura dotyka przestaje nam być obojętne: każdy zapłacze nad Hekubą, nie dlatego że była nieszczęśliwa, ale dlatego że poeta jej współczuł. Wojna trojańska? Jedno z niezliczonych zdarzeń, które historia wspomina, lub równie łatwo zapomina; ale Iliada jest zdarzeniem tkwiącym na zawsze w teraźniejszości.

Współczesna powieść przedstawia się często jako spadkobierczyni epopei, jako kronika — Stendhal tak właśnie określał

„Czerwone i Czarne”, jako kronikę, która na pozór zdaje sprawę z wypadków wczorajszych, ale w istocie konfrontuje ludzi działających podług swego sumienia z ich uczynkami i skutkami tych uczynków wobec rzeczywistości którą powinni zmienić i w zwierciadle świadomości, które powinni przekształcić.

Powieściopisarz — autor kroniki rewolucyjnej nie współzawodniczy z historykiem, czy z autorem historycznych opowieści: wypadki są dla niego tylko pretekstem, wielkie historyczne figury stają się postaciami epizodycznymi; rytm czasu będzie zależał tu nie od obiektywnej doniosłości uczynków, ale od znaczenia przeżytych chwil, nawet jeśli są one pozbawione faktycznej wagi. Zapewne kronika rewolucyjna odzwierciadla pośrednio daną fazę historii i wyraża jej znaczenie. Nawet jeśli bohaterowie giną gwałtowną śmiercią, nie stają się przez to ofiarami nieubłaganego losu — są oni przecież właśnie jego głównymi wrogami. Klęska ich nie kończy walki, może zaledwie przerwać jej dany epizod. Mamy tu do czynienia z tragedią, ale z tragedią, którą się neguje: zamiast piątego aktu — perspektywa w nieskończoność.

Ten rodzaj powieści nie stawia i nie broni żadnej tezy, tematem jej jest rozwój człowieka szukającego zgody z daną wspólnotą poprzez uczynki które go z nią wiążą — w świetle tej *podwójnej świadomości* bez której człowiek skazany jest na pozostanie wytworem i niewolnikiem swej przeszłości. Będzie tu chodzić o rozwój autentycznego bohatera powieści, który w jakiejś pasji czerpie źródła swej energii. Pasja ta będzie miała charakter ideologiczny, w przeciwieństwie do tej nostalgii szczęścia do której można zazwyczaj sprowadzić pasję w „czystych powieściach”. Główne postacie powieści rewolucyjnej czy ideologicznej są zazwyczaj intelektualistami, których postawa w zarodku kwestionuje byt w najszerszym pojęciu. I dlatego każdy rys psychologiczny staje się poniekąd przypadkowy: scena zabójstwa na początku „La Condition Humaine” zawiera niesamowitą prawdę psychologiczną, ale celem autora nie było oczywiście przedstawienie nam charakteru danego człowieka (Tchena), ale uprzytomnienie nam świadomości wynikającej z doświadczenia człowieka dokonującego — aby się związać ze wspólnotą ludzką — czynu który go na zawsze osamotni. („Być może pogardza się człowiekiem którego się zabija. Ale mniej niż innymi... tymi którzy nie zabijają”). Nie chodzi tu o Tchena, tak jak nie chodzi w tragediach o skandale danych domów królewskich, Edypa, czy Antygony, a chodzi o nas wszystkich, a jeśli nie, to o trójwymiarowe cienie w jakimś koszmarze.

Powstanie w każdej swej fazie jest ulubionym tematem powieści opartych na filozofii doświadczałnej, gdyż powstanie wszystko kwestionuje, wydaje się zawierać odpowiedź na wszystko i zapowiada ostateczne panowanie „niedzielnej duszy”. Wszystko co ma miejsce przed powstaniem stanowi jego przygotowanie, wszystko co przyjdzie później jest jego odbiciem. Marząc o powstaniu widzimy w nim rozwiązanie wszystkiego,

ale kiedy wybuchnie zdajemy sobie sprawę że mimo wszystkich przygotowań będzie to w każdej chwili improwizacja, wieczny początek. Nie ma ani jednej wielkiej powieści o zwycięskim powstaniu (tak jak o szczęśliwej miłości).

Ostatnie powstanie warszawskie, które zapewne nie pozostanie ostatnim, i jego skutki — oto temat *La prise du pouvoir* Czesława Miłosza (*). Jest to pierwsza powieść tego poety, napisana w roku 1952, po dwóch latach wygnania.

Powstańcy warszawscy walczyli w osamotnieniu (tak jak przedtem Warszawa pozostawiła w osamotnieniu powstańców z Ghetta). Z nimi razem umarł — przed narodzeniem — pokój który powinien był nastąpić po drugiej wojnie światowej. Pierwsze ofiary zimnej wojny — to oni. Było to lato wielkich zwycięstw sprzymierzonych i czas radości nastawał w uwolnionych stolicach zachodniej Europy. Ale nie wystarczyłoby ani wściekłość bitew ani radosna wrzawa aby zagłuszyć sumienia do tego stopnia że odwróciły się od najbardziej wymownego ostrzeżenia: oślepiła umysły wola nie słyszenia, jak zawsze w przełomowej scenie trzeciego aktu tragedii. Rosjanie jednak, spokojnie osadzeni na przeciwnym brzegu Wisły nie odwracali oczu — jak spadkobiercy czekali aż Hitler zdławi powstanie, aż polska wola niepodległości ulegnie śmiertelnemu znużeniu, aż jasne się stanie dla każdego Polaka że nawet w opinii Zachodu kraj ich skazany jest na pastwę Stalina.

W tym czasie Piotr Kwinto jest oficerem polityczno-wychowawczym w utworzonej przez Rosjan Pierwszej Polskiej Dywizji, która czeka pod rosyjskimi rozkazami na śmierć Warszawy. Piotr, główny bohater *La prise du pouvoir* był więźniem w sowieckim obozie i zwolniono go za późno aby mógł dołączyć do polskiego wojska, które się miało potem bić w Afryce, we Włoszech, we Francji w Niemczech. Wojska zwycięskiego i najtraficzniej pokonanego, bardziej nieszczęśliwego od armii Ksenofonta — tego wojska które nie mogło powrócić do ojczyzny.

Kwinto był jednym z tych którzy niezmordowanie rzucali wezwania do ludu polskiego, do mieszkańców Warszawy: „Powstańcie, strzelajcie do Niemców, zagroźcie im odwrót, godzina zemsty wybiła!” I — wierny rosyjskim rozkazom — napisze on w chwili powstania, że „Londyńczycy grają swą ostatnią kartę”. Trzeba oczywiście by ją przegrali. Bohater Miłosza jest sceptykiem i nie ulega propagandzie swych panów. Ale nie trzeba mu propagandy na to by pogardzać swą własną przeszłością, klasą z której pochodzi, i Zachodem do którego tęskni. Nie lubi zwycięzców którym wiernie służy, ale zgadza się z nimi w jednym zasadniczym punkcie: klęska świata Kwintów jest zasłużona, stanowi ona akt sprawiedliwości, którego zresztą ani Piotr, ani autor nie formułuje przekonywująco. Przenikające wszystko bag-

(*) *La Prise du Pouvoir*, w pięknym tłumaczeniu francuskim Jeanne Hersch została nagrodzona w r. 1953 Europejską Nagrodą Literacką (Gallimard, Paris, 1954).

no totalne nie potrzebuje w oczach Piotra usprawiedliwienia — dlaczego? Dlatego że chodzi o świat zwycięzców, który jest niezmiernie silny. Co miałoby rzekomo dowodzić, że osławione Prawo Historii jest po jego stronie. Wchodzi tu w grę ciekawa tautologia, która zawsze leżała u podstaw każdego konformizmu: „Zwycięzca ma rację bo jest niezwyciężony; gdyby nie był niezwyciężony nie byłby zwycięzcą”. Wokół Piotra działają prawdziwi komuniści: Winter który go wydał N.K.W.D.; Baruga, który daleko zajdzie po zdobyciu władzy i który umrze na raka i na niełaskę; arystokratyczny Wolin, dygnitarz Bezpieki. Różnią się oni między sobą takimi czy innymi rysami psychologicznymi, zawsze świetnie naszkicowanymi przez autora, ale różnice te wydają się mniej ważne od tego co ich łączy: żaden z nich nie identyfikuje się ze sprawą przez pasję, każdy się jej poddaje przez zgniliznę. Z chwilą gdy nie chodzi o człowieka, a o jego udział, prawie wszystko traci swoje znaczenie.

Naprzeciw, zanim zostanie podwójnie zgnieciony, drugi świat: powstańcy Warszawy. Dobrze się stało że Miłosz nigdy nam nie ukazuje oleodruków. Nie uchyla on nigdzie nędzy i krwawego zamieszania które musi być częścią zadania tej miary. Nie wznosi tego w rytmie jego walczących, a wszędzie proste poczucie czegoś nieuniknionego. Biją się oni tak jak żyją — dla chwili która się zbliża, a nie dla tygodni które może nadejdą, ale które wydają się odległe o tysiące lat. Wszystko jest krańcowe i proste zarazem: w chwili odpoczynku miłość zbliży „Fokę” Cisowskiego do Joanny. W godzinę później rozdzieli ich jej śmierć. Rytm w którym dzień następuje po dniu jest zapomniany — należy do snu którym było życie aż do pierwszego apelu powstania. Wiele piękna w szczegółach zarysowanych przez poetę, w zmianach atmosfery, które oddaje on ze szczególnym mistrzostwem.

A jednak, także i tu niepowetowana utrata znaczenia. Nie dowiemy się jakie motywy, jakie pasje rzucają te istoty w bój. Poza katolikiem i faszystą Michałem, w żadnej postaci nie odkryjemy tej jedności, w której spaja się człowiek z uczynkiem który go przerasta. Czyżby zamiast powieści — kroniki rewolucyjnej, był to po prostu reportaż? Ale w takim razie reportaż nie zawiera dość informacji: pojedyncze wypadki nie łączą się w formę kolektywnego zdarzenia, związek przyczyn ze skutkami pozostaje niejasny. Gdyby nawet było prawdą, że powstanie warszawskie nie było niczym innym jak zbiorowym samobójstwem w paroksyzmie porywu — a to nieprawda — ani powieściopisarz ani reporter nie może go tak przedstawiać, tak jak nie można uchwycić tragizmu szalonej miłości ograniczając się do perspektywy śmierci która gasi każde życie, czy poświęcone pasji, czy obojętne.

Dokładniej: powieściopisarz ma prawo wysunąć zapytanie zamiast twierdzenia, ale nie ma prawa pozostawić bez odpowiedzi pytania zasadniczego: z kim i z czym sam się solidaryzuje? Pytanie z kim się zgadza jest drugorzędne, a nawet

w twórczym dziele bez znaczenia, ale za to zasadnicze dla reportera.

Miłosz zgadza się z profesorem Gilem, postacią która znajduje się właściwie poza ramami powieści i z socjalistą „Foką” Cisowskim, powstańcem pokonanym przez Niemców i skazanym przez G.P.U.; Miłosz *solidaryzuje się* z Piotrem Kwinto. Bohater pozbawiony pasji i postanowienia, człowiek wycucia i inteligencji, Piotr jest w pierwszym rzędzie ofiarą swej newrozy, pewnych traumatyzmów, które uczyniły z niego samotnika potrzebującego towarzystwa ludzi, delikatnego oportunistę, sierotę wiecznie szukającego ojca takiego jaki istnieje tylko w marzeniach sieroty. Słowem — bohater z którym słusznie mógłby się solidaryzować autor powieści psychologicznej. Tylko że *Prise du pouvoir* nie jest powieścią psychologiczną a, zarówno przez formę jak i z intencji autora powieścią ideologiczną, dziełem pisarza o wielkim talencie.

Miłosz nie solidaryzuje się ani z powstaniem, ani z powstańcami, ani z żadnym entuzjazmem, czy wyrażonym za pomocą, wizji czy też akcji. Udać mu się znakomicie scena bankietu który gromadzi wokół rosyjskich panów ich polskich kolaborantów, opiewających zwycięstwo w chwili gdy Warszawa tonie we krwi ich braci. Ale autor nie potrafił ani przez chwilę dać nam odczuć egzaltacji powstańców, ani nawet ich gorczy wobec świata w którym, na ich zgubę, sprzymierzeniec i wróg spotykają się w ohydnej wspólnocie. Strony w których Miłosz daje głos Żydowi Brunonowi należą do najpiękniejszych w całej książce. Bez wątplenia autor *Prise du pouvoir* solidaryzuje się z ofiarami, z absolutnym cierpieniem, tym które zagłusza nawet głos buntu.

„Ani wola bez litości, ani litość bez woli nie rozwiązać nie może!” Tak myśli profesor Gil. Jego żona, ofiara deportacji, umarła, jego córka zginęła w powstaniu, on zaś nie ma już prawa wyklądać — jest sam, i nie pisze kroniki swych czasów, ale tłumaczy Tucydidesa. Postanawia zachować „dar gniewu i niezachwianej wiary”. Jakiego gniewu? Jakiej wiary? „Lepiej narzucić sobie jedyną regułę, która coś znaczy: zachować wolność od smutku i obojętności”. To raczej esseista Miłosz wyraża swą myśl za pośrednictwem tłumacza „Wojny Peloponeskiej”. Powieściopisarz urywa na wyjeździe Piotra, wysłanego przez rząd na placówkę do zachodniego kraju. Nie zależy nam na dowiedzeniu się czy Kwinto stamtąd powróci, czy pozostanie. Decyzja jego będzie w każdym razie odruchowa. Wie on że jest współnikiem, ale nie jest tego świadomy — niczego się nie nauczył, wydaje mu się zawsze że jest ofiarą i kryje się pod gestem ochronnym.

Czesław Miłosz popełnił błąd: źle wybrał swego bohatera, fałszywie skierował swą solidarność. Piotr Kwinto powinien być młodszy bratem rewolucjonisty Michała Kaniowskiego, bohatera *Plamieni* Brzozowskiego, tymczasem jest on zaledwie kuzynem młodego neurotyka Hugo, którego Sartre z bernsteińskim sprytem przeciwstawia Hoedererowi, wcieleniu Prawa

Historii w formie w której zrozumiał to prawo autor *Les mains sales*.

Na przyszłość, zalety autora ważą jednak znacznie więcej od jego błędów. Mimo tych błędów *La prise du pouvoir* jest ważną książką i zapewne początkiem dzieła o ważnym rozgłosie.

Manès SPERBER

(Tłumaczył K. A. Jeleński.)

Półswiatek Don Camilla

W galerii best-sellerów Don Camillo o długiej twarzy Fernandela jest konkurentem Caroline Chérie, nęcącej olśniewającym neglizmem Martine Caroll i Scarlett, której urok (w postaci Vivian Leigh) zmusił miliony ludzi do przebrnięcia przez tasiecowate „Przeminęło z Wiatrem”:

Co do mnie, wolę te dwie miłe dziewczyny od tego podejrzanego księżula. Niestety „Veritas” wybrał książeczkę Guareschiego, raczej niż powieść St. Laurenta czy Miczelówny (amerykańskiej panny Mniszech).

Mały Świat Don Camilla jest bardzo sprytną wersją neofaszystowskiego światopoglądu, w którym celowo zaciemnione są wszystkie problemy społeczne, a stalinizm zredukowany do rzędu psich figli. Dlaczego narzucać Polakom tę ulubioną lekturę reakcyjnych neutralistów, tę biblię prosowieckiego drobnomieszczaństwa? Tkwi w tym jakieś dziwne nieporozumienie. Ktoś sobie z tego musiał zdać niejasno sprawę, gdyż zasadnicza nieuczciwość tej książki jest częściowo zdemaskowana w przedmowie ks. prałata Meysztowicza, bardzo słusznie przestrzegającej czytelnika przed wersją, w której agenci Kominternu wyglądają na pocziwych psotników. Tylko że ks. Meysztowicz jest poza tym bardzo pobłażliwy dla Guareschiego i nazywa go nawet pisarzem katolickim.

Guareschi sam napisał przedmowę do swojej książki, w której pisze że „te historie żyją w określonym klimacie i w określonym miejscu. Klimat polityczny włoski od grudnia 1946 do grudnia 1947... Miejscem jest kawałek doliny nadpadkańskiej”. Czytając potem o tych petardach, portkach, tyłkach, kopniakach i ciu-ciu-babkach, czytelnik szybko jednak zapomni że chodzi tu o jakąkolwiek rzeczywistość historyczną czy społeczną. Komunizm, walka klas, sama religia — wszystko zredukowane jest do poziomu jurnych harców na pauzie w szkole powszechnej. Don Camillo — książd? Peppone — komunistyczny wójt? Tak — na zasadzie przypadkowej umowy. Józek jest dziś wodzem Apaszów, Kamil — „białą twarzą”. Jutro będzie na odwrót. Don Camillo mógłby równie dobrze być komunistycznym wójtem, Peppone — księdzem katolickim. Ich znajomość teologii kato-

lickiej czy marksistowskiej jest zresztą na tym samym poziomie. Jedna tylko różnica zasadnicza — Don Camillo jest silniejszy w barach, bo wiara nasza święta musi być górą. W tym ujęciu wioska Guareschiego byłaby oczywiście zdana na wygraną komunizmu, gdyby na miejscu tego pocziwego siłacza znalazł się książd który by miał więcej w głowie a mniej w mięśniach.

Nie uważając się za katolickiego krytyka trudno mi pisać o problemie religijnym bez zażenowania. Mogę jednak stwierdzić że o ile dla człowieka niewierzącego książki takie jak „Le Journal d'un Curé de Campagne”, lub „The Power and the Glory”, albo nawet rozmyślnie prostackie powieści Bruce Marshalla mogą stanowić „pokusę wiary”, to książka Guareschiego jest „religijnym emetykiem”. Komiczny Chrystus, będący połączeniem „zdrowego rozsądku” i sprytu, mrugający okiem z krzyża, jest doprawdy nie do zniesienia i z ulgą dowiadujemy się z przedmowy że ta wulgarna osobistość jest po prostu „głosem sumienia” p. Guareschi.

Autor „Don Camilla”, którego „Veritas” przedstawia jako zasłużonego „antyfascystę”, jest założycielem reakcyjnego tygodnika „Candido”. Był on przez długi czas poplecznikiem „qualunquismu”, tego „apolitycznego” politycznego ruchu, którego ideałem był befszytyk dla „szarego człowieka” (wiadomo, że „szary człowiek” jest zawsze drobnomieszczańcem, małym biurokratą, bogatym chłopem, drobnym przedsiębiorcą). Stąd w *Don Camillo* obrona bogatych chłopów, właścicieli ziemskich, którzy w Emili — gdzie nie ma wielkich latyfundiów — reprezentują kapitał. Guareschi we włoskim tekście zawsze mówi o „chłopach” (contadini), ale dowiadujemy się jednak raz po raz o ich finansowej pozycji. Mają oni po sto głów bydła i pięćdziesiąt razy więcej ziemi niż średni włoski chłop — nie mówiąc o robotnikach folwarcznych (braccianti), którzy w ogóle nic nie posiadają. W tych warunkach, nic ostatecznie dziwnego, że Peppone ma tytuł popleczników. Jeśli chodzi o włoską strukturę wiejską, to słuszniejsza jest wersja „Biegu do Fragala”, który świetnie zanalizował Janusz Jasieńczyk w styczniowej „Kulturze”. Niestety komuniści dopomogli we Włoszech do realizacji częściowej reformy rolnej (choć „Bieg do Fragala” przemilcza oczywiście wszystkie układy komunistów z wielkim kapitałem, zdemaskowane przez Silone w *Une poignée de mûres* (*). Najbardziej charakterystycznym epizodem *Małego Świata Don Camilla* jest strajk rolny. Guareschi, którego mało wzrusza nędza ludzka (a nie brak jej przecież w dolinie Padu) obolały jest nagle pełnymi mleka wymionami krów. Strajk, niewątpliwa wyższość świata „kapitalistycznego” nad „socjalistycznym”, potępiony jest bezapelacyjnie. Don Camillo — i Chrystus p. Guareschiego — bywają pobłażliwi wobec kolegi Peppone. Stają się obaj bezwzględni za każdym razem gdy komunistyczny dzieciak agituje przeciw własności prywatnej. W jednym z włoskich opowiadań — nie

(*) Ignazio Silone, *Une poignée de mûres* (Ed. Grasset, Paris 1953, s. 323).

włączonych zresztą do polskiego przekładu — sam Peppone, choć komunista, jest tak przekonany o „świętości” własności prywatnej, że nadstawia grzbiet pod rączy Don Camilla za zerwanie kilku kiści winnych podczas strajku.

Don Camillo marzy wprawdzie od czasu do czasu o „Marszu na Rzym”, ale tkwi on już mocno we Włoszech demochryścijańskich. Jako proboszcz musi on być ideałem Geddy („un vero squadrista di Dio”). Zdrowy konserwatywny katolicyzm z boksem i piłką nożną może nieźle wypełniać kłopotliwe okresy między dyktaturami. Wyraża to znakomicie obwoluta z przysposobieniem wojskowym disneyowsko ohydnych bachorów na tle watykańskiego pasiaaka.

Książka jest pozbawiona jakiegokolwiek wartości literackiej, tak że bardzo słabe tłumaczenie w niczym jej nie może szkodzić. W czternastym roku emigracji warto może jednak przestrecz tłumaczyć przed niebezpieczeństwem dosłownego kroczenia — wyraz po wyrazie — za cudzoziemską składnią. Pół biedy jeszcze gdy jest to tłumaczenie z włoskiego, gdzie daje to efekty komiczne, ale zrozumiałe. Natomiast *Krótką Historię Anglii*, również wydaną przez „Veritas” trzeba często tłumaczyć z powrotem na angielski aby zrozumieć sens niektórych zdań.

Na obwolucie *Don Camilla* wydawca pisze, że książka ta nie mogła ukazać się w Polsce. Jeśli to prawda, to naiwność warszawskich komunistów jest doprawdy rozbrajająca.

K. A. JELEŃSKI

Jak nie należy pisać o Świętych

W 1950 roku Maria Winowska wydała po francusku życiorys O. Maksymiliana Kolbe pt. *Le Fou de Notre-Dame* (Ed. Bonne Presse); w 1952, w tymże domu wydawniczym, ukazało się kilka życiorysów świętych i błogosławionych również pióra Marii Winowskiej pod zbiorowym tytułem: *C'est l'Heure des Saints*; w końcu zaś, ubiegłego roku, w *Edition du Vieux Colombier* wyszedł jej życiorys Brata Alberta pt. *Frère Albert ou la Face aux Outrages*. Następna książka Winowskiej *l'Aventurier et le Saint* jest już pod prasą, dwie inne — w przygotowaniu. Żywot O. Kolbe, tłumaczony na kilka języków, ukaze się niebawem po polsku w wydawnictwie „Veritasu” w Londynie.

Koleje losu Adama Chmielowskiego, artysty-malarza, w zakonie Brata Alberta, którego wysoką postać i chód utykający pa-

(*) Winowska Maria, *Frère Albert ou la face aux outrages*. Stron 294. (Ed. La Colombe, Paryż, 1953).

mięta jeszcze wielu ludzi w Polsce, podane są w książce Winowskiej od pierwszego do ostatniego dnia życia na podstawie materiałów gromadzonych w Rzymie do procesu kanonizacyjnego. Obejmują one wspomnienia i świadectwa jego współczesnych, korespondencje i zapiski malarza-zakonnika oraz setki zeznań jego przyjaciół, uczniów i współbraci, składanych pod przysięgą. Świadczyli o świętym-przyjacielu kardynał Dunajewski, ówczesny biskup Sapieha, metropolita Szeptycki, koledzy-malarze: Chelmoński, Witkiewicz, Wyczółkowski, Homolacs, Albertyni i Albertynki, starannie dobierani przez Założyciela do zastępów zaprzysiężonych ubóstwu, i innych wielu. W liczbie świadków występuje też Zeromski, dzięki ostatnim stronom „Nawracania Judasza”. Ten przejmujący hołd złożony Bratu Albertowi, którego pisarz odwiedził w Kalatówkach, zakopiańskiej pustelni zgromadzenia, zachował do dziś dnia nietkniętą magię autentyzmu.

Z tych relacji występuje postać polskiego św. Franciszka w całej ludzkiej prostocie i nadprzyrodzonym promieniowaniu świętości. Poznajemy go dzieckiem-sierotą, uczniem, 17-letnim powstańcem, jednonogim, zuchwałym artystą, szalonym jałmużnikiem, wreszcie mnichem w sukni na wzór katorżniczego chałatu, przepasanej postronkiem, na służbie nędzarzy i włóczęgów. Dzieje od kolebki w Igołomi, ziemi Krakowskiej (1845 r.) aż do desek tapczana w przytułku dla nędzarzy na Kazimierzu, desek na których Brat Albert umarł w Dzień Bożego Narodzenia (1916), kiedy dzwony wszystkich kościołów krakowskich biły na chwałę Boga Wcielonego.

Adam Chmielowski, w zakonie Brat Albert, nic w życiu nie napisał prócz listów i pobieżnych notatek, nie napisał nawet statutu swego Zgromadzenia, opartego na pierwotnej regule zakonu św. Franciszka. Póki żył wszystko szło mocą jego twórczego miłosierdzia, ludzie garnęli się do niego bo był siłą i światłem.

„Panie, zawołał w dzień wielkiego przewrotu, zrobię wszystko co tylko zechcesz, pójdę tam gdzie chcesz...” Na łożu śmierci zabronił surowo otaczającej go gromadzie leż i rozpaczy, żądając od synów swoich i córek zakonnych bezwzględnej zgody z wolą Bożą, zgody i dziękczynienia za wszystko co Bóg zsyła, „bo wszystko jest łaską”.

„Strzeżcie świętego ubóstwa — powtarzał uczniom swoim — a ono was będzie strzegło!”

Kiedy przyjaciele wyrzucali Bratu Albertowi, że się powoli zabija w pracy i wyrzeczeniu ponad ludzkie siły, odpowiadał: „A cóż innego mogę im dać jak nie samego siebie?”

A teraz kilka uwag o książce.

Autorka obiecuje we wstępie „naśladować pokorę filmu” (porównanie nie jest szczęśliwe, jako że dzisiejsza sztuka filmowa umie odmieniać rzeczywistość i stwarzać na ekranie dowolne

złudzenia), postanawia więcej sugerować aniżeli wypowiadać, tak by czytelnik mógł sam dochodzić sedna sprawy. „Nie przezwajmy mu jej zawczasu” — powiada. (*Ne lui mâchons pas la besogne*). „Komentarze — czytamy dalej — którymi starałam się podeprzeć przedziwne życie Brata Alberta, nie mają więcej znaczenia jak tło stłumionej orkiestry akompaniującej wirtuozowi... Dopuszczmy ją do głosu pod warunkiem zachowania dyskrekcji...”

W trakcie pisania autorka uległa jednak, niestety, znacznemu odchyleniu od zamierzonej „linii”. Jej wyjątkowa erudycja, rozległe odczytanie, swoboda z jaką włada językiem francuskim zawiodły ją niejednokrotnie na manowce. Zamiast pozostać stłumionym akompaniamentem zagłusza „wirtuoza” brawurowo wykonanymi „kawałkami”. A „kawałki” te to dygresje na temat życia wewnętrznego, metod działania Ducha Świętego, dróg Łaski, procesów twórczości artystycznej itd.

Liczne referencje od Arystotelesa i Platona do Blondela i Du Bos’a, poprzez wielu innych filozofów i świętych pańskich nie tworzą żadnego „akompaniamentu” a przeciwnie rozpraszają uwagę czytelnika, odwołując ją od postaci centralnej, nie-licznych, prostych słów Brata Alberta i jego też milczenia.

„Cóż innego mogę im dać, jak nie samego siebie?”

Poruszać zagadnienia teologii i filozofii moralnej nie wpadając w ton predykancki — nie jest łatwo. Winowska „każe” chętnie i często, ale jak zawodowy kaznodzieja upodabnia się z karconym grzesznikiem.

„My nędzne larwy — powiada — coż możemy wiedzieć o boskich skrzydłach, pogrążeni w naszej czołgającej pospolitości (*mèdiocrité rampante*)... ale nadejdzie dzień przeobrażenia... Tylko nie mówcie mi że poczwarka na której skóra zewsząd pęka czuje się w danej chwili doskonale!...” Na innym miejscu dusze ludzkie porównane są do „bezsztaltnego ciasta”, które Duch Święty miesi, albo do skamieniałej gleby w którą Bóg zadaje „głuche ciosy łopatą”...

Gdyby kobietom było wolno przemawiać w kościołach katolickich Winowska zaokupowałaby na pewno niejedną kazalnicę, ku zawstydzeniu opieszalszych księży!

Obrazowanie swoje czerpie nasza hagiografka najchętniej z dziedziny sportu, wojskowości a nawet chirurgii. W jej katolickiej publicystyce w języku polskim trafialiśmy już na „rekordy świętości”, „wypadki pątnicze”, „zawrotną wspinaczkę na Górę Błogosławieństw” itp. Innym razem tajemnica Krzyża to „monopol”, który sobie „zawarował Arcymistrz Duch”, a tej tajemnicy „podręcznikiem są — kolana!” Jeszcze dalej czytamy, że Bóg osacza dusze zaczynając od „robót przykopowych” (a może fortyfikacyjnych) — *travaux d’approche*? Łaski są upodobnione już to do spadochroniarzy, już to do zapasu benzyny (w pustelniach Werchraty i Kalatówek *on fait son plein d’essence*); Duch Święty — do chirurga uzbrojonego w lancet, który tnie na żywo, sięgając dna duszy...; świat na którym się pełni

wszelkie zło — to „hodowla czysta bakterii” (*bouillon de culture*)... itd.

Cudzoziemcy nawet wykształceni (głównie oni), mówią w obcym języku stylem książkowym. Najtrudniej przyswoić sobie zwroty mowy potocznej. „Wyskoczyć jak Filip z konopi”, na przykład, albo „zniknąć jak kamfora” nie mogą być przetłumaczone, mają najwyżej w innych językach jakiś swój odpowiednik. Zwroty te powstają w zależności od warunków danego kraju, jego obyczajów, słownictwa i dźwięku słowa a mogą być używane tylko w swobodnym, bliskim życiu się z daną mową i najzupełniej à propos. Winowska nadużywa tych zwrotów i powiedzonek, sypiąc ich po kilka na jeden paragraf, każdy zwrot o innej asocjacji, jakby mechanicznie włączony do tekstu. Nadużywa też formy pytającej i wykrzykników.

Zamiast zamierzonej swobody i bezpośredniości odnosimy wrażenie sztuczności i maniery, chwilami bardzo uciążliwej. Bo kiedy czytamy, że ktoś został przez Boga „przyparty do muru” (*mis au pied du mur*) — to jeszcze ujdzie, kiedy jednak, kilka stron dalej dowiadujemy się, że Opatrzność jest też *au pied du mur*, a potem znów, że nasze sumienia znalazły się *au pied du mur* — to już za dużo!

Dalszą cechą tej „robionej” bezpośredniości stylu Winowskiej to jej często rażąca poufałość w stosunku do Boga i spraw Bożych. Autorka tytułu *Żywotów Świętych* ma oczywiście inny stosunek do świata nadprzyrodzonego aniżeli każdy z nas, czuje się tam nieomal „u siebie”. Czy jednak wypada pisać, że Bóg „nie próżnuje”, że ma „swoją punkt honoru”, że się „nie targuje” udzielając natchnienia, że komuś tam znów „depcze po piętach” (*le talonne*), a dla tych, którzy go kochają „ma wyszukane względy...” (*d’exquises délicatesses...*)? O. Kalinowski zdawał się czekać jedynie „na prztyczka” (*une chiquenaude*) żeby ulecieć do nieba..., jakiś kryzys przesadza kto inny „a pîeds joints”... itd.

Zapowiadając rozdział poświęcony Siostrze Bernardynie, późniejszej Przełożonej Sióstr Albertynek, autorka uprzedza, że teksty, które będzie próbowała tłumaczyć są do tego stopnia przejrzyste, na tyle proste i bezpośrednie, tak wyzbyte wyszukanej formy literackiej i dalekie od języka dewocji... że się wprost lęka urazić swoich czytelników...

Czy to ma być ironia czy lekceważenie? Bo jakich czytelników ma tu Winowska na myśli? Kto, biorąc do ręki żywot świętego ogląda się za wyszukaną formą jego wypowiedzi, albo szuka frazesów dewocyjnych?

„Przysięgam z lękiem (*avec appréhension*) do tego rozdziału — czytamy — *comment dire le cristal et la transparence?*”

Po prostu rzetelnie przetłumaczyć słowa tej natchnionej tęsknoty nieskończoności dziewczyny i zaufać czytelnikowi, nie bawiąc się w uczone komentarze.

„Drogi mój tatusiu — pisała Siostra Bernardyna, bo tak zaczęła z czasem nazywać Brata Alberta — to nie pustynia mnie

pociąga, nie, ale sam Bóg! Dusza moja pogrąża się w Bogu jak w niezgłębionej otchłani. Wszystko wtedy znika... Bóg uderza we mnie ogniem i gradem: nic na to nie poradzę... Ogień i lód... Chcę być z Bogiem na zawsze!"

Ostatni zarzut, który postawię Winowskiej to że nie wyjaśniła cudzoziemskiemu czytelnikowi znaczenia ówczesnego Krakowa dla reszty Polski w podziałach. *Athènes polonaises, Acropole Moderne, ville raffinée, foyer vibrant de culture...* to równie przesadne jak abstrakcyjne formułki, nie dające żadnego obrazu rzeczywistości. Kraków, miasto narodowych pamiątek, szkół polskich i polskich klasztorów, był profesorsko-biskupią i arystokratyczną *provincją*, leżał jakby na uboczu wielkich prądów europejskich, wegetując pod łagodnymi rządami starego monarchy niby jakaś wyspa polskiej niezależności. Potem był Wyspiański, Przybyszewski, i „Młoda Polska”, wreszcie Drużyny Strzeleckie. Czyżby stary Powstaniec z 63-go mógł przejść koło tworzących się Legionów obojętnie?

Mapka, umieszczona na początku książki, nie daje niestety wyobrażenia o położeniu kraju pod trzema zaborami, kraju, który żył mimo wszystko upartą wiarą w zjednoczenie.



Z nieodpowiedzialnych wzajemnych pochlebstw nic nie wynika, rzetelna krytyka pisarstwa obowiązuje każdego pisarza.

Maria Winowska, która zdobyła sobie imię w katolickim piśmiennictwie francuskim, rzecz niezmiernie rzadka w naszych warunkach, która rozporządzała pierwszorzędnym materiałem dokumentacyjnym, zmarnowała tym razem swoje szanse. Ubierając jednego z najprostszych, najcichszych świętych naszej epoki w gipsowe draperie sztucznego baroku zaciemniła tę jasną postać, którą przecie zamierzała uczcić.

Szkoda to niepomiarowa.

Maria CZAPSKA

Dzieje wielkiego błędu

Książka (*) Chester Wilmota'a, który przedwcześnie i tragicznie zginął w katastrofie lotniczej przed kilku miesiącami — jest jedną z najwybitniejszych książek jakie napisano po wojnie... o wojnie. Trudno byłoby wskazać drugą książkę, która wywarłaby równie potężny wpływ na re-orientację zachodniej myśli politycznej.

Problem Wilmota jest prosty.

„Usiłowałem wyjaśnić” — pisze we wstępie — „jak doszło do obecnej sytuacji? Dlaczego zachodni sprzymierzeńcy niszczyć potęgę hitlerowskich

(*) Chester Wilmot, *La lutte pour l'Europe*, str. 951. (Ed. Arthème Fayard, Paryż, 1953).

Niemiec i wyzwoleńcy zachodnią Europę — zezwolili równocześnie Sowietom opanować wschodnią Europę co w konsekwencji uniemożliwiło zrealizowanie tam zasad Karty Atlantycznej — zasad o których urzeczywistnienie walczone. Rozpatrując dzieje ostatniej wojny z perspektywy 1950 roku usiłowałem zanalizować nie tylko w jaki sposób Hitler został pokonany ale również w jaki sposób i dlaczego właściwym zwycięzcą został Stalin. Jak to się stało, że Stalin otrzymał od Roosevelta i Churchilla to — czego nie zdołał otrzymać od Hitlera”.

Jak to się stało?

Oddajmy znów głos autorowi:

„...wydaje się, że owe podejrzenia spowodowały, iż Roosevelt i pewni ludzie z jego bliskiego otoczenia sądzili, że niebezpieczeństwo dla pokoju świata i wolności małych narodów zagraża nie ze strony Rosji i komunizmu lecz ze strony dawnych kolonialnych potęg a w szczególności ze strony Wielkiej Brytanii. Ową dziwną „aberrację” można jedynie wyjaśnić tym, że w owym czasie Roosevelt nie wierzył by Stalin był zdolny do jakichkolwiek aspiracji imperialistycznych... Jego zaufanie do Stalina oraz przekonanie, że on, Roosevelt, potrafi zapewnić wiecznotrwałą współpracę Sowietów (z Ameryką) były niewzruszone mimo, że nieszczęsny bieg stosunków polsko-rosyjskich w roku poprzednim winien mu być dać podstawę do zwątpienia zarówno w potęgę jego osobistego wpływu jak i w uczciwość intencji po wojennej Rosji”.

Dziś po czterech latach jakie upłynęły od daty napisania *Struggle of Europe* rozwój sytuacji politycznej i nowe źródła historyczne w całości potwierdzają słuszność analizy Wilmota. Druga wojna światowa zakończyła się militarnym zwycięstwem Zachodu i jego polityczną bezprzykładną klęską. Wydaje się, że prezydent Roosevelt jest współwinnym błędowi, który Historia uznaje za największy polityczny błąd pierwszej połowy dwudziestego wieku.

L.

Slavistica

ONOMASTYKA I NACJONALIZM

Nacjonalizm jest jednakowy pod wszystkimi szerokościami geograficznymi. Mieszkańcy Jamajki nie tylko wyobrażają sobie że Anglia jest kolonią Jamajki, ale też obrażają się śmiertelnie gdy nazwać ich Gujańczykami. Czytałem niedawno artykuł pewnego poważnego uczonego wiedeńskiego o wpływach kulturalnych na Austrię przed rokiem 1000. Uczony był niezmiernie obiektywny jak długo chodziło o wpływy rzymskie, bizantyjskie, scytyjskie, gockie i awarskie. Tylko na wpływy słowiańskie nie mógł się zgodzić (artykuł ukazał się w 1949 roku), co gorsza tracił tu swą powagę i obiektywność i wpadał w ton pogardliwy i polemiczno-pamfletowy. Można zrozumieć, że jest się dumnym z wpływów rzymskich, ale ostatecznie Awarowie czy Scytowie nie byli mniejszymi barbarzyńcami niż Słowianie. Ciekawe że w owym wiedeńskim czasopiśmie połowa autorów nosiła nazwiska

takie jak Pokorny, Sedlatschek, Novotny etc. Tu leży zresztą może wyjaśnienie zagadki. Przedwojenny *Instituto Italiano* w Warszawie robił wielkie wysiłki, aby Polacy przestali mówić Włochy, Włosi a zaczęli mówić Italia, Italianie. W niemieckich statystykach występowali Ślązacy, Mazurzy, Wasserpolacy, byle tylko nie Polacy. Ale tu już mamy do czynienia z polityką, dlatego też wolę przykład *Instituto Italiano*, który robił to z pobudek najzupełniej „czystych”, dla sportu.

Trzeba przyznać, że i my w naszym skromnym zakresie poszliśmy równie daleko jak ci Włosi. Wiemy, że galicyjscy Rusini z uporem (i — zdaniem niektórych — z perwersją) nazywali siebie Ukraińcami. Społeczeństwo polskie wołało jednak nazywać ich (w języku polskim) Rusinami. A władze polskie nie tylko umieszczały w statystykach Rusinów oraz Ukraińców, ale jeszcze 700.000 „tutejszych” (mieszkali na Polesiu, nie wiadomo skąd się wzięli). Ostatnie lata przed wojną przyniosły nawet projekt stworzenia Huzulenvolku przejęty potem na terenie Podhala jako Gorallenvolk. Ale władze uważały, że nawet w swoim języku owi „Rusini” nie mają prawa nazywać się jak się im podoba. Ponieważ jednak władze na Wołyniu były odmiennego zdania (a raczej być musiały, bo w tej dawnej prowincji rosyjskiej „ruski” znaczyło po prostu rosyjski), więc mieliśmy o miedzę szkoły z „ruskim językiem nauczania” i szkoły z „ukraińskim językiem nauczania”, mimo że oba te języki były oczywiście jednym i tym samym językiem (Języka „tutejszego” jakoś nie było).

W nazwach mogą odzwierciedlać się nie tylko spory narodowe, ale i walka klas. Powszechnie znane są perypetie Petersburga, zmienionego przez nacjonalistów na Petrograd a przez bolszewików na Leningrad, no i bezliku innych miast rosyjskich, że przytoczę choćby Carycyn-Stalingrad. (Ciekawe jednak, że już w pierwszych latach rewolucji przeważała nacjonalistyczna tendencja do gloryfikacji herojów rodzimych: Marxgrad nie istnieje, a Engelsowi przypadło w udziale tylko skromne miasteczko Pokrowsk koło Saratowa — Pokrow to święto Bogurodzicy — i to tylko dlatego, że było stolicą republiki Niemców nadwołżańskich).

Nie tylko nazwy miast, ale i nazwy krajów zmieniają się ze zmianą reżimów, czy to we Francji, gdzie rewolucja „skasowała” dawne prowincje i wprowadziła departamenty, czy też u nas, choć tu znowu nie z powodów „klasowych”, lecz narodowo-państwowych. Tak więc po rozbiórce Polski Austriacy anektowali dwie ówczesne prowincje polskie: Małopolskę (która obejmowała Kraków, Lublin, Sandomierz, a której wschodnia granica biegła nieco na zachód od Sanu) oraz Ruś Czerwoną (składającą się z ziemi lwowskiej, sanockiej, halickiej i przemyskiej). Powołując się na nieco odległe, bo 13-wieczne prawa dynastyczne do ziemi halickiej i włodzimierskiej nazwali oni nie tylko ową ziemię halicką (poprawnie i zgodne z tradycją polsko-łacińską) Galicją, a ową ziemię włodzimierską — Lodomerią, ale też nazwali Galicją, aby usprawiedliwić aneksję, całą zachodnią

część swego zaboru aż po Kraków włącznie. Ta „Galicja” zachodnia jest równie Galicją, jak była Prusami prowincja polska anektowana przez Prusaków w trzecim rozbiórce, obejmująca Warszawę i Białystok, a nazwana Neu-Ost Preussen — Nowe Prusy Wschodnie. Kiedy Polska uzyskała byłą Galicję po pierwszej wojnie światowej, to nasze władze nazwały Ruś Czerwoną Małopolską Wschodnią. Owa „Małopolska” jest po prostu kopia austriackiej Galicji, tylko w drugą stronę, ku wschodowi. Władze austriackie nazwały Małopolskę Galicją Zachodnią, no to my, nazwijmy Galicję (Ruś Halicką) Małopolską Wschodnią. Nie potrzebuję chyba dodawać, że ta „Małopolska” była równie Małopolską jak Neu-Ost Preussen z Warszawą i Białymstokiem były Prusami.

Te rozważania i wspomnienia nasunęły mi się, gdy przeglądałem dwie książki wydane niedawno przez Ukraińską Wolną Akademię Nauk w Kanadzie. Profesor Unbegaun (1) omawia co prawda nie nazwę „Rusin” a nazwę „Ruthenus” (skąd niemieckie Ruthene, francuskie Ruthène etc.). Nazwa ta, którą spotykamy w średniowiecznych kronikach łacińskich (po raz pierwszy w roku 1089), była wówczas tłumaczeniem nazwy Rusin. Prawdziwi Ruteni był to szczerp celtycki w Galii za czasów rzymskich, pochodzi od nich nazwa miasta Rodez we Francji (którego mieszkańiec nazywa się do dziś po francusku Ruthénois). Nazwę owego plemienia celtyckiego zastosowano do Rusi na mocy znanej manii średniowiecznych skrybów lubiących popisywać się swoją erudycją. Podobnie kronikarz angielski uważał za przodka Brytyjczyków tj. Brytów Brutusa, Kadłubek wywodził Lublin czyli Julin (!) od Juliusza (Cezara), a humaniści litewscy mówili o sobie, że są *Lituani hoc est Italiani*. Na tej samej zasadzie nazwa antycznego plemienia ze stepów czarnomorskich Sarmatów-Sauromatów przeniesiona została najzupełniej dowolnie na Polaków.

Profesor Unbegaun zajmuje się tylko historią średniowiecznej nazwy łacińskiej. Warto, aby jaki uczony ukraiński zajął się historią nazwy *Rusin* i jej wariantów (*Rusnak*, przymiotnik *rusiński* itd.), a także późniejszą historią nazwy *Ruthenus* i tym w jaki sposób obie nazwy zostały ograniczone do Ukraińców. Warto by też zbadać historię nazwy Galicja. Podejrzewam, że zbieżność z Galicją w Hiszpanii nie jest przypadkowa, ale że i tu zawdzięczamy ją erudycji kronikarzy.

Profesor Rudničkiy (2) omawia historię nazwy Ukraina. Warto na wstępie zaznaczyć, że panuje dość powszechnie — zwłaszcza w nauce polskiej — mniemanie, że nazwa Ukraina pochodzi od słowa „ukraina” — pogranicze, że było to pogranicze Polski i że nazwa powstała bądź w Polsce bądź w związku z Polską. Gdyby tak było, nie byłoby w tym oczywiście nic hań-

(1) B. Unbegaun, *L'origine du nom des Ruthènes*, U.V.A.N., Onomastica Nr. 5, str. 122, Winnipeg, Manitoba, 1953.

(2) Jaroslav B. Rudničkiy, *Słowo j nazva „Ukrajina”*, U.V.A.N., Onomastica Nr. 1, str. 132, Winnipeg, Manitoba, 1951.

biącego (choć prawdopodobnie ukraińscy szowiniści tego by nigdy nie przyznali). Ostatecznie Francja nie tylko nosi nazwę obcą, ale jest to w dodatku wprost nazwa germańskiego szczepu Franków, który ją podbił. Tak samo i Rosja (od skandynawskich Wikingów Russów). Ameryka nosi nazwę bynajmniej nie angielską. I tak dalej.

Ale prawda jest zawsze bardziej skomplikowana. Profesor Rudnycki na podstawie szczegółowej analizy tekstów średnio-wiecznych twierdzi, że *ukraina* oznaczała do XV-go wieku: pogranicze, a potem: 1) „mniejsza jednostka przestrzenna, część całości”, 2) daleka cudza ziemia, 3) nadal pogranicze. Po czym z pierwszego znaczenia powstało znaczenie: kraj, ziemia, a z niego: *Ukraina* — ziemia kozacka (od końca XVI wieku) i, również od XVI wieku, *Ukraina* — całość ziem zamieszkałych przez Ukraińców. Ale i do końca XIX wieku zachowało się węższe znaczenie: *Ukraina* — ziemia kozacka, to jest Kijowszczyzna i Braclawszczyzna.

Przy całej obiektywności i wartości naukowej pracy profesora Rudnyckiego nasuwają się jednak pewne uwagi. Można się zastanowić, czy znaczenie „mniejsza jednostka terytorialna” istniało rzeczywiście. Teksty wydają się tego nie potwierdzać. Porównując cytowany przez profesora Rudnyckiego Ewangelizator Peresopnycki z oryginałem greckim widać, że *ukraina* i *ukrainy* znaczy albo „pogranicze”, albo „okolica”, albo „kraj”. Tak samo *ukraina węgierska* a zwłaszcza *ukraina granic węgierskich* w tekście polskim z XVII wieku to po prostu „pogranicze”, podobnie jak *ukraina podolska* u Starowolskiego w 1671 (Kamieniec Podolski należał do Turków od 1672 do 1699). Zresztą hipoteza, że słowo to oznaczało „mniejszą jednostkę terytorialną” jest zbędne. O wiele prościej jest przejść od znaczenia „pogranicze” do „okolica”, a od „okolica” do „kraj”. (Np. I przybyli do kraju Gadareńczyków — *ukrajina Hadaryńska*). A że od słowa „kraj” do znaczenia Kraj, jest blisko, to chyba dla Polaków szczególnie jasne. Z drugiej strony autor niepotrzebnie postuluje znaczenie „daleka ziemia”. Rzeczywiście, dziwne byłoby gdyby mówić jednocześnie o Kraju i o tym, że „pojadę w kraj” — w cudzy kraj. *Ukraina* — daleki kraj spotyka się w pieśniach. Pieśni wędrują i byłoby może najprościej przypuścić, że powstały takie pieśni gdzieś (np. w Galicji), gdzie *ukraina* znaczyło jeszcze „pogranicze” i gdzie Ukraina wydawała się dalekim pograniczem. Podobną definicję daje słownik Lindego. Z niego wziął go zapewne polsko-angielski słownik Chodźki sprzed 100 lat, który pozwolił sobie zacytować: „(marches, borders) Ukraine; fig. fam. a very distant country. Przecież to nie *Ukraina* — it is not at the end of the world”. Jest jasne, że dla Polaka z Warszawy Ukraina była pograniczem i dalekim krajem. Trudno tu nawet mówić o trzech różnych znaczeniach.

Kto wie więc, czy nie należałoby historii słowa *Ukraina* w XVI wieku rozdzielić na dwie części: w języku ukraińskim (oprócz dialektów zachodnich, gdzie wpływ polski działał w tym

wypadku zachowawczo) oznaczało ono już Ukraina (kozacka), w polskim: pogranicze, daleki kraj. To by wyjaśniło też być może etymologię ogłoszoną przez Włocha Viminę w roku 1656 (od pogranicza), a udzieloną mu według prof. Rudnyckiego prawdopodobnie na dworze Chmielnickiego. Chmielnicki i jego otoczenie byli ludźmi wykształconymi, znali obok łaciny i polski, a więc dla dania etymologii mogło im przyjść do głowy słowo polskie. Tego rodzaju etymologia mogła zresztą istnieć już przedtem i narzucała się niejako sama, jak to zdaje się wynikać np. z rękopisu jezuickiego z roku 1609 (1): *Ukraina est extrema pars Regni Poloniae, ac ille tractus Russiae quo ultimi fines ac limites Regni clauduntur*” (3). Jasne jest też, że z punktu widzenia polskiego Ukraina była całą dalekim pograniczem i to zapewne ułatwiło w XVI-XVII wieku przyjęcie przez Polaków nazwy, której znaczenie wywodziło się w rzeczywistości nie od znaczenia „pogranicze”, lecz od znaczenia „kraj”.

Dla polskiego czytelnika książka profesora Rudnyckiego może mieć tę szczególną wartość, że pozwala położyć kres gadaniu, jakoby Ukraina „nawet nazwę dostała od nas”. Żaden przytomny Ukraińiec nie zaprzecza związków kulturalnych ukraińsko-polskich. Nie znaczy to jednak, że Ukraińców „wydumali Paliaki” jak twierdzili w swoim czasie rosyjscy czarnoseciny. Stosunki polsko-ukraińskie ostatnich dziesięcioleci były zbyt smutne, aby tego rodzaju z naszej strony próby jak owe daremne wysiłki *Instituto Italiano* Ukraińców bawiły. Jeżeli więc nie będziemy wmawiali w nich, że powinni nazywać się Rusinami, a że w każdym razie nazwa Ukraina to „tylko pogranicze” (a przecież Polska to też „tylko pola”), no i że to nazwa polska, to stosunki polsko-ukraińskie mogą na tym tylko zyskać.

Andrzej VINCENZ

CHODASIEWICZ A POLSKA

Ukazał się drugi numer nowego rosyjskiego pisma literackiego „Opyty”, wychodzącego w Nowym Jorku pod redakcją R. N. Grinberga i W. L. Pastuchowa. Pismo, o formacie nieco większym od „Kultury”, odznacza się staranną szatą graficzną i dobrym papierem, a zawiera działy: poezja, krytyka, proza, wspomnienia i materiały a wreszcie omówienia-recenzje. Zresztą granice działów nie są pedantycznie przestrzegane. I tak w dziale krytyki znajduje się proza literacka Remizowa, a w dziale prozy wspomnienie z wojny domowej D. Lechowicza, interesujące i dla czytelnika polskiego. Autor gdzieś w 1919 znalazł się z armią Denikina na północnej Ukrainie i trafił do Baturyna, dawnej stolicy hetmanów, między innymi i Mazepy, bohatera walk o niepodległość i sojusznika Karola XII. Według Lechowicza Baturyn nazywał się dawniej Batoryn, bo założony został

(3) Cytowane z rękopisu w bibliotece narodowej we Wiedniu przez A. Martel, *La langue polonaise dans les pays ruthènes*, str. 16 (podkr. moje).

w 1575 za Stefana Batorego (który nawiasem mówiąc panował dopiero od 1576). Po skasowaniu hetmanatu przez carycę Katarzynę Baturyn dostał na obtarcie łez ostatni hetman, faworyt Razumowski. Była to nowa epoka rozkwitu dla miasta, miano tam nawet założyć uniwersytet, sprowadzono architektów Rinaldigo oraz Camerona, który zbudował Razumowskiemu pałac. Oto jak wspomina ów pałac były oficer rosyjski: „Tam na lewym brzegu rzeki Sejm, na stromym urwisku... stoi bajecznej piękności kolumnada, a za nią ruiny gmachu, wyjątkowego w swym ogromie i koncepcji architektonicznej. Patrzysz i nie chce się wierzyć, że ma się przed oczyma zakątek gubernii czernihowskiej, a nie ruiny świata antycznego — Rzymu czy Grecji”. Tak grecki geniusz Ukrainy działał na architekta z północy każąc mu kontynuować wielką hellenicką tradycję ukraińskiej architektury i kultury, sięgającą kolonii antycznych nad Morzem Czarnym, Bizancjum i Renesansu.

„Opyty” (*) poświęcają uwagę kontaktom Rosji z Zachodem. Numer zawiera szkice o pobycie Czechowa we Włoszech i Francji oraz o „paryskich dniach Gogola”. Z poloników mamy uroczono napisane wspomnienia W. Lednickiego o Władysławie Chodasiewicz. Zmarły w 1939 Chodasiewicz był wybitnym poetą tego mniej więcej pokolenia co Blok i Bieliy, ale jakoś tak się składa, że zagranicą jest o wiele mniej znany. Może dlatego, że był nie tylko poetą ale i krytykiem literackim a zwłaszcza puszkinistą. Był też dobrym znawcą poezji i wersyfikacji polskiej, a ponadto przełożył na rosyjski Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego, razem osiem tomików.

Profesor Lednicki, który jest Polakiem z Moskwy, opisuje swe młode lata spędzone w tym mieście, gdzie ojciec jego odegrał tak wybitną rolę. (Wspomina między innymi swe spotkanie z poetą Briusowem). Chodasiewicz był synem Polaka z Rosji, jego matka była polską Żydówką, sierotą z Kresów, przyciągniętą i wychowaną w religii katolickiej przez przyjaciół jej ojca — Radziwiłłów (tak). Ale choć Chodasiewicz też mieszkał w Moskwie do rewolucji, to jednak profesor Lednicki poznał się z nim dopiero w roku 1935 w Paryżu. Poeta, podobnie jak całe jego rodzeństwo, był Rosjaninem, a jednak miał dzięki matce jakieś poczucie związku z Polską. Profesor Lednicki cytuje jego słowa: „Bracia moi i siostry zawsze byli obojętni wobec swej „polskości” i katolicyzmu, wszystko to stracili zwyczajnie i raz na zawsze. A ja co innego: czy to nie dziwne, że właśnie mnie, poetę i pisarza rosyjskiego, ciągnie ku katolickiej Polsce”. Miał jedno marzenie: zobaczyć przed śmiercią Kraków i jego kościoły. Dzięki profesorowi Lednickiemu zaproszono go do Krakowa na odczyty o poezji rosyjskiej. Miały się one odbyć... w jesieni 1939 roku. Profesor Lednicki ilustruje swe wspomnienia o sympatiach czy raczej uczuciach polskich Chodasiewicza kilkoma utworami poety. Trudno je cytować w oryginale a tym bardziej przekładać, ale pozwolimy sobie przytoczyć urywek wiersza o ojcu, który urodził się: „Tam gdzie grusze stoją na zielonej miedzy. Tam gdzie Wilia i Niemen lazurowe wody unoszą”. Poeta czuł się Rosjaninem, pisał o sobie, że strasznie czarodziejskiego języka rosyjskiego, ale pisał też:

Rossii pasynok, o Polsze

Nie znaju sam, kto Polsze ja ?

No wosiem tomikov — nie bolsze —

I v nich vsia rodina moja.

(Rosji pasierb, co do Polski, to sam nie wiem, kim dla Polski jestem ? Ale osiem tomików, nie więcej, i w nich jest cała ma ojczyzna.)

(AV)

(*) Opyty, literaturny żurnal pod redakcją R. N. Grinberga i V. L. Pastuchowa, Kniga wtoraia, Nju-Jork, 1953, 207 stron.

REFORMACJA JAKO NARZĘDZIE POLONIZACJI

Ukazał się czwarty tom książki pamiątkowej (1) ku czci Henri Grégoire, wybitnego belgijskiego historyka-bizantynisty (a także sławisty a poza tym wydawcy pisma *Flambeau* prowadzącego energiczną walkę o wolność narodów za żelazną kurtyną). Ow czwarty już z kolei tom, a raczej tomisko, nosi nazwę „Pankarpeia”, co na polski można by przełożyć „tutti frutti” i rzeczywiście zawiera artykuły na wszystkie możliwe tematy od uprawy bawełny w Asyrii do greckiego poematu o zakochanym dziku. Czytelnika polskiego zainteresuje dłuższe studium prof. Kota (2) poświęcone reformacji w Wielkim Księstwie Litewskim. Też profesor Kota wyraża podtytuł jego studium. Można by ją streścić w sposób następujący: Wielkie Księstwo Litewskie mimo przyłączenia do Polski (ściśle formalnego zresztą: król polski był Wielkim Księciem Litewskim, poza tym Litwa stanowiła zupełnie odrębne państwo) żyła dalej odrębnym życiem kulturalnym i religijnym. Z wyjątkiem okolic językowo litewskich ogromna większość kraju była ruska kulturalnie i prawosławna religijnie. Do XVI wieku kultura ruska nie stała niżej od polskiej, toteż Ruś nie miała powodu się polonizować. Dopiero rozkwit renesansu w Polsce sprawił, że kultura polska opanowała całą polską Ruś to jest dzisiejszą Ukrainę i Białoruś. W jaki sposób i jakimi drogami język polski i kultura polska zostały przyjęte przez elitę kulturalną Białorusi i Ukrainy pokazał w swoim czasie przedwcześnie zmarły językoznawca francuski André Martel w swym znakomitym studium *La langue polonaise dans les pays ruthènes* (Lille 1938). Zwrócił on też pokrótce uwagę na rolę protestantyzmu w owym dziele polonizacji, ale poświęcił tej kwestii wszystkiego 15 stron. Profesor Kot pokazuje dokładniej jak prawosławna Ruś, która ciągle jeszcze odnosiła się z tradycyjną nieufnością (podobnie zresztą jak prawosławna Grecja, Serbia czy Moskwa), do katolickiej, łacińskiej Polski, ciążyła jednocześnie ku kulturze zachodniej i dlatego wołała przyjmować protestantyzm, w którym widziała mniejszą groźbę dla swej odrębności i który miał tę zaletę, że także walczył z Rzymem (podobnie za naszych czasów cerkiew prawosławna rosyjska flirtowała z anglikanizmem). Profesor Kot pokazuje jednak, że przyjęcie protestantyzmu nieodwołalnie niosło za sobą polonizację.

Protestantyzm jako ruch „masowy” przestał istnieć w wojnach szwedzkich, których koniec przyniósł zwycięstwo kontr-reformacji. Profesor Kot pokazuje, że upadek reformacji spowodowany był w dużej mierze tym, że protestantyzm nie trafił do chłopów. Historiozof-fatalista mógłby twierdzić, że reformacja spełniwszy swe zadanie nawrócenia elity litewsko-ruskiej na „polonizm” nie była już potrzebna i przestała istnieć. Obok problemu utracenia przez naród swej elity na rzecz kultury sąsiedniej — a to właśnie miało miejsce na polskiej Rusi — istnieje i inny problem: jednocześnie z polszczeniem się szlachty ruskiej, płynęła, począwszy od XIV wieku, na ziemie ruskie (zwłaszcza na ukraińskie) wielka fala kolonizacji polskiej, szlacheckiej i chłopskiej. Fala ta sięgała aż za Dniepr. Problemem równie pasjonującym byłoby zbadać, z dokumentami w rękę, w jaki sposób te tysiące kolonistów, zukrainizowały się kompletnie. Byłaby to niejako druga strona medalu. Jeżeli przyjmiemy, jak to się potocznie przyjmuje, że kultura polska była wyższa, to jak wytłumaczyć, że to nie ukraińscy chłopcy

(1) *Annuaire de l'Institut de Philologie et d'histoire orientales et slaves*. Tome XII (1952). *Pankarpeia*, Mélanges Henri Grégoire. Bruxelles 1953. VIII + 688 stron.

(2) S. Kot. „*La Réformation dans le Grand-Duché de Lithuanie, facteur d'occidentalisation culturelle*”, ib. str. 201-261.

się spolszczyli? Można by próbować twierdzić, że Ukraińcy byli w większości, choć historyk Marcin Kromer pisze w XVI wieku: „W stronach południowej Rusi już prawie więcej w używaniu jest dialekt polski niż ruski, gdyż dla żyzności gleby... chętnie tam osiadają Polacy”. A z drugiej strony przecież nie przewaga liczebna Polaków skłoniła elitę ruską do polonizacji. Należy mieć nadzieję, że kiedyś jakiś badacz ukraiński lub polski sprawę tę rozświetli.

W omawianym tomie znajduje się też studium (3) o poezji epickiej Alanów, szczepu który zamieszkiwał w starożytności stepy nad Morzem Czarnym, a o którym wiemy jedynie od Greków. Opierając się również na źródłach daleko-wschodnich autor rekonstruuje, w sposób oczywiście wysoce hipotetyczny, niektóre wątki poetyckie, które mogły istnieć w poezji Alanów. Wyciąga też wniosek, że prawdopodobnie mieli oni ustrój matriarchalny. Warto w związku z tym zanotować studium W. Szczerbakiwskoho (4) na temat ukraińskich obrzędów ślubnych, z którego wynika, że w przeciwieństwie do Rosjan, a zgodnie z niektórymi szczepami kaukaskimi i bałkańskimi Ukraińcy posiadali matriarchat. Istniałaby więc na Ukrainie, mimo iż poprzedni mieszkańcy ulegli sławinizacji, ciągłość kulturalna od co najmniej dwu i pół tysiąca lat, podobnie jak i na Bałkanach. Warto więc dorzucić, że mit świętego jelenia i polowania na niego jest bardzo rozpowszechniony w folklorze bułgarskim, rumuńskim i ukraińskim (w każdym razie karpaccim). Według Vernadsky'ego jelen był zwierzęciem świętym Alanów.

(AV)

BIAŁORUSKA „VEDA”

W Nowym Jorku ukazuje się od trzech lat organ Naukowego Towarzystwa imienia Franciszka Skoryny miesięcznik „Veda” pod redakcją J. Stankiewicza. Pismo to poświęcone jest głównie historii Białorusi i językowi białoruskiemu. Polskiego czytelnika wychowanego na Historii Polski, tak jak jej uczyli w polskich szkołach, spotka niemałe zdziwienie w czasie lektury tego pisma. Przywykł on uważać, że Wielkie Księstwo Litewskie to Litwa, a Litwa to (jak u Mickiewicza) — Polska. A tu dowiaduję się że Wielkie Księstwo Litewskie miało własną kulturę, kulturę ruską, a więc białoruską i że było to właściwie państwo białoruskie. Uczono nas historii w myśl zasady, że wszystko co jest polskie w XIX wieku, to i wcześniej, co było równie wielkim uproszczeniem jak twierdzenie rosyjskie, że co jest Rosją w XIX wieku to było nią zawsze (i anektowanie wobec tego jako Rosjanina Chmielnickiego, Kozaczyzny i Rusi Kijowskiej). A przecież, choć Wielkie Księstwo Litewskie nie było Polską, to było z Polską w unii i tworzyło razem z nią Rzeczpospolitą. Aby móc się poczuwać do dziedzictwa tej Rzeczypospolitej, trzeba by coś wiedzieć o partnerach unii. Ilu z nas wie, że językiem urzędowym Wielkiego Księstwa był język ruski nie tylko za Jagiellów, ale w XVI i do końca XVII wieku. Ze poczucie odrębności litewskiej było żywe nie tylko za czasów Unii Lubelskiej, ale i później, nawet jeszcze w czasie marszu Napoleona na Moskwę. I że „Litwini” nie czuli się automatycznie Polakami, ale współwłaścicielami a potem współdziedzicami Rzeczypospolitej.

Polski czytelnik zdziwi się też niemało, a może i uśmiechnie, widząc, że pismo wspomina takich Litwinów jak Domeyko czy Kościuszko, widząc

(3) G. Vernadsky, *Anent the epic poetry of the Alans*, ib. str. 517-538.

(4) W. Stscherbakiwskyj, *The Early Ukrainian Social Order as reflected in Ukrainian Wedding Customs*. W piśmie *The Slavonic and East European Review*, June 1953, vol. XXXI, str. 325-351.

że mowa o rozbiorach Białorusi w XVIII wieku, o powstaniach białoruskich itd. I pomyśli może nawet: nie mają własnej historii, więc przywłaszczają sobie naszą. Ale ów (hipotetyczny zresztą) czytelnik nie będzie miał racji. Powstania były rzeczywiście także i litewskie to jest głównie białoruskie, a przeszłość Wielkiego Księstwa Litewskiego jest przeszłością zarówno Białorusi jak i Litwy. Byłoby ciasnym nacjonalizmem z naszej strony twierdzić, że Mickiewicz, Książnin, Kościuszko czy Traugutt byli tylko Polakami a nie również Litwinami-Białorusinami. A ponadto byłoby to sprzeczne z historią. Należy może wyrazić żal, że „Veda” ukazuje się po białorusku. Nie jest to paradoks. Byłoby niewątpliwie pożyteczne, gdyby pismo takie ukazywało się po polsku, pożyteczne dla nas, bo moglibyśmy się z tego wiele nauczyć, pożyteczne może i dla Białorusinów, bo ostatecznie skazani jesteśmy na sąsiedztwo.

(AV)

Notatki wydawnicze

Leśnik Marii Kuncewiczowej ukazał się w tłumaczeniu angielskim (*The Forester*, Hutchinson, London, 1954). Czytelnicy „Kultury” znają tę piękną powieść. Odczytałem ją po angielsku z równą niemal przyjemnością. Tłumaczenie (zresztą doskonałe) nie może wprawdzie oddać magicznej intuicji z jaką Kuncewiczowa potrafiła wyczarować współczesny ekwiwalent języka romantycznego (wplatając weń odcienie gwary lokalnej, „prywatne” słownictwo grup ludzkich, odtwarzając esencję polskiego XIX wieku). Jakże bogata to książka! Jest ona jakby mostem literackim rzuconym między XVIII i XX wiek. Zdarza się czasem że w literaturze danego narodu powstają luki tak dotkliwe, że muszą być wypełnione choćby z opóźnieniem, z pozornym lekceważeniem „aktualności”. Zajęty wyłącznie problemem narodowym, w formie „patriotycznej” czy społecznej, powieściopisarz polski XIX wieku przeszedł mimo wielu konfliktów, odczuć i nastrojów, w których żyli współcześni mu ludzie. Pozostały dydaktycznie abstrakcyjne utwory, w których Polacy żyją niemal wyłącznie „jako Polacy”. *Leśnik* Kuncewiczowej daje nam w Izabeli wersję czarnej powieści gotyckiej, w ewolucji Kazimierza przypomina Stendhala. Oczywiście nie poprzez żadną „stylizację” — na to jest Kuncewiczowa pisarzem zbyt autentycznym. Ale egzotyczna Polska staje się w tej książce żywą częścią Europy. Ileż realizmu w tej powieści, jakże konkretne wyczucie szczegółu, gestu, słowa. Realizmu który (w poetyckiej wersji Kuncewiczowej) nazwałbym „magicznym”.

Leśnik jest oczywiście tylko przypadkowo książką „historyczną” (choć przywraca nam wyczucie epoki trafniej od wielu ówczesnych powieści). Problemy życia, miłości i śmierci, problem „odrodzenia osobowości”, architypy które drzemą na dnie naszej świadomości: Kuncewiczowa śmiało i głęboko przedzie wzór ludzkiej egzystencji poprzez losy swoich postaci. Polskie szeptane krytyki *Leśnika* z którymi się zetknąłem wydają mi się zadziwiająco powierzchowne: mówiono mi że „tak się nie zachowywały hrabiny” (cożby wtedy zostało z Balzaca?), lub że dziwactwa Izabeli są „śmieszne” (trudno, wymagać od pisarza żeby zajmował się wyłącznie panią Dulską czy państwem Kowalskimi).

Sztuki Michel de Ghelderode, najciekawszego współczesnego pisarza belgijskiego, oburzają i gorszą tych samych ludzi którzy „przepadają za

Breughelem" i „lubią obrazy Boscha". Może dlatego że pobyt w muzeach nadaje obrazom piętno „arcydzieł", odbiera im pierwotną skandaliczną siłę. Stają się one częścią „dorobku kulturalnego", mimowolnymi sprzymierzeńcami ustalonego ładu moralnego i społecznego. W narodowych galeriach, w „świątyniach sztuki" wszystko to co stanowi moc wywrotową, wyzywającą obrazów staje się niewidzialne na mocy tajemniczych praw burżuazyjnej optyki. A przecież świat Ghelderode (*Théâtre*, 3 tomy, Gallimard, Paris 1952-1954) jest zdumiewająco wierną rekonstrukcją Flandrii Hieronimusa Boscha i starego Breughela. Jest to świat apokaliptyczny skoncentrowany w danym punkcie czasu i przestrzeni. Przerażająca „danse macabre", czy „kermesse tragique" w której oszalały taniec wiodą biskupi i landsknechci, opaci i prostytutki, lichwiarze i doktorzy. Na umajonym wzgórzu sterczy różowa szubienica na której kat Menonkel powiesi z rozkazu namiestnikowego prokuratora Hermes de Fonseca fałszywego oskarżonego... W mieście Brugelmonde, Sodomie Niderlandów, wygłosi kazanie diabeł przebrany za kaznodzieję... Aby nawrócić purytanina, który zagraża zdrowiu miasta, biskup i główni notabie urządzają tajemnicze kapturowe zaprzysiężenie w miejscowym burdelu, które zakończy się opętaniem nabożeństwem do „Prasety".... Oto wątki paru „fars" w których Ghelderode narzuca widzom jedyny świat w którym swobodnie się czuje: świat religii i seksualizmu, pozornie sztywnych form społecznych i anarchii. Anachronizm Ghelderode, jego duchowa przeprowadzka o pięćset lat wstecz, działa tym silniej że niezwykła erudycja i wycucie języka pozwala mu na olśniewające żonglowanie wszystkimi elementami flamandzkiego XV wieku. Szereg najnowszych badań historycznych potwierdza jego artystyczną intuicję — czyż to że Breughel należał do „bractwa sroki", tajnego związku mającego na celu wszystkimi środkami zwalczać przemoc cesarskich wielmożów nie wydaje się pomysłem Ghelderode? Albo herezja Boscha, jego bunt przeciw Kościołowi i związki z alchemistami wyrażone najściślej obliczoną symboliką w obrazach, które jak się okazuje są o wiele bardziej „świadome" niż się przypuszczało? Anachronizm — tak. Ale sztuki Ghelderode mają także doniosłość poza czasową — jedyną prawdziwą „aktualność".

Forma dialogów radiowych z wybitnymi pisarzami przyniosła rewolucję autobiografii. Dotychczas wszystkie dzieła pisarzy o własnym życiu — nawet najbardziej szczerze — były ostatecznie odpowiedzią tylko na te pytania które sam sobie zadawał autor. Ale są pytania które mogą zenerować nawet ekshibicjonistów, zwłaszcza dotyczące konsekwencji czynków, ich świadomości. Léautaud odpowiadał swobodnie na wszystkie pytania Robert Mallet w czasie słynnych dialogów przez francuskie radio — ale jedynym programem życia Léautaud jest jego miłość do zwierząt i pogarda dla ludzi. Najbardziej żenujące pytania były dla niego prawdziwą uciechą. Inaczej przedstawia się ten problem dla człowieka który, jak André Breton, całe swoje życie poświęcił jednej idei i jej konsekwentnej obronie. Dialog radiowy z Bretonem, przeprowadzony przez André Parinaud, został niedawno wydany razem z innym wywiadami udzielonymi przez Bretona (André Breton, *Entretiens*, Gallimard, 1952). Jest to nie tylko niezwykle ciekawy wizerunek Bretona, z jego pasją bezkompromisowości, entuzjazmem, ale również rewelacyjna historia kulis surrealizmu.

Gilbert Cesbron, autor powieści o „prêtres-ouvriers", daje w *Chasseur Maudit* (Robert Laffont, Paris, 1953) zbiór aktualnych polityczno-społecznych felietonów. Cesbron jest katolikiem i rewolucyjnym konserwatystą. Książka jego należy do francuskiej tradycji Péguy, Leona Bloy, Bernanosa,

Saint-Exupéry. Ale te po części słuszne, po części naiwne i irytujące uwagi polemiczne nie mają poezji Péguy, zółci Bloy, siły Bernanosa, nie mają na zapleczu mitu Saint-Exupéry. Literatura protestu, bardziej może jeszcze od innej literatury, musi mieć siłę literacką (narzędziem moralnym jest tu nie czystość przekonań czy słuszność poglądów, a słowo).

Ewolucja literacka romansu kryminalnego jest pasjonująca. Agata Christie czy Ngaio Marsh zrównały ten rodzaj z dobrą drugorzędną literaturą. Simenon uważany jest przez wielu krytyków za jednego z najlepszych współczesnych pisarzy. W *Les Gommies* (Editions de Minuit, Paris, 1953), Alain Robbe-Grillet wprowadza „kryminał" do literackiej awangardy. Atmosfera akwariów, mistrzowskie operowanie tempem, całe strony pozorowanej nudy, stylistyczna ekwilibrystyka sprawia że trudno czytać tę książkę w „pociągu". A przecież jest to mistrzowski romans kryminalny, oparty, jak każde arcydzieło tego gatunku, na prostym, a niewyzyskanym dotychczas pomysłem.

Powieść Sophie Kramstyk, *On vit comme on peut* (Julliard, Paris, 1953) jest zakrojona na miarę epopei żydowskiej z czasów ostatniej wojny. Losy kilku rodni krzyżują się w Warszawie, w polskich miasteczkach, w Berlinie, w Nicei, w Hiszpanii. Jest to żydowski dramat mieszczański, tak jak „Qu'une larme dans l'océan" Sperbera jest żydowskim dramatem społecznym. Warto podkreślić w książce pisanej dla obcego czytelnika element głębokiego przywiązania do Polski i niezwykle wstrzemięźliwą i bezstronną wersję polskiego antysemityzmu.

Książka Frédéric Hoffet, *Psychoanalyse de Paris* (Grasset, 1954) jest sensacją dnia. Bernard Grasset, jedyny pisarz wśród francuskich wydawców, zaopatrzył książkę oryginalną przedmową. W formie listu oświadcza w niej Hoffetowi że nie zgadza się ani z psychoanalitycznym podejściem do życia, ani z jego wersją psychoanalizy Paryża. Zarzuca autorowi książki, której jest wydawcą, naiwność, ignorancję, a nawet pewną wulgarność. Oświadcza wreszcie że jest pewien powodzenia „Psychoanalizy Paryża", gdyż dzisiejsza publiczność lubi jaskrawe, grubo położone farby. Hoffet jest psychoanalitykiem, protestantem i alzatczykiem. Do pewnego stopnia książka daje więcej materiału do psychoanalizy Hoffeta niż do psychoanalizy Paryża. Jako przewodnik po paryskim świecie, jako Bedaeker Paryża literatury, sztuki i polityki, książka Hoffeta jest zabawna i zawiera dużo ciekawych szczegółów. Paryżanie zarzucają Hoffetowi prowincjonalizm, twierdząc że pomieszał on dzwony ze wszystkich kościołów stolicy. Ale nie ulega wątpliwości że spojrzenie z zewnątrz, nawet powierzchowne, daje czasem jaśniejszy obraz całości niż skomplikowana analiza znawcy, który jest często aktorem opisywanego widowiska. Życie Paryża — twierdzi Hoffet — jest życiem dworu. Nic się nie zmieniło od czasu Wersalu, oprócz tego że nie ma króla. Paryżanin jest dworzaninem — i tak jak na dworze wszystko w Paryżu obraca się wokół intryg osobistych. Stosunki między ludźmi nie są oparte na obiektywnych zawodowych czy funkcjonalnych motywach, a na powierzchownych elementach uczuciowych. Paryżanin jest przede wszystkim kobiecy (Hoffet twierdzi że prawdziwymi dyktatorami Paryża są pederasty). Stąd już tylko o krok do „psychoanalitycznej" gwary o kompleksach niższości i wyższości i do kompleksu Edypa. Nie trudno byłoby Hoffetowi zarzucić szereg sprzeczności. Chociażby zestawienie „kobiecości" Paryżanina z jego rzekomymi tendencjami homoseksual-

nymi. Wiadomo przecież że pederastyczne formy cywilizacyjne łączą się właśnie z „ultramęskością” — Legion Tebański, Ordensburgi SSów, oksfordzkie „rowing-teamy”. Paryżanin jest może „zniewieściał”, ale kult kobiety jest tu jednak znacznie silniejszy niż w „męskich” krajach anglosaskich. Zresztą książka Hoffeta wydaje się spóźniona o 30 lat — odnosi się bardziej do Paryża „Boeuf sur le Toit”, do Paryża Sachsa niż do Paryża po drugiej wojnie światowej. Wydaje mi się że część ściśle psychoanalityczna skazana była z góry na niepowodzenie. Psychoanaliza ciał zbiorowych — narodów czy klas społecznych — wydaje się możliwa wtedy gdy w grę wchodzi ściśle określona zbiorowa podświadomość, oparta na „architypach” wyrastających z mroków historii. Wydaje mi się że miasto może stwarzać modę, styl, maniery, obyczaje, ale że należą one do świadomej, a nie podświadomej sfery ludzkiej osobowości — wynikają z form świadomego współżycia a nie z podświadomego przymusu, który trzeba „psychoanalizować”. Jestem pewien że istnieją formy polskiej podświadomości zbiorowej — wątpię czy istnieje podświadomość „warszawska” — mimo niewątpliwie odrębnego warszawskiego „stylu”.

(i)

Przegląd czasopism

W lutowym numerze *Preuves* Manès Sperber daje niezwykle przenikliwą analizę procesu Rosenbergów. Zachowanie się Rosenbergów w czasie procesu do złudzenia przypomina zachowanie się komunistów oskarżonych w procesach moskiewskich i praskich, z tym że każde ich słowo było podyktowane nie przez prokuratora i sąd — gdyż proces ich toczył się w wolnym kraju — ale przez stojącą w cieniu partię komunistyczną.

„Uczynki o które oskarżeni byli Rosenbergowie uważane są przez każdego komunistę na całym świecie nie za zbrodnię, ale za spełnienie obowiązku wobec socjalistycznej ojczyzny, i o tyle bardziej zasłużone, o ile wystawiają ich autora pod miecz twardego ustawodawstwa jego kapitalistycznego kraju. Zdrada? Wobec kogo? Tak długo jak Klaus Fuchs czuł się związany z komunizmem, uważał on oczywiście przekazywanie sekretów atomowych Rosji Sowieckiej za dowód swej wierności. Kiedy — odrzucając się od stalinizmu — przyznał się do swych postępów, został natychmiast zdrajcą w oczach wszystkich komunistów...”

„...Rosenbergowie w Nowym Jorku są posłuszni temu samemu panu co skazańcy moskiewscy, słuchają tej samej policji totalitarnej. To to samo prawo depersonalizacji i wyprania z elementów politycznych przekształca ich w niewinnych małomieszczań, nawet jeśli popełnili zbrodnię o którą są oskarżeni, prawo które za żelazną kurtyną przekształca w absolutnych zbrodniarzy ofiary M.W.D. karane za niepopelnione zbrodnie. Rosenberg mógłby powiedzieć: „Kocham mój kraj i dlatego chcę aby został on sowiecką republiką i podbił przyszłość. Tymczasem poświęcam wszystkie moje siły obronie Związku Sowieckiego, naszej socjalistycznej ojczyzny, której istnienie jest zapowiedzią szczęścia ludzkości... Prowadziłem wraz z moją rodziną życie skromne i pracowite i nie znajdziecie nic podłego w motywach uczynku o który jestem oskarżony. Potrafię umrzeć za moje przekonania, o ile zajdzie tego potrzeba”. Gdyby Rosenberg, omamiony, ale wierny tradycji rewolucyjnej, tak przemówił, Partia orzekłaby że jest zdrajcą, prowokatorem, faszystą i nie byłoby najmniejszej kampanii w jego obronie”.

Sperber dowodzi dalej, na podstawie ogłoszonych notatek Rosenbergów, najściślej koordynacji, aż do najdrobniejszych szczegółów, pomiędzy sowiecką polityką i wypowiedziami które Partia dyktowała Rosenbergom w więzieniu. Stąd tyle pozornych sprzeczności w ich wypowiedziach. „Nie załamaliśmy się, stanęliśmy na wysokości zadania któreśmy sobie postawili” — pisze Rosenberg. Jakiego zadania? Czyżby rzeczywiście chodziło o przeciwstawienie się tym którzy „tłumaczą ludowi że zwolennicy pewnej filozofii politycznej uprawiają szpiegostwo?” W tym wypadku Rosenbergowie, z pewnością nie stanęli na wysokości swego zadania. Zamiast chronić się za „Fifth Amendment”, mogli byli dumnie oświadczyć: „Tak, jesteśmy komunistami, i mieszczcie nas do sprawy Greenglassa żeby rozpowszechnić opinię że komuniści są szpiegami. Otóż w tym procesie my, komuniści, jesteśmy niewinni, podczas gdy Greenglass, który jest szpiegiem, nie jest komunistą”. Ale partia nie pozwoliła im tak przemówić”.

Dla każdego kto uważnie przeczytał akta procesu, wina Rosenbergów nie ulega wątpliwości, i wyrok przysięgłych, wybranych za zgodą obrony, przedstawia się jako wyrok sprawiedliwy. To co sprawia wrażenie niesprawiedliwości, to kara śmierci wymierzona przez sędziego... Popelił on kapitalny błąd zmierzania w świetle stosunków z roku 1951 uczynków popełnionych siedem lat wcześniej i w warunkach nie tylko różnych, ale niemal diametralnie przeciwnych... W procesie tym spotkały się dwie legendy zdrady: na przeciw totalitarnej legendy stalinistów, powstaje, przez nią sprowokowana i żywna, legenda na mocy której naród amerykański chce zrzucić z siebie błędy przeszłości za które jest w pełni odpowiedzialny. Jest to spotkanie sumienia systematycznie zakłamanego z sumieniem niebezpiecznie wykrzywionym”.

W tym samym numerze, K. A. Jeleński zestawia wypowiedzi J. M. Domenacha z „Esprit” z polemiką pomiędzy Zofią Kossak-Szczucką i redakcją „Dziś i Jutro”.

W prasie francuskiej powieść Czesława Miłosza *La Prise du Pouvoir* przyjęta została entuzjastycznie. François Nourissier pisze między innymi w lutowej *Nouvelle Revue Française*: „Powieść Miłosza stawia po raz pierwszy problem dojścia komunizmu do władzy w demokracjach ludowych w świetle złożonych motywów duchowych i politycznych... Przynosi zaszczyt Miłoszowi postawienie dyskusji na poziomie który nie znosi ani sprytu, ani kłamstwa, i gdzie jedyną ostateczną odpowiedzią jest zaufanie człowiekowi...”

Angielski tygodnik katolicki *The Tablet* zamieścił w numerze z 30 stycznia ciekawy artykuł o problemie granic we Wschodniej Europie. *Tablet* przypomina że wschodnio-europejscy uchodźcy polityczni mają szereg federacyjnych koncepcji. Zachodnia opinia skłonna jest uważać dyskusje uchodźców za pozbawione znaczenia marzenia. *Tablet* stwierdza jednak, powołując się na przykłady Lenina i Masaryka, że często nieoczekiwany obrót spraw skłaniał wielkie mocarstwa do powierzenia właśnie uchodźcom decyzji o historycznej wadze. Wszelkie plany federacyjne — pisze *Tablet* — rozbiły się dotychczas o problem niemiecki. „Próby współpracy pomiędzy emigracją polską czy czeską i niemieckim rządem federalnym skazane były na niepowodzenie, gdyż żadna ze stron nie mogła zgodzić się na jakiegokolwiek ustępstwa”. W styczniu bieżącego roku członek zachodnio-niemieckiego parlamentu, Frank Seiboth, jeden z czołowych Niemców Sudeckich, ogłosił nowy projekt Federacji Europejskiej, który zdaniem *Tablet*, powinien być uważnie przestudiowany przez wschodnio-europejskich uchodźców. Wszel-

kie plany unii europejskiej rozbijają się, zdaniem Seibotha, o żywe wciąż europejskie nacjonalizmy. Aby ominąć te przeszkody, Seiboth stawia plan „Państwa Związkowego Wolnych Narodów”. Przyszła Europa powinna być jednym państwem bez żadnych wewnętrznych granic, ale wolne narody europejskie pozostałyby jej strukturalnymi elementami. Po usunięciu granic terytorialnych należałoby utworzyć „Volkstumskataster”, czyli narodowościowy urząd rejestracyjny, w którym każdy obywatel państwa europejskiego podawałby narodowość podług której pragnie być zarejestrowany. Na podstawie tej rejestracji, wszystkie narody przyjęłyby organizacyjną formę wolnych korporacji, które zajmowałyby się wychowaniem, narodową literaturą i sztuką, i które byłyby utrzymywane przez ponad-narodowe państwo. Państwo miałoby monopol wszystkich działalności i decyzji politycznych i gospodarczych. Narodowości popierałyby państwo a stosunek wzajemny przypominałby stosunek pomiędzy państwem i Kościołem w dzisiejszych warunkach i regulowany byłby pewną formą „konkordatów”. Tego rodzaju system zlikwidowałby problem mniejszości narodowych, zaś nowoczesny nacjonalizm mógłby się z wolna przekształcić w formę niepolityczną, ograniczoną wyłącznie do zachowania narodowych tradycji i języka.

(j)

Nadesłane nowości wydawnicze

LITERATURA

GIRAUDOUX (Jean). *Pour Lucrèce*. pièce en trois actes. Pp. 195 (Ed. Grasset, Paris, 1953, frs 390).

ASTURIAS (Miguel Angel). *Légendes du Guatemala*. Traduit de l'espagnol par Francis de Miomandre. Pp. 250 (Ed. Gallimard, Paris, 1953, frs 500).

MOUSSET (Paul). *Neige sur un amour nippon*. Roman. Pp. 283. (Ed. Grasset, Paris, 1953, frs 480).

MONFREID (de Henri). *La vocation de Caroline*. (Volume 1^{re} de *L'envers de l'Aventure*). Pp. 216. (Ed. Grasset, Paris, 1953, frs 540).

OLDENBOURG (Zoé). *La pierre angulaire*. Roman. Pp. 463 (Ed. Gallimard, Paris, 1954, frs 680).

JASPERS (Karl). *Strindberg et Van Gogh*. Hoelderlin et Swedenborg. Traduit par Hélène Naef. Pp. 286 (Ed. de Minuit, Paris, 1953).

VERALDI (Gabriel). *A la mémoire d'un Ange*. Roman. Pp. 335. (Ed. Gallimard, Paris, 1953, frs 550).

CABRINI (Gabrielle). *Le roi Dédal*. Roman. Pp. 237. (Ed. Gallimard, Paris, 1953, frs 390).

DOKUMENTY CHWILI

GARNIER (Christine). *Les Héros sont fatigués*. Visages du Libéria. Pp. 222. (Ed. Grasset, Paris, 1953, frs 450).

PENIAKOFF (Vladimir). *Mon armée privée*. Traduit de l'anglais par S. Desternes et A. Chalufour. Pp. 458. (Ed. Gallimard, Paris, 1953, frs 750).

La Pologne. Mémento économique. Collection de conjoncture et d'études économiques d'Institut National de la Statistique et des Etudes Economiques. Pp. 263. (Ed. Presses Universitaires de France, Paris, 1953, frs 1.600).

GIRARD (Alain) et STOETZEL (Jean). *Français et immigrants*. L'attitude française. L'adaptation des Italiens et des Polonais. Cahier N° 19 de *Travaux et Documents*. Institut National d'Etudes Démographiques. Pp. 531 (Ed. Presses Universitaires de France, Paris, 1953, frs 900).

Listy do Redakcji

Wielce Szanowny Panie Redaktorze !

Wyda mi się, że mój szkic o „Rubensie” który „miał filię w Szkocji” dał pewien pozytywny wkład do najnowszej historii Polski, skoro nie minął bez echa, czego dowodem są listy kierowane do redakcji „Kultury”.

W związku z listem J. E. ks. Arcybiskupa Gawliny czuję się w obowiązku odwołania krzywdzących uwag o księdzu dr Starostce. Wiadomości o nim czerpałem wprost od katowanych żołnierzy, a te mogły się okazać w niektórych wypadkach jednostronne. Że nie były jednak przesadzone — świadczy o tym właśnie list ks. Arcybiskupa, a Jego wysoki autorytet pokrywa z nadadkiem wszystko to, co opisałem.

Poza morderstwem śp. strzelca Jakubowskiego, którego zastrzelił strażnik Marian Przybylski, wśród najbardziej torturowanych znaleźli się st. strzelec Rajski, któremu odbito nerki, strzelec Michał Lando, którego codziennie wieszano na słupku, wspomniany dr Osuchowski, strzelcy Makowski, Pithole, Wilczek i wielu innych. Zresztą zamknięcie polskiego obozu koncentracyjnego nie od razu zlikwidowało tę zbrodnię. Wielu więźniów przeniesiono do więzienia międzyalianckiego w Coatdyke, gdzie sekcją polską kierowali st. sierżant Kujawa, były strażnik więzienia wojskowego przy ulicy Dzikiej w Warszawie oraz plutonowy „z cenzurą” Kaszyński. Bicie i wyrafinowane tortury były nadal na porządku dziennym — tak jak poprzednio w obozie „narodowym”. Strzelec Emil Żurek, z cywila inżynier, człowiek już 46-letni, musiał codziennie po cztery razy słać swe łóżko, za każdym razem ponownie rozrzucając przez Kujawę. Gdy Żurek słał je nie dość sprawnie, musiał za karę biegać kłusem aż do utraty tchu. Gdy raz upadł, spał potem na kamiennej posadzce, bez butów, przez trzy noce.

Więzienie to inspekcjonował czasem szef żandarmerii I. Korpusu, płk. Chodkiewicz, chiromanta, teozof i jasnovidz. Te nadprzyrodzone zalety pułkownika nie pozwalały mu jednak dostrzec, że więźniowie wyprężeni w szeregu byli przed wizytacją „prewencyjnie” katowani i „ostrzegani” przez mokrą ścierekę, że... „mordy stulić... jak ktoś piśnie jakiegoś zażalenie, to do jutra nie wyżyje... zakatuję na śmierć”. Skąd było czerpać odwagę — mówił mi inżynier Żurek — żeby zaryzykować skargę? Pogodny szef żandarmerii nigdy nie zanotował żadnych reklamacji.

Zarzut p. K. A. Jeleńskiego o moim miernym poczuciu humoru przyjmuję, jak należy, z pokorą. Każdy reaguje jak umie. „Kot” był pieszczony przez całe otoczenie generała Sikorskiego — ja nie. Zresztą nie o moje poczucie humoru tu szło, a o poczucie humoru Sikorskiego. Chodziło mi o rozbicie mitu, latami tworzonego przez wiernych, nie wiadomo po co. Sikorski miał tyle zalet, że kleczenie takiej legendy było zbędne i co najmniej śmieszne dla tych, którzy znali jego nadętą pychę. Wspólny kolega p. Jeleńskiego i mój, starszy ułan w owych czasach, Paweł Starzeński, zasłużył sobie na wieczną antypatię Sikorskiego, gdy na manewrach w Szkocji pełnił obowiązki wysłannika „Dziennika Żołnierza”. Pełno było gości zagrańskich i ambasador amerykański Drexle-Biddle w pewnym momencie przedstawił Starzeńskiego Generałowi (sense of humour?) tymi słowami: „Mon Générale, vous permettez que je vous présente Paul Starzeński. Avant

la guerre il a occupé un poste très important — il était secrétaire du ministre Beck". Tego było za wiele. Sikorski odszedł bez słowa, wściekły i ponury.

Tyle o humorze.

Wreszcie o generale Malinowskim. Rzeczywiście mało ważne — jak konstatuje p. Polakiewicz — czy był w Polsce zastępcą szefa sztabu. Obecnie jest ministrem Obrony Narodowej.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku.

Maciej FELDHUZEN

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze „Kultury” z września ubiegłego roku M. K. Pawlikowski poruszył sprawę „odkrycia” autora książki *Nadberezyńcy*. Niniejszą notatkę piszę nie w celu dochodzenia kto mógłby pretendować do tytułu „odkrywcy”, lecz po to by ogół czytający dowiedział się w jakich warunkach napisał i ogłosił swe dzieło nieprzeciętny pisarz, za jakiego uważam Floriana Czarnyszewicza.

Czarnyszewicz po prostu sam się „odkrył”. Z właściwą mu prostotą i skromnością, po jakimś patriotycznym zgromadzeniu w Buenos Aires, gdzieś w początkach 1940 roku, zwrócił się do profesora Wacława Radeckiego (zmarłego niedawno w Urugwaju) z zapytaniem, czy by nie zechciał przejrzeć rękopisu „pamiętnika”, który napisał i poradzić mu czy ma dalej pisać, względnie co może z rękopisem zrobić. Po uważnym przejrzaniu rękopisu profesor Radecki z żoną doszli do przekonania, że „pamiętnik” jest poważnym utworem świadczącym o wielkim talencie i możliwościach autora i wyciągnęli wniosek, że dzieło to trzeba wydać. W wir dyskusji na temat walorów powieści Czarnyszewicza, prowadzonej w szczerym kółku, wpadłem i ja, świeżo przybyły „pod modre niebo Argentyny” w charakterze konsula generalnego R.P. i uległem również czarowi czarnyszewiczowskiego słowa, urokowi nadberezyńskiej gwary, barwie opisów przyrody, rzeczy i ludzi.

Postanowiliśmy w sześciuosobowym zespole ojców chrzestnych czarnyszewiczowskiego płodu, rękopis z grubsza ociosany i poprawiony z pełnym szacunkiem dla właściwości stylu i gwary, oddać do druku. Na pokrycie kosztów wydawnictwa zebraliśmy niewielki fundusz w drodze składki, zaś gros kosztów wziął na siebie sympatyczny zespół Argentyńczyków pod nazwą „Circulo Argentino Polonia Libre”, a którego przedstawiciel dr Adolfo Rocca wszedł do grona wyżej wspomnianych ojców chrzestnych. Książka pod tytułem *Nadberezyńcy* wyszła na skromny rynek tutejszy w połowie 1942 roku. Słowo wstępne napisał profesor Radecki. Pierwszą recenzję na łamach tutejszego organu Związku Polaków „Głosu Polskiego” zamieścił działacz miejscowy i przyjaciel autora Leon Wanatowicz. Później pisali inni i pisałem też ja do prasy w Ameryce Północnej, nie wiem jednak czy moje nieliterackie pisaniny doszły do adresatów, gdyż był to okres niszczyielskiej działalności niemieckiego korsarstwa. Aby zapoznać Polaków w Wielkiej Brytanii z dziełem Czarnyszewicza, wykorzystaliśmy wyjazd grupy ochotników i przesłaliśmy 300 egzemplarzy książki do dyspozycji naszych „miarodajnych czynników” w Londynie. Ochotnicy dojechali do miejsca przeznaczenia, nigdy jednak nie dowiedziałem się co się stało z książkami. Pocięszalem się myślać iż weszły one w skład żołnierskich bibliotek.

Jeszcze kilka zdań o autorze *Nadberezyńców*. Do Argentyny przybył za chlebem przed około trzydziestu laty i ciężką pracą niewykwalifikowanego

robotnika zarabiał na życie. Po długich godzinach męczącego wysiłku czytał, pisał, poprawiał. *Nadberezyńcy* to w pocie czoła i życiowym znoju napisane dzieło.

Widziałem jak bardzo zżerało go życie fabrycznego robotnika. Wiedziałem, że od lat wielu pracuje w przedsiębiorstwie tych, którzy weszli z nami w „przymierze na śmierć i życie” czy też uznali nas za „natchnienie narodów”. Kilkakrotnie apelowaliśmy do nich o lepsze stanowisko dla Czarnyszewicza, tłumacząc iż dla sprawy alianckiej byłoby korzystniej gdyby mógł on poświęcić więcej czasu na pisanie, przemawianie, organizowanie. Był to okres intensywnej propagandy i organizacji zaciągu ochotniczego do P.S.Z. Ale alianci cenili nas bardzo gdy nasi dokonywali cudów w A.K. czy gdzie indziej. Tutaj nie groziły im bomby niemieckie a nawet poważniejszy spadek dywidend. Więc na prośby nasze odpowiadali bardzo uprzejmie ale oczywiście nic z tego nie wyszło. W międzyczasie przestaliśmy być aliantami więc Czarnyszewicz pracuje w dalszym ciągu ciężko, chociaż położenie ludzi pracy w peronowskiej Argentynie poprawiło się. I tworzy, o czym świadczy nowa jego powieść *Wicik Żywica*.

Pragnąłbym aby ta notatka przypomniła Polakom w wolnym świecie osobę autora *Nadberezyńców* i zachęciła do czytania i kupowania jego książek.

Roman MAZURKIEWICZ.

Szanowny Panie Redaktorze!

Jan Ulatowski pisze, że rzeczywistość nie istnieje, a tylko jest wytworem umysłu. Od czasów George'a Berkeleya (1685-1753) raz po raz wybuchają gorące dyskusje na ten temat. Nie przyłączając się do dyskusji, którą na pewno wywoła szkic Jana Ulatowskiego (niewiele potrafiłbym powiedzieć), chciałbym przypomnieć pewne zabawne wydarzenie.

Gdy niedawno ktoś z angielskich czasopism powróciło do teorii Berkeleya, książd prałat Ronald Knox, uczony, autor świetnego, oficjalnie przyjętego tłumaczenia Pisma św., dowcipniś i autor wielu powieści kryminalnych, napisał do redakcji następujący list:

*There once was a man who said : „God
Must think it exceedingly odd
If he finds that this tree
Continues to be
When there's no one about in the Quad”.*

(Był raz człowiek, który powiedział : „Bóg musi się bardzo dziwić, gdy widzi, że to drzewo nadal istnieje, kiedy na dziedzińcu nikogo nie ma.)

Wkrótce ukazała się odpowiedź na ten list :

*Dear Sir, Your astonishment's odd,
I am always about in the Quad;
And that's why the tree
Will continue to be
Since observed by Yours faithfully, GOD”.*

(Szanowny Panie! Pańskie zdumienie jest dziwne, bo ja zawsze na dziedzińcu jestem; i z tej to przyczyny drzewo nadal będzie istnieć, jako że widzi je Pański oddany, BOG”)

Łączę wyrazy poważania,

Wojciech GNIATCZYNSKI

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 9/71 *Kultury*, w artykule „Radio i radioci” p. Józefa Pretwica, znalazłem słuszne uwagi na temat czystości języka polskiego w słuchowiskach radiowych nadawanych dla Kraju, gdzie język polski z różnych względów podlega wielkiemu okaleczeniu.

Za te uwagi, zmierzające do podniesienia czystości mowy ojczystej, jestem bardzo wdzięczny autorowi artykułu.

Jestem Polakiem, emigrantem w Paranie od przeszło trzydziestu lat.

Nabywam prawie wszystkie książki wydawane w polskim języku, a wychodzące w Londynie, Rzymie, Paryżu czy gdzie indziej, jakie do nas dochodzą. Większość tych książek jest nadziana obcymi wyrazami, zdaniami, a nawet całymi ustępami, czasem z tłumaczeniem, a częściej nawet bez tłumaczeń.

Szukam książek „polskich”, a dostaję międzynarodową językową mieszaninę.

Jako przykład wezmę niewielką książeczkę, znanego i cenionego autora, omawiającą bardzo poważny polski temat. Są w niej użyte całe masy obcych słów w pięciu obcych językach.

Uważam, że książki polskie są przeznaczone do czytania dla Polaków — dla wszystkich Polaków — a nie tylko dla tych, którzy znają 5 języków obcych.

Co powiedzą dzieci polskie, zrodzone już na ziemi obcej ale mówiące po polsku, gdy czytają taką książkę? „To widocznie język polski jest tak ubogi, że, aby wyrazić swą myśl, trzeba posługiwać się aż pięcioma obcymi językami”?

Być może, że słowa obce mają być czymś w rodzaju „rodzynek w cieście”? Być może. Dla nas, są one raczej czymś w rodzaju „karalucha w zupie”.

Autor artykułu „Radio i radioci” nawołuje do czystości języka w słuchowiskach dla Kraju.

My, Polacy z Parany, nawołujemy do czystości języka w nowoczesnej literaturze polskiej, w książkach, w czasopiśmie.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku i poważania.

Józef STASZEWSKI

Do prenumeratorów „Kultury”

Przypominamy, że każdorazowa zmiana adresu pociąga za sobą dodatkową opłatę w wysokości 35 frs. (bądź równowartości), którą należy przekazywać do Redakcji w międzynarodowych kuponach pocztowych lub do przedstawicielstwa za pośrednictwem którego „Kultura” jest prenumerowana — w znaczkach pocztowych.

RÉSUMÉ EN LANGUE FRANÇAISE

Juliusz MIEROSZEWSKI critique « la politique du matérialisme non dialectique » du monde occidental.

C'est l'atmosphère de la vie elle-même, le contact avec des gens de milieux différents que décrit Lukasz WINIARSKI dans sa troisième « Lettre yougoslave ». D'où vient ce mélange de sympathie et d'irritation que l'auteur ressent dans ce pays jeune, spontané et contrastant ? Telle est la question qu'il se pose à lui-même. Il croit entrevoir la réponse dans l'idée que la Yougoslavie de Tito pourrait bien être la préfiguration d'une Pologne de l'avenir.

L'ambassadeur Michal SOKOLNICKI continue son étude de « l'Allemagne après la défaite ».

« Dimanche à Brunnen », tel est le titre d'un essai de Czeslaw MILOSZ. C'est un examen de conscience européen et personnel de l'auteur saisi, dans une petite église du canton d'Uri, d'un sentiment différent de la durée.

La mort récente — en Pologne — du grand poète Julian Tuwim donne lieu à deux évocations. Son ami Jozef WITTLIN, auteur du *Sel de la Terre*, et sans doute l'écrivain le plus important de l'émigration polonaise, rend un hommage émouvant à Tuwim dont l'œuvre entière lui semble touchée par la Grâce. K.A. JELENSKI explique le retour de Tuwim en Pologne et ses dernières années exploitées par les communistes en attribuant l'attitude du poète à la blessure profonde que lui infligea la période d'avant-guerre. Le poète Marian PANKOWSKI consacre à Tuwim une « Elégie funèbre ».

Dans la section économique, Stanislaw ZARZEWSKI examine les chances d'un deuxième N.E.P. en U.R.S.S.

Leon FURATYK étudie le dictionnaire officiel soviétique. Ce ne sont pas seulement les termes philosophique, mais les mots les plus simples de la langue courante qui témoignent — avec les exemples choisis par les auteurs du dictionnaire — de l'emprise littéralement « totale » du parti sur le peuple. Nous y voyons le « Newspeak » orwellien concrétisé.

Zygmunt NAGORSKI Jr. rend compte de la « Conférence nationale sur la Liberté et la Paix à travers la Libération » qui a eu lieu à Washington en décembre 1953. Il examine les chances présentes de la « Politique de Libération » aux Etats-Unis.

La « Chronique anglaise » contient un compte rendu et une prise de position par *Kultura* au sujet de plusieurs questions de politique « intérieure » de l'émigration polonaise. *Kultura* encourage le gouvernement de Londres et les partis d'opposition du « Conseil politique » à faciliter la tâche d'unification entreprise par le général Sosnkowski.

Le Professeur Ferdynand ZWEIG, un des économistes polonais les plus qualifiés qui a été récemment chargé par le gouvernement britannique d'une enquête sociologique sur l'ouvrier anglais, a eu l'occasion d'étudier tout particulièrement les aspects économiques et sociaux de la vie et du travail des quelque 90.000 ouvriers polonais en Grande-Bretagne. Il souligne leur aptitude au travail, leur bonne position matérielle, mais aussi leur dissatisfaction d'un mode de vie solitaire qui est celui de l'ouvrier anglais avec son « hobby » et son petit jardin.

La section de « La plus récente histoire de Pologne » contient cette fois deux documents importants. M. Alexandre CRETZIANU, ancien Sous-Secrétaire d'Etat aux Affaires étrangères de la Roumanie, a bien voulu nous faire part des dessous politiques de l'internement du gouvernement polonais en Roumanie en 1939. Son étude fait ressortir les pressions allemandes et l'attitude loyale du gouvernement roumain envers son allié polonais.

Le Général CAMPESINO et Julian GORKIN, nous montrent un visage peu connu de Rokossowski actuel « maréchal » de la Pologne.

Manès SPERBER étudie *La prise du pouvoir* de Czeslaw Milosz en tant que roman-chronique révolutionnaire.

Une importante chronique littéraire contient des comptes rendus de livres polonais, français, anglais, ukrainiens, etc.

Wydawca : Edition et Librairie „LIBELLA”,
12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris-(IV°).

Directeur-gérant : Mme Christiane Karasiewicz
Dépôt légal : 1^{er} trimestre 1954



KULTURA

REDAKTOR — JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (S. et O.)

Telefon: Maisons Laffitte (S. et O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1-rocznia	Rocznia
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 54, 15 th. St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
ARGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, «Składnica Książki Polskiej», Serrano 2076, Buenos Aires	10 peso	60 peso	120 peso
AUSTRALIA: «Vistula» (Australia) PTY Ltd., 77, Pitt Street, Sydney	5 sh. (a.)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6.
BELGIA I KONGO BELG.: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 62, Vandrekinder, Bruxelles-Uccle, Nr konta pocztowego 7315-20	30 frb.	145 frb.	260 frb.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: Julia Barcińska, r. Erasmo Braga 227 s. 214, Rio de Janeiro, oraz Zofia Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana; Hanna Lekszycka, rua Guairá 139, vila Pompeia, Sao Paulo	25 cruz.	150 cruz.	250 cruz.
BRYT. AFRYKA WSCH. (Kenya, Tanganyka, Uganda), Roman Królikowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
FRANCJA: «Libella», 12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris-IV°	180 fr.	900 fr.	1.800 fr.
KANADA: Krystyna Krakowska, 2290 Av. Mar-cil, N.D. de G., Montreal/Que., Tel.: HU 8-5224; Stan. L. Lemański, 570 Aberdeen Ave., Winni-pog/Man.; H. R. Radomski, 107 Rose Park Drive, Toronto/Ont., Tel.: HY-0829; Stanisław Zybała, 1089 Queen St. W., Toronto/Ont.; „Związkow-iec” (Pol. Alliance Press, Ltd.), 700 Queen St. W., Toronto/Ont.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK: Victor Stanisławski, Apartado Postal 206, Culiacan, Sin.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY: «Ostatnie Wiadomości», 17a, Mann-heim-Schoenau, 4094 LSCO Schoenau, U.S. Zone; St. Mikuluc, Seehamer-Str. 4, Baracke 16B/2, München 54	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 2, rue Thalberg, Genève, Tél. 2-32-92	2 fr. szw.	12 fr. szw.	22 fr. szw.
SZWECJA: Red. Norbert Żaba, Kallskärsgatan 3/IV, Stockholm	3 kr.	15 kr.	28 kr.
URUGUAY: Jerzy Pałuski, Calle Itu 2060, Montevideo-Malvin	75 cent.	4 dol.	6 dol.
U.S.A.: Józef Białasiewicz, 1165, Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; W. Bienkowski, «Gryf Publ.», 615, Henry St., Utica, N.Y.; L. Dudarew-Ossetyński, 28471 Ventura Blvd, Agoura, Cali-fornia; S. Dziarczykowski, 3216 W.—15 St., Los Angeles 19, California; M. K. Dziewanowski, 27 Aberdeen Ave., Cambridge, Mass.; Christian M. Kretowicz, 2109 Robinwood Ave., Toledo 2, Ohio; Andrzej Pleszczyński, P.O. Box 750, Santa Bar-bara, California; M. Szyrowski, 11 Cooper Street, New York 34, N.Y.; Kazimierz Trojanowski, 8805 Neal St., Detroit 14, Michigan; S. Sokołowski, 2719 E. Indiana St., Philadelphia 34, Pa.; Polish Ame-rican Book Center, 2300 Caniff St., Detroit 12, Mich.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA: «Gryf» Publications Ltd., 169 171, Battersea Church Road, London, S.W.11	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
WŁOCHY: Ewa Wierusz-Kowalska, Corso Tri-este 130/5, Roma, tel. 859632.	250 lir	1.500 lir	2.500 lir

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru : 30 frs.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres: Jerzy GIEDROYC, 1, Av. Corneille, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Cena ogłoszeń: cała strona 12.000 fr.; 1/2 str. 7.000 fr. fr. (okładka +50%)

BIBLIOTEKA "KULTURY"

Ukazały się dotychczas następujące tomy :

- T. I. WITOLD GOMBROWICZ **TRANS-ATLANTYK I ŚLUB**
Cena 600 frs. (12 sh., \$ 2,00)
- T. II. GEORGE ORWELL **ROK 1984**
Cena 500 frs. (10 sh., \$ 1,75)
- T. III. CZESŁAW MIŁOSZ **ZNIĘWOLONY UMYŚL**
Cena 500 frs. (10 sh., \$ 1,75)
- T. IV. JAMES BURNHAM
BIERNY OPÓR CZY WYZWOLENIE ?
Cena 600 frs. (12 sh., \$ 2,00)
- T. V. CZESŁAW MIŁOSZ **ŚWIATŁO DZIENNE Poezje**
Cena 350 frs. (7 sh., \$ 1,00)
- T. VI. CZESŁAW STRASZEWICZ
TURYŚCI Z BOCIANICH GNIAZD
Cena 650 frs. (13 sh., \$ 2,00)

W przygotowaniu :

- T. VII. STEFAN KORBOŃSKI
W IMIENIU RZECZYPOSPOLITEJ...

ZESZYTY KRAJOWE "KULTURY"

ENCYKLOPEDIA WIEDZY O KRAJU

- T. I. **RAMY ŻYCIA W POLSCE, Cz. 1-sza**
*Instytucje polityczne. Wymiar sprawiedliwości. Rodzina. Szkolnictwo.
Ruch wydawniczy. Życie gospodarcze i zawodowe*
Cena 750 frs. (15 sh., \$ 2,25)
- T. II. **RAMY ŻYCIA W POLSCE, Cz. 2-ga**
*Nowa Konstytucja. Partia i stronnictwa. Armia. Reglamentacja
twórczości artystycznej. Państwowy i prywatny przemysł i handel.
Rzemiosło.*
Cena 500 frs. (10 sh., \$ 1,50)
- T. III. **SOWIETYZACJA KULTURY W POLSCE**
*Nowe wytyczne filozofii. Teoria i historia literatury. Nauki społeczno-
ekonomiczne. Biologia. Literatura piękna*
Cena 800 frs. (16 sh., \$ 2,80)
- T. IV. **STRUKTURA GOSPODARSTWA POLSKIEGO**
*Zdrowotność i dynamika populacyjna. Kadry pracowników. Surowce
i energetyka. Rolnictwo. Hutnictwo i przemysł metalowo-przetwórczy.
Przemysł chemiczny. Przemysł elektrotechniczny. Przemysł włókienniczy.
Przemysł rolniczo-przetwórczy. Transport. Handel zagraniczny.*
Cena 800 frs. (16 sh., \$ 2,80)
- T. V. **SYTUACJA KOŚCIOŁA W POLSCE**
Młodzież i szkolnictwo
Cena 500 frs. (10 sh., \$ 1,50)

Cena 180 frs.